



Miasteczko Worthy

*Miasteczko w stanie Georgia,
w którym wszystko zostaje przewrócone
do góry nogami*

Marybeth Mayhew

WHALEN

 editioblue

Marybeth Mayhew Whalen

Miasteczko Worthy

Tytuł oryginału: When We Were Worthy

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: 978-83-283-3986-6

Text copyright © 2017 by Marybeth Mayhew Whalen

All rights reserved.

No part of this book may be reproduced, or stored in a retrieval system, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise, without express written permission of the publisher.

Amazon, the Amazon logo, and Lake Union Publishing are trademarks of Amazon.com, Inc., or its affiliates.

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with Graal Sp. z o. o.

Polish edition copyright © 2018 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Lubię to! » nasza społeczność](#)

Opinie o Marybeth Mayhew Whalen

Miasteczko Worthy to zaskakująco trafny opis życia w małym miasteczku, w którym starannie nakreślone postacie nie są ani herosami, ani nikczemnikami. To prawdziwi ludzie uwikłani w niewyobrażalną sytuację. Rozrywająca serce, plastyczna i pięknie napisana opowieść o odpuszczaniu i trwaniu, o rodzinie, miłości i, koniec końców, przebaczeniu.

— KAREN WHITE, autorka bestsellerów „New York Timesa”

Miasteczko Worthy to przejmująca i wciągająca opowieść o prawdach i sekretach oraz o tym, jak tragedia rozbija społeczność na kawałki, żeby potem poskładać z nich nową całość. Nie nadążałam z przewracaniem stron.

— AMBER SMITH, autorka *The Way I Used to Be*, bestsellera „New York Timesa”

Nie każdy, kto mieszka w Worthy w stanie Georgia, zasługuje na życie w mieście o takiej nazwie¹. W powieści *Miasteczko Worthy* Marybeth Mayhew Whalen eksploruje spektrum winy i niewinności w małym miasteczku, gdy tragiczny wypadek poddaje próbie wstępną relację między sąsiadami i przyjaciółmi. Opowiedziana z perspektywy różnych postaci historia stanowi wciągającą mozaikę obezwładniającego żalu, miłości, gniewu, zagrożenia i ostatecznie nadziei.

— ELLA JOY OLSEN, autorka *Root, Petal, Thorn* oraz *When the Sweet Bird Sings*

Fanom Liane Moriarty i Jodi Picoult z pewnością spodoba się ta książka. Inteligentna i trzymająca w napięciu powieść Marybeth Mayhew Whalen każe Ci bez opamiętania przewracać strony, lecz nie odbywa się to kosztem głębi uczuć czy rysów psychologicznych. Whalen zna to miasteczko i tych ludzi na wylot i przedstawia nam ich wnikliwy, bystry i empatyczny obraz. Nie przegap tego.

— JOSHILYN JACKSON, autorka bestsellerów „New York Timesa”, w tym *Bogów Alabamy* i *The Almost Sisters*

Co zrobisz, gdy całe Twoje życie zostanie przewrócone do góry nogami, zmiażdżone i zniszczone? Wzniesiesz się ponad to? Zaczyniesz szukać zemsty? Uciekniesz? Będziesz się obwiniać? *Miasteczko Worthy* to błyskotliwa i wciągająca powieść, która podważa nasze wyobrażenia o sobie i demaskuje zarówno kruchość, jak i siłę ludzkiego ducha w następstwie tragedii. Szczerze polecam tę lekturę!

— JOY CALLAWAY, autorka *The Fifth Avenue Artists Society* oraz *Secret Sisters*

W *Miasteczko Worthy* Marybeth Mayhew Whalen w mistrzowski sposób snuje wciągającą opowieść o małym, wstrząśniętym tragedią miasteczku. Mamy tu cztery narratorki, każda w inny sposób powiązana z ofiarami strasznego wypadku samochodowego, które ujawniają kolejne sekrety i kłamstwa, skłaniając Czytelnika do podważania wiarygodności wszystkich i **wszystkiego**. Ta napisana z sercem i nutką południowej pikanterii powieść jest zarówno ujmująca, jak i przejmująca.

— LIZ FENTON & LISA STEINKE, autorki *The Good Widow*

¹ *Worthy* (ang.) — godny — przyp. tłum.

Moim córkom.

Obym nigdy nie lekceważyła żadnego dnia, który dane jest mi z Wami przeżyć.

Nie jestem tym, co mnie spotyka. Jestem tym, kim chcę się stać.
— *Carl Jung*

Dziewczęta

Przed

Co do jednego wszyscy się zgadzali — to był idealny wieczór na futbol. Nieco chłodny — na tyle, żeby zabrać bluzę — oraz pachnący popcornem i butwiejącymi liśćmi. Donośny stukot korków i łoskot muzyki pomieszany z wrzaskami rozentuzjasmowanych fanów niósł się aż na drogę międzystanową, przez co nawet przejeżdżającym ludziom udzielało się nieco naszej ekscytacji. Wszyscy powtarzali, że nasi chłopcy dali dzisiaj niezły pokaz.

Drużyna nazywała się tak samo, jak nasze miasteczko — Worthy. To małe miasteczko, liczące zaledwie 4162 mieszkańców i w ten czy inny sposób wszyscy się znali. Mimo to były tu kościoły praktycznie każdego wyznania i niezależnie od tego, czy byłeś dobrym człowiekiem, czy jawnym poganinem, musiałeś pojawiać się w jednym z nich w niedzielny poranek. Jeśli tego nie robiłeś, stawałeś się tematem rozmów.

Nieliczne restauracje w miasteczku były do przyjęcia, ale bez szczególnej rewelacji. Ludzie lubili Chessmana za jego smażonego kurczaka i specjały z grilla. U Tomasina można było zjeść przyzwoitą pizzę (o ile nigdy nie jadłeś naprawdę dobrej pizzy gdzieś indziej i nie miałeś porównania). Oczywiście był też Subway i Hardee's, jeśli ktoś miał ochotę na fast food. Trzeba jeszcze wspomnieć o Stooges Pool Hall & Bar, ale tam nie mogliśmy chodzić, chociaż krążyły plotki, że obsługuje się tam osoby poniżej dwudziestu jeden lat. Wiedziałyśmy, że gdybyśmy tylko spróbowały tam wejść, zobaczyłby nas ktoś, kto powiedziałby o tym naszym rodzicom.

W miasteczku było kilka sklepów — Dollar General, Rite Aid, Ace Hardware. No i Trout's Market, w którym zawsze wpadało się na kogoś znajomego, więc nigdy tam nie chodziłyśmy, jeśli nie musiałyśmy. (Z Trout's zawsze wychodziło się z poleceniem od jakiegoś klienta, by przekazać pozdrowienia komuś z naszych rodzin). Na tym praktycznie wyczerpywały się opcje zakupowe, chyba że liczyć sklep Maxine's Finery, do którego ciągnęły nas matki, bo tam kupowały ubrania, gdy były w naszym wieku. Ale my wolałyśmy kupować ciuchy w Macon lub, co było lepszą opcją, w Atlancie.

Był tu też klub pływacki, do którego należeli praktycznie wszyscy nasi znajomi. W lato przesiadywałyśmy tam przez cały czas, żeby się opalać, pływać i spotykać z przyjaciółmi. Za miastem było jezioro z ogólnodostępną plażą, na którą czasem się wybierałyśmy, żeby zaznać nieco odmiany. Któregoś letniego wieczoru kąpałyśmy się nawet w tym jeziorze nago. Piszczaliśmy i śmiałyśmy się, zrzucając z siebie ubrania i zanurzając się w ciemnej wodzie.

Ale lato już się skończyło. Teraz była jesień. A jesień w Worthy oznaczała futbol.

Po rozpoczęciu sezonu futbolowego Worthy stawało się bardziej drużyną niż miasteczkiem. A w tym sezonie w hrabstwie Bibb byliśmy niepokonani. Mieliśmy w swoich szeregach Webba Harta, Iana Stone'a i Seta Bishopa. To był rok Williama „Figi” Newtona (po tym, jak Georgia zaliczyła 470 zwycięstw) jako trenera Worthy Wildcats. Zapowiadał się kolejny zwycięski sezon, który miał doprowadzić nas aż do mistrzostwa stanu. Ten wieczór przyniósł kolejne zwycięstwo: 28 do 7 z Central Chargers.

W połowie zawodnicy wprowadzili na boisko Diane Riggle, jedyną dziewczynę w historii Worthy, która zdobyła tytuł Miss Georgii. Chociaż miało to miejsce pięć lat temu, a w konkursie Miss America zupełnie przepadła, ludzie wciąż z dumą wspominali ten sukces. Przy drodze nad jezioro nadal stał billboard z gigantyczną Diane Riggle, która w koronie Miss Georgii patrzyła z góry na przejeżdżających, z roku na rok z coraz bardziej wyblakłą od słońca twarzą.

— Niezłe mamy laseczki w Worthy — mówili tej nocy chłopcy, trącając się łokciami i

wskazując to na Diane, to na nas przy linii bocznej, gdzie cierpliwie czekałyśmy z pomponami, aż Diane zejdzie z boiska i będziemy mogły na nie wrócić. Uznałyśmy, że wygląda, jakby przytyła.

Po meczu miała być impreza, więc wpadłyśmy do Mary Claire, żeby się przygotować. Jej mama wyszła z taką jedną dziwną dziewczyną, której postanowiła pomóc, co było w jej stylu.

— Co mam powiedzieć? — spytała MC i wyciągnęła lokówkę z długich włosów, uwalniając idealny blond loczek. — Ma już na koncie idealną córkę, więc potrzebuje jakiegoś nowego projektu. — Przewróciła oczami i zaśmiała się. — A ta dziewczyna *zdecydowanie* wymaga poprawek.

Zaśmiałyśmy się razem z nią, ale wychwyciłyśmy w jej głosie nutkę bólu. Jej mama nie przyszła na mecz, bo pojechała z jakąś dziwaczką — nazwałyśmy ją kombinatorką ze względu na to, jak urobiła mamę Mary Claire — na zakupy do Macon.

Ale Mary Claire nie była osobą, która lubiła rozwodzić się na przygnębiające tematy, więc podkreśliła „Style” Taylor Swift i wszystkie włączyłyśmy się do śpiewu, wykrzykując słowa na całe gardło i śmiejąc się z gorliwych starań Brynne, by zabrzmieć jak nasza idolka. Słoń nadepnął jej na ucho, ale była przekonana, że potrafi śpiewać czysto. Keary bawiła się razem z nami, ale sprawiała wrażenie milczącej, jakby coś ją męczyło; coś, o czym nie chciała nam powiedzieć mimo naszych usilnych prób, by to z niej wydobyć. Jej wiwaty w połowie traciły rezon, jej podskokom brakowało sprężystości, a w jej głosie nie było ani grama typowej dla niej energii. Cokolwiek ją trapiło, miałyśmy przeczucie, że to coś dobrego. W końcu to z niej wydobędziemy, ale uznałyśmy, że trzeba na to czasu.

Namówiłyśmy Keary, żeby była naszym niepijącym kierowcą, chociaż miała tylko tymczasowe zezwolenie na prowadzenie samochodu.

— Będiesz w towarzystwie dwóch osób z prawem jazdy — stwierdziła Mary Claire. — Nic się nie stanie.

Keary była dopiero w drugiej klasie i właśnie dostała możliwość dołączenia do paczki i spędzenia z nami wieczoru, więc oczywiście się zgodziła. Ale czuła się niepewnie i wołałaby, żeby Leah nie zniknęła, żeby zrobić to, do czego namówiła ją Brynne. Leah bardziej nadawała się na niepijącego kierowcę. Była taka sumienna, pewna siebie i dobra. Wszystkim w ten czy inny sposób doskwierała tej nocy jej nieobecność, ale gdy Brynne stwierdziła, że Leah ma coś ważniejszego do zrobienia, nie dyskutowałyśmy z nią.

Przygotowałyśmy się więc do imprezy bez Leah. Pokręciłyśmy włosy i zrobiłyśmy sobie nawzajem makijaże, co zajęło nam dziesięć razy więcej czasu niż zwykle, bo dosłownie co pięć sekund musiałyśmy przerwać, żeby potaćzyć. Tańczyłyśmy do Luke’a Bryana, Taylor Swift, Beyoncé, a raz nawet do Hanka Williamsa Jr. Oczywiście Mary Claire musiała puścić „Can’t Touch This” MC Hammera, bo jej tata zwracał się do niej per „MC Hammer”. Gdy tylko usłyszał ten kawałek, wparował do naszego pokoju z drugiego końca domu i wykonał taniec, który prawdopodobnie pochodził z lat osiemdziesiątych. Śmiałyśmy się do rozpuku, a MC miała ochotę umrzeć z zażenowania. Zapewniliśmy ją jednak, że nasi ojcowie są równie żenujący. Jej tato zobaczył puszki z piwem, ale nic nie powiedział, bo MC zapewniła go, że mamy niepijącego kierowcę i że wszystko będzie dobrze.

— Myślałam, że mamy przerabane — powiedziała Brynne, gdy poszedł.

— Mój tato nie robi mi z tym problemów — wyjaśniła Mary Claire. — Ale z moją mamą to zupełnie inna bajka... — Potrząsnęła głową i wcisnęła puszki głębiej do torby z zakupami, żeby ukryć dowody. — Powiem tylko tyle, że nie wyszłybyśmy już dzisiaj z tego pokoju.

Po fackie pewnie wracałybyśmy do tej chwili i rozmyślałybyśmy o tym, jak wszystko mogłoby potoczyć się inaczej i jak łatwo można było nie dopuścić do tego, byśmy wsiadły do

hondy civic Mary Claire z Keary za kierownicą i Adele w radio. Czasem wydaje nam się, że wciąż jesteśmy w tym pokoju — szczęśliwe, młode, podekscytowane rozpoczynającą się nocą i pełne oczekiwań względem tego, co może nam przynieść. Nawet przez moment nie przyszło nam wtedy na myśl, że może nam przynieść tragedię. Wyobrażałyśmy sobie, że ta noc nigdy się nie skończy, i — jak się okazało — w pewnym sensie tak się właśnie stało.

1. Ava

Piątek 4 listopada

W dzień wypadku jedna z matek niemal potrąciła Avę na pasie bocznym. Ava wypełniała swoje pozaszkolne obowiązki, na które wcale się nie pisała, gdy zgodziła się zostać zastępczynią pani Dixon, i do których nie była przygotowana, co mogło przyczynić się do tego otarcia się o tragedię. Słońce zaczynało już zachodzić i według kobiety, która niemal ją potrąciła, Ava stała dokładnie na linii oślepiającego słońca, przez co była niewidzialna dla kierowców. Ava miała dyplom z anglistyki i znała się na takich metaforach.

Na szczęście Ava odskoczyła tuż przed tym, gdy samochód przejechał przez miejsce, w którym stała ułamek sekundy wcześniej. I chociaż nic jej się nie stało, nie oznaczało to, że przez resztę dnia nie czuła się otumaniona i wytrącona z równowagi. Opowiedziała o tym Clayowi w trakcie meczu, szczegółowo relacjonując przebieg zdarzeń. Ze usłyszała ryk silnika, poczuła, że samochód zmierza prosto na nią, i usunęła mu się z drogi, podskakując niemal tak wysoko, jak cheerleaderki na liniach bocznych. I że potem wszyscy patrzyli na nią, jakby byli nią zażenowani, chociaż to przecież kierująca samochodem powinna tak się czuć.

Clay przestał jej słuchać i wpatrywał się intensywnie w boisko, jakby naprawdę interesował go mecz. Clay nie był typem kibica. A przynajmniej nie przed przeprowadzką do Worthy. Teraz nie opuszczał żadnego meczu szkolnej ligi i paradował z nią i dziećmi (była od niego dziesięć lat młodsza — dwadzieścia sześć kontra trzydzieści sześć lat — i przed przeprowadzką do Worthy nie miała pojęcia o tym, jak duże miało to dla niego znaczenie), reklamując restaurację, podlizując się każdemu facetowi i komplementując wszystkie kobiety. Czasem miała wrażenie, że w ogóle go nie poznaje.

Gdy dwuletni Clayton powiedział, że chce pić, zerwała się ze swojego miejsca i powiedziała, że mu przyniesie, głównie po to, by móc oddalić się od Claya, który sprawiał wrażenie, jakby niespecjalnie przejął się tym, że jego żona otarła się o śmierć. Gdy więc wpadła na *niego* — faceta, któremu w myślach nadała przydomek „Kłopoty” — w naturalnym odruchu opowiedziała mu całą historię, chociażby po to, żeby ktoś w końcu wysłuchał, co jej się stało — albo raczej niemal się stało. Chciała, żeby ktoś powiedział, że to strasznie przykre, i spytał, czy wyszła z tego cała i zdrowa.

I on tak właśnie zrobił. Patrzył na nią uważnie i mówił to, co potrzebowała usłyszeć. Nachylił się bliżej i poczuła zapach jego ciała i detergentu do prania. Uśmiechnął się do niej, błyskając dołeczkami. Stwierdził, że nie darowałby sobie, gdyby spadł jej z głowy choć jeden włos. A potem zapytał, czy może ją przytulić. Przeskanowała otoczenie, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, ale mecz zbliżał się do połowy i wszyscy wstali z miejsc i wpatrywali się w boisko, bo rywalizacja była zacięta. Wyciągnął ramiona, a ona weszła w nie i poddała się ich ciepłu. Przytulił ją mocno. Zamknęła oczy i oddychała, próbując przekonać się, że ta oferowana przez niego pociecha jej wystarcza.

— Cholera. — Usłyszała jak wzdycha to słowo i jej serce natychmiast poderwało się do szybszego biegu. Spojrzała za jego wzrokiem i zauważyła obserwujące ich oczy. Oboje na nieco zbyt długo zapomnieli, że w Worthy zawsze ktoś patrzy.

2. Marglyn

Piątek

Marglyn słyszała wykrzesywany spod opon żwir, gdy Mary Claire odpaliła silnik i pospiesznie odjechała, z wściekłości przyciskając mocno pedał gazu, a bas puszczonej przez nią muzyki dudnił tak donośnie, że wibracje niosły się po całym domu. Marglyn wróciła do przygotowywania kolacji, nieuważnie słuchając niknącego w oddali hałasu, gdy Mary Claire oddalała się długą drogą dojazdową i skręciła w główną ulicę prowadzącą prosto do szkoły przez centrum miasta. Głęboko w sercu liczyła na to, że córka zawróci i przyjedzie z powrotem pod dom.

Przez drzwi kuchenne dotarło do niej chrząknięcie Hale'a, który czekał, aż Marglyn przestanie krzątać się wśród naczyń i zatrzyma się, żeby z nim porozmawiać. Przy stole siedział jak sparaliżowany ich młodszy syn, Robert. Przestał się bawić telefonem po tym, jak pojawiła się Mary Claire i wszczęła trzecią wojnę światową.

Marglyn podeszła do syna i poczochnęła mu włosy.

— Pozwól mi pogadać z tatą — powiedziała, uwalniając go od stołu.

Przytaknął z wdzięcznością i praktycznie wybiegł z pokoju. Ona też miała ochotę to zrobić. Ale Hale czekał na rozmowę z nią i na okazję, by zadać jej pytanie, które wiedziała, że chce jej zadać.

Przełknął głośno ślinę i zgodnie z jej przewidywaniami spytał:

— Jesteś pewna, że mimo wszystko powinnaś pójść?

— To tylko mecz futbolu — wygłosiła przygotowaną wcześniej odpowiedź. — Byłam już dziesiątki razy. Czy to deszcz, zimno, śnieg czy grad. Wszystko już tam przeżyłam. Myślę, że mogę sobie dziś odpuścić. — Uderzyła rękami kuchennym o blat z emfazą. Przydałyby im się nowe blaty. Chciałyby granitowe. Mieli je wymienić rok temu, ale Mary Claire bardziej potrzebowała samochodu.

Odwróciła się do Hale'a i wyprostowała ramiona, czując przygniatający je niewidzialny ciężar.

— Przez cały weekend praktycznie ze mną nie rozmawiała i nagle wywołuje kłótnię na kilka minut przed moim wyjściem.

Hale oparł się o framugę. Wyglądał jak facet, w którym się zakochała, ale który nieco stracił na wyrazistości. Przymrużył powieki i Marglyn wiedziała, że rozważa, czy drążyć temat i wyrazić swoje niezadowolenie z jej decyzji. Widziała, jak podejmuje decyzję, że nie warto wywoływać kolejnej kłótni.

— OK — odparł. — Jak uważasz.

Przeszła przez pokój i pocałowała go w policzek, bardziej z ulgi niż z sympatii. W tej konkretnej chwili nie pałała sympatią do nikogo. Przygnębiła ją wściekła wymiana zdań z Mary Claire. A tak bardzo cieszyła się na ten wieczór. Robienie czegoś miłego dla innego człowieka, który potrafił to docenić, zawsze poprawiało jej nastrój. Miała nadzieję, że uda się jej odzyskać pogodę ducha przed wyjściem z Ginny. Chciała, by dziewczyna poczuła się dzisiaj wyjątkowo.

— Tak z ciekawości: dlaczego ta dziewczyna? — spytał Hale, jakby czytał jej w myślach. — I dlaczego akurat dzisiaj?

Marglyn zignorowała pierwsze pytanie, bo sama nie potrafiła sobie na nie odpowiedzieć, a tym bardziej wyjaśnić tego jemu. Ruszyła z powrotem do kuchni, żeby dokończyć posiłek dla rodziny, mimo że nie będzie jej w domu, by z nimi zjeść. Talerze były już przygotowane, więc

zajęła się wycieraniem blatu, chociaż był już wytarty.

— Jutro ma rozmowę o pracę. Potrzebuje pieniędzy, ale nie ma odpowiednich ubrań. Widziałeś, w czym tu wtedy przyszła. — Ginny lubowała się w obcisłych dżinsach lub workowatych dresach. I opinających piersi podkoszulkach z napisami. Nie miała niczego, w czym na rozmowie o pracę zostałaby potraktowana poważnie. — Mary Claire nie potrzebuje mnie aż tak bardzo jak Ginny — dodała coś, co wydawało się jej oczywistością.

Spojrzała przez ramię na Hale'a, żeby zobaczyć jego twarz, ale ta pozostała bez wyrazu, gdy rozważał jej słowa.

— Może — stwierdził po chwili — jednak cię potrzebuje, ale nie wie, jak to powiedzieć.

Marglyn pomyślała o ostrych słowach Mary Claire i jej niespodziewanej wściekłości. Coś się za tym kryło. Marglyn zwyczajnie chciała udzielić jej paru instrukcji dotyczących przygotowywanego posiłku, lecz Mary Claire zareagowała wybuchem gniewu, zaczęła dziko gestykulować i rzucać niedorzecznymi i wyolbrzymionymi banałami pełnymi słów w rodzaju *zawsze i nigdy*.

A przecież Marglyn chciała tylko kupić jakieś przyzwoite ciuchy na rozmowę o pracę młodej dziewczynie, która nie miała nic. Nie pytała o pozwolenie na wycieczkę odrzutowcem do Vegas na babski weekend. Przede wszystkim jednak liczyła na to, że córka powie, że jest dumna z mamy za to, że tak myśli o innych. Ale Mary Claire mówiła tylko o sobie, a potem wyparzyła z domu, wsiadła do samochodu i pospiesznie odjechała, żeby cheerleaderować w meczu, którego mama nie będzie oglądała.

— Cóż, z pewnością ma zabawny sposób informowania o tym — odparła rzeczowo, jakby to zamykało sprawę, chociaż wcale tak się nie czuła. Pragnęła, by Hale potwierdził, że podążenie zgodnie z planem na ten wieczór było właściwą decyzją i że Mary Claire nie zawsze musi dostać to, czego chce.

Hale w odpowiedzi podszedł do niej, przytulił ją od tyłu, muskając twarzą jej szyję, po czym wyszedł, zostawiając ją w rozdarciu między tym co właściwe a tym co niewłaściwe. Gdyby tylko umiała wskazać, co jest czym.

3. Darcy

Piątek

Po Halloween jej sąsiedzi jak na zawołanie zabrali się za ściąganie dekoracji. Z kluczykami w dłoni Darcy zatrzymała się na swoim chodniku, żeby przyjrzeć się, jak para z naprzeciwka — nowi sąsiedzi, którzy dzięki Bogu nie wiedzieli o zeszłym roku — ściąga pomarańczowe lampki ze swoich krzewów. Dom Darcy nie miał żadnych dekoracji poza tanim wieńcem, który znalazła w Dollar General. Ściąganie dekoracji wymagało jedynie zdjęcia tego wieńca z drzewi.

Kiedyś uwielbiała halloweenowe dekoracje. Rozstawiała pająki, czarne koty i wiedźmy, rozwieszała pajęczyny. Ale w zeszłym roku przesadziła. Teraz to wiedziała i z perspektywy czasu czuła się tym nieco zażenowana. Przypomniła jej się podrzucony do jej skrzynki przez anonimowego sąsiada liścik o treści: *Wiem, że nie jest Ci łatwo, ale straszenie dzieci nie jest rozwiązaniem.*

Na swoją obronę mogła jedynie powiedzieć, że w tamtym czasie Tommy dopiero co od niej odszedł i nie była w pełni sobą. Próbowwała się nie poddawać i zachowywać tak, by dla Grahama nic się nie zmieniło. Jej syna, wówczas piętnastolatka, prawdopodobnie w ogóle to nie obchodziło, ale ona wmawiała sobie, że rutyny są ważne i że wszystko powinno nadal wyglądać tak jak kiedyś. Dlatego wtedy ściągnęła strome schody na poddasze i wspięła się po nich, starając się nie pamiętać, że Tommy zawsze ją w tym wyręczał.

Ale gdy przeszukiwała pomarańczowe plastikowe skrzynki, zauważyła ją, niepozornie zapakowaną w długie białe pudło z wypisanymi czarnym markerem na boku słowami *Suknia ślubna Darcy*. Zgodnie z wymogami tej części roku zrzuciła winę na niewidzialną dłoń, mroczną siłę, która zmusiła ją do wyjęcia pudła, rozklejenia go i otwarcia po raz pierwszy od dnia ślubu z Tommym osiemnaście lat wcześniej. Miała wtedy osiemnaście lat, właśnie skończyła szkołę i była pełna romantycznych wyobrażeń.

Podniosła wieko, czując w gardle łaskotanie kurzu. Sądziła, że wybuchnie płaczem na jej widok i na wspomnienie niewinnej dziewczyny, jaką wtedy była. Zamiast tego jednak patrzyła na suknię bez cienia smutku. Gdy oglądała biały atlas, perłowe ozdoby i koronki, zaczęła się śmiać jak czarny charakter doprowadzony do wściekłości przez niesprawiedliwość losu. Zobaczyła w wyobraźni nożyczki przecinające materiał i odcinające ozdoby, nieodwracalnie niszczące suknię tak jak Tommy zniszczył ich małżeństwo.

Zamknęła oczy, żeby wyłączyć ten obraz, wzięła kilka uspokajających oddechów (tak zawsze kazała jej robić jej najlepsza przyjaciółka, Faye) i założyła wieko. A potem wróciła do halloweenowych dekoracji. *Normalność*, powtarzała sobie. *Rutyna. To pomoże ci przetrwać.*

Zrób następną rzecz, doradzała jej zawsze matka. Tak się z tym uporasz.

No jasne. Następną rzeczą było dekorowanie domu na Halloween. Może obejrzy wieczorem z Grahamem jakiś straszny film, żeby wczuć się w nastrój. Taki film, jaki sama zechce, bo nie ma już Tommy'ego, który narzekałby na jej wybór. Otworzyła skrzynkę z dekoracjami, żeby sprawdzić, co jest w środku. Każdego roku zapominała, co miała.

Na wierzchu leżał kostium Grahama z zeszłego roku. Przebrał się za zombie z *Żywych trupów*. Pomogła mu z makijażem i nakręciła filmik, gdy chodził jak zombie. Tommy go naśladował i wszyscy się śmiali — oni przed kamerą i ona za obiektywem. Teraz wiedziała, że Tommy już wtedy spotykał się z Angie Woodall. Szczęśliwy obrazek rozplynął się, a jej wzrok spoczął na butelce sztucznej krwi, kupionej na potrzeby kostiumu, lecz niewykorzystanej.

Wróciła spojrzeniem do sukni ślubnej, myśląc o Angie Woodall sypiającej z jej mężem, gdy ona robiła mu kolację, odbierała rzeczy z pralni i opiekowała się jego synem. Przypomniały się jej te wszystkie szablonowe rzeczy, które miała ochotę zrobić, gdy Tommy obwieścił, że się wyprowadza. *Żeby dać sobie czas na poukładanie wszystkiego*, jak to ujął. Jakby była niczym więcej, jak jego skrzynką na narzędzia, wyciągiem z jego konta, harmonogramem jego pracowników w sklepie metalowym. Czymś, co można poprzestawiać i poukładać zgodnie ze swoim widzimisię. Lub w ogóle wyrzucić.

Wyobraziła sobie, jak przecina mu opony, rysuje kluczykiem lakier jak ta dziewczyna w piosence „Before He Cheats”. Rozważała wyrzucenie wszystkich jego rzeczy przed dom, żeby zawstydzony i poniżony musiał je zbierać na oczach sąsiadów. Chciała też zadzwonić do jego wspaniałej mamusi i szczegółowo opowiedzieć o tym, co jej synek zrobił. Przemyślała to jednak i zrezygnowała z tych pomysłów.

Wróciła do pudła z *Suknią ślubną Darcy*, ściągnęła wieko i bez zastanowienia wyjęła ją ze środka. Strzepnęła ją i przyjrzała się jej przez chwilę. Nigdy więcej jej nie założyła. Przez osiemnaście nawet nie wyciągnęła jej z pudła. Nie miała córki, której mogłaby ją dać na jej ślub — zresztą jaka panna młoda chciałaby ubrać suknię napiętnowaną rozwodem? Uśmiechnęła się do siebie, wyobrażając sobie swój plan. To będzie wspaniała zemsta, kreatywna i nieoczekiwana. Gdy Tommy przyjedzie wziąć Grahama na ich cotygodniową kolację, zatrzyma się na podjeździe i zobaczy jej dzieło. I zrozumie.

Wyniosła suknię na tylne podwórko, z dała od wścibskich oczu sąsiadów. Zawiesiła ją na gałęzi drzewa i wyciągnęła butelkę sztucznej krwi. Przypomniała sobie Tommy’ego w wieku szesnastu lat na boisku futbolowym, boga wielbionego przez całe miasteczko. Przypomniała sobie wybraną przez niego szesnastoletnią siebie i to, jak cudownie się z tym czuła. Przypomniała sobie, jak w tej sukni szła w stronę przystojnego Tommy’ego w garniturze, który czekał na nią na końcu głównej nawy w kościele.

Potem pomyślała o Tommym jako młodym ojcu. Jak Graham spał mu na torsie lub później, jak siedział mu na barana. — Teraz jestem taki duży jak tatuś! — mówił. Przypomniała jej się ta sytuacja, gdy dowiedzieli się, że nie mogą mieć więcej dzieci i Tommy stwierdził: — Ty i Graham jesteście wszystkim, czego potrzebuję. — Albo ta noc, gdy dostał awans, gdy polecili do Atlanty z okazji piętnastej rocznicy ślubu lub wakacje rodzinne na Jekyll Island. Wszystko to zostało definitywnie przekreślone przez jedną kobietę, przez jedną głupią decyzję.

Zamknęła oczy i przycisnęła dyszę. Usłyszała, jak płyn trafia w materiał. Otworzyła oczy, gdy skończyła i zobaczyła biały materiał splamiony czerwienią. Poczowała sadystyczną przyjemność na ten widok, na tę wizję tego, co jej mąż zrobił swojej wybrance.

Gdy sukienka wyschła, powiesiła ją na ganku, uzyskując makabryczną (choć skrajną) dekorację na powitanie dzieciaków żądających cukierków, taką, jakiej sąsiedzi z pewnością jeszcze nigdy nie widzieli. Zadzwoniła do niej zaniepokojona matka, bo plotki dotarły do niej aż na Florydę. Usłyszała o tym także Faye, która jeszcze tego samego dnia zjawiała się wieczorem pod jej drzwiami z winem i zatroskanym wyrazem twarzy. Graham błagał, by ściągnęła tę suknię. Ale ona była nieubłagana i zostawiła ją aż do końca Halloween.

Ale pierwszego listopada od razu ją ściągnęła, pragnąc tego chyba równie bardzo jak sąsiedzi. Zwinęła ją w kłębek i wepchnęła do kosza na śmieci. Patrząc na poplamiony materiał, pomyślała, że chociaż zamknęła oczy podczas celowania, większość krwi znalazła się w okolicy serca. Trafiała równie celnie jak Tommy.

Zauważyła, że nowi sąsiedzi przyglądają się jej, jak zatracona we wspomnieniach stoi nieruchomo na chodniku. To było rok temu. Teraz czuła się lepiej. Nie do końca dobrze, ale lepiej. Już nie zrobiłaby czegoś tak drastycznego. Była bardziej stonowana i mniej żywiołowa.

Tommy nie był w stanie już nią wstrząsnąć. Wykorzystał już wszystkie triki ze swojego ubożego i nudnego zestawu.

Sąsiad z naprzeciwka podniósł dłoń w powitaniu, co wyglądało raczej jak pytanie, czy wszystko w porządku, niż jak przyjacielskie machanie. Odpowiedziała mu wzniesionym kciukiem. Wszystko było w porządku.

4. Leah

Piątek

Przed meczem odbyła się parada na cześć futbolistów z Worthy Wildcats. Leah, Mary Claire, Keary i Brynne wraz z pozostałymi cheer-leaderkami stały wzdłuż przejścia i potrząsały pomponami, a chłopcy w garniturach, pewni siebie i przystojni, kroczyli w stronę stadionu. Niektórzy z nich wykonywali taneczne ruchy, inni machali, nieco zażenowani całą tą uwagą. Część posyłała buziaki dziewczynom, które odpowiadały tym samym.

Wcześniej tego dnia ci sami chłopcy zamknęli jedną z cheerleaderek w szatni, zmusili ją do przyrzeczenia im seksualnych usług i dopiero wtedy wypuścili. Gdy na nich doniosła, stwierdzili, że tylko się wygłupiali, że na pewno nie oczekiwali spełnienia tego, co na niej wymogli, i czy ona nie zna się na żartach? Nauczyciele i pracownicy administracyjni bez przekonania wymogli na nich przeprosiny, ale ona i tak zadzwoniła po mamę, żeby ją odebrała, tak była rozdygotana tą sytuacją.

Wszyscy się z tego śmiali i mówili, że chłopcy już tacy są, że po prostu ekscytują się meczem i nie można ich za to winić. To był przecież ważny mecz. Drużyna była bliska finałów stanowych. Leah mogłaby powiedzieć tej dziewczynie, że donoszenie na nich nie miało sensu. Im wszystko uchodziło na sucho.

Do czasu parady o wszystkim zdążono zapomnieć. W uwielbieniu dla bohaterów swego miasta uczniowie i rodzice dzierżyli samodzielnie wykonane transparenty i piankowe łapy z wyciągniętym palcem wskazującym w uwielbieniu dla bohaterów swojego miasta. Wykrzykiwali konkretne numery i nazwiska. Pohukiwali, wrzeszczeli i wzniecali awantury, bo wszystko było dozwolone ze względu na godną sprawę. To była jedyna rzecz, która łączyła miasto. Religia, polityka, interesy, urazy osobiste — wszystko to odkładano na bok, gdy Wildcats rozgrywali mecz.

Leah rozejrzała się po tłumie. Niektóre twarze znała z miasteczka, ale część należała do obcych z sąsiednich miasteczek, którzy dołączyli do ich szkoły. Czowała wszechogarniającą ekscytację i zniecierpliwienie. Mięśnie bolały ją od trzymania pomponów w górze, ale nie odważyła się opuścić rąk. Zauważyła zrobiony przez kogoś transparent z napisem *Hart i Stone*. Ian Stone i Webb Hart stanowili w tym sezonie dynamiczny duet skrzydłowego z rozgrywającym. Gdy podbijali wynik na tablicy, jak prawdopodobnie zrobią także na dzisiejszym meczu, tłum wrzeszczał: „Hart i Stone!”. A przy bocznej linii grupa tworzyła piramidę i podrzucała Keary tak wysoko, że ta prawie frunęła.

Leah wyczuła na sobie czyjś wzrok i odwróciła się. Brynne wskazała jej głową zbliżającego się Webba i uśmiechnęła się nieznacznie. Leah zmusiła się do odpowiedzenia uśmiechem i zaczęła energiczniej potrząsać pomponami mimo coraz większego bólu przedramion i bicepsów. Czowała, że Brynne nadal na nią patrzy i ocenia poziom zaangażowania jej reakcji. Brynne była kapitanem cheerleaderek, a Leah tylko zwykłą drugoklasistką, która dostąpiła zaszczytu dołączenia do starszej grupy. Znała swoją partię. Miała najgłośniejsze dopingować Webba, ich rozgrywającego, który w tym roku miał doprowadzić drużynę aż do mistrzostwa stanu. Miała zrobić dla niego wszystko.

Ignorując palący ból, uniosła ramiona wyżej i trzymała pompony w górze, gdy przechodził Webb. Ich spojrzenia skrzyżowały się na ulotną chwilę, a on obdarzył ją swoim seksownym, rozogniającym uśmiechem. Wzrokiem szybko musnął jej klatkę piersiową i napis *Worthy* na podkoszulce. I już szedł dalej, w stronę stadionu, w stronę zwycięstwa, w stronę tego,

co było dzisiaj dla wszystkich najważniejsze.

Tłum ruszył za zespołem, a cheerleaderki zebrały się razem i patrzyły za nimi. Leah poczuła Brynne przy swoim łokciu. Poznała ją po zapachu tej ohydnej gumy arbuzowej, którą ostatnio lubiła żuć. Brynne zrobiła wielki balon i strzeliła nim tuż przy uchu Leah.

— Gotowa? — spytała. Leah odwróciła się, żeby odpowiedzieć, ale jej już nie było. Poszła za zespołem, wciągnięta przez niego jak wszyscy inni.

5. Marglyn

Piątek

Za pierwszym razem, gdy dzwonił Hale, Marglyn nie odebrała. Nie chciała jeszcze wracać do spraw domowych. Tak dobrze dogadywała się z Ginny, że wcześniejsze napięcie niemal zupełnie wyparowało. Ginny się uśmiechała i odpowiadała pełnymi zdaniami. Komunikowała się znacznie lepiej dzięki Marglyn, która usilnie dążyła do usunięcia z języka dziewczyny objawów „buractwa”, jak nazywała to Mary Claire. Marglyn uczyła Ginny zasad dobrego stylu oraz unikania form w rodzaju „żebych”. Pokazywała jej też, jak wykorzystać z akcentu ten wyraźny zaśpiew. Wyjaśniła Ginny, że to, że jesteś z Południa, nie oznacza, że musisz brzmieć jak wieśniak.

Ginny szczerze i z zapałem starała się pilnować tego wszystkiego, przez co Marglyn czuła się potrzebna i wartościowa. Trafienie na tę biedną dziewczynę, która szła poboczem w ulewnym deszczu bez butów, postrzegala jako zrzędzenie boskie, jak wyraziłby to ich pastor. Dawno temu, gdy była taką dziewczyną jak Ginny, ktoś wyciągnął do niej pomocną dłoń i prośbę, ile dobrego z tego wynikło. Ona po prostu przekazywała to dalej.

W centrum handlowym kupiła dla Ginny trochę nowych ubrań, które nie wyglądały jakby pochodziły z darów z kościoła. Poprosiła nawet o próbki tkanin, żeby sklasyfikować dziewczynę kolorystycznie i lepiej dobrać jej ciuchy. Podobnie jak ona, Ginny była „mięka” — ciemnoblonde włosy i oczy, które nie były ani niebieskie, ani zielone, lecz jakieś pomiędzy. Ale Marglyn nauczyła się wykorzystywać swoje atuty i tego samego chciała nauczyć Ginny. Pokazanie jej, jakie kolory powinna nosić, to dopiero początek. Obserwowanie, jak dziewczyna studiuje próbki tkanin z taką uwagą, jakby miała być z nich przepytana, było dla Marglyn nieskończenie ekscytujące. Ginny wymagała jeszcze wiele pracy, lecz tego wieczoru Marglyn, widząc postępy dziewczyny, naprawdę się zrelaksowała.

W drodze do domu wyczerpane zakupami (zamknęły centrum handlowe!) zatrzymały się w niedrogiej restauracji na ciasto z wiśniami. Ten wieczór po prostu domagał się kawałka ciepłego ciasta z roztopiającymi się lodami waniliowymi na gorze. Marglyn piła już wcześniej kawę i starała się zignorować poczucie winy z powodu nieobecności na meczu z Marie Claire.

Oglądała ją setki razy, a kolejne setki razy oglądała jej próby przed cheerleadingiem na Uniwersytecie Georgia w przyszłym roku. Słyszała w głowie głos córki wykrzykującej te wszystkie niemiłe rzeczy, nim wyszła podjechać po Ginny pod zapomnianą przez Boga przyczepę kempingową, którą dziewczyna nazywała domem. Marglyn próbowała bronić się przed Mary Claire, ale ta nie przyjmowała żadnych wytłumaczeń dotyczących jutrzejszej rozmowy o pracę i tego, że Ginny nie ma na nią co ubrać.

— Jakoś nie widzę tego, żebyś miała jej coś pożyczyć, co? — spytała prowokacyjnie córkę, która miała olbrzymią garderobę, graniczącą z chomikowaniem, co dotarło do Marglyn, gdy spojrzała na to oczami biednej Ginny.

Mary Claire prychnęła w odpowiedzi.

— Nie wcisnęłaby swojego tłustego tyłka w moje ciuchy.

Marglyn miała ochotę polemizować, powiedzieć córce, że ona nigdy nie odpowiedziałaby tak swojej matce, mimo że jej matka nawet w połowie nie była taką matką, jaką ona jest dla Mary Claire.

Komentarz o tłustym tyłku przez cały wieczór odbijał się echem w jej myślach. W trakcie zakupów okazało się, że noszą z Ginny ten sam rozmiar, absolutnie akceptowalną dziesiątkę. Czy

córka uważała ją za grubą? Starala się być warta swojego dziecka i sprostać wymogom bycia uroczą matką Mary Claire Miner, która z puli genów Marglyn i Hale'a wybrała sobie to co najlepsze. Ciemny blond Marglyn u córki przybrał żywy, słoneczny odcień żółci. Piwne oczy zostały zamienione na hipnotyzującą zieleń. Dodatkowo córka odziedziczyła po Hale'u szczupłą, smukłą budowę ciała, idealnie ukształtowane usta i owalną twarz.

Telefon zadzwonił po raz drugi i Marglyn zerknęła na ekran. Hale. Prawdopodobnie chciał zapytać, czy zna plany córki na wieczór. Mecz przypuszczalnie już się skończył, a MC zamierzała zostać z przyjaciółkami. Hale chce się upewnić, że Marglyn nie ma nic przeciwko temu, na co dał się namówić córce. Czasem miała wrażenie, że powtarzają z Hale'em pięć podstawowych konwersacji, jak śpiewane w podstawówce piosenki, których kolejne wersy nakładały się na siebie i mieszały ze sobą.

Podniosła telefon i rzuciła Ginny przeprasające spojrzenie.

— Hale, już jedziemy — powiedziała w ramach grzecznego przywitania.

— Czy rozmawiam z Marglyn Miner? — spytał nieznanym głosem. W tle słyszała odgłosy syren i krzątania. Poczowała, że krew odpływa z jej twarzy, a żołądek zmienia się w kamień. Natychmiast pożałowała, że zamówiła ciasto.

— Tak — wykrztusiła piskliwie. Naprzeciw niej nieświadoma niczego Ginny kreśliła widelcem linie na pozostałościach ciasta. Marglyn oparła się pragnieniu, by sięgnąć przez stół i zatrzymać jej dłonie. Dziewczyna nie miała żadnych manier i czasem sprawiała wrażenie znacznie młodszej niż jej piętnaście lat. Wciąż wymagała pracy, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

— Marglyn, z tej strony Perry Congdon z biura szeryfa, jestem tu z Hale'em.

Serce zaczęło jej bić szybciej.

— Czy wszystko... czy wszystko z nim w porządku? — Przez głowę przebiegły jej na raz wszystkie najgorsze scenariusze: atakserycawypa-deksamochodowybiegłzmięscawypadkutętniakwylewparaliż. Zalało ją poczucie winy. Jeśli on przeżyje, obiecała sobie, że będzie lepszą żoną. Będzie gotowała jego ulubione dania, myślała o nim częściej i nie odmówi mu seksu z powodu zmęczenia. Przypomniała sobie jego miły głos, gdy próbował z nią dziś porozmawiać, i jego pożegnalny uścisk, mimo że nie zgadzał się z jej decyzją i oboje dobrze o tym wiedzieli. — Doszło do wypadku — obwieścił głos po drugiej stronie, potwierdzając jej obawy. Próbowała przypomnieć sobie nazwisko funkcjonariusza, ale kompletnie wypadło jej z pamięci.

— O nie — wyszeptała, a jej oczy wypełniły się łzami. Ginny przerwała zabawę jedzeniem i spojrzała na nią ze zmarszczonymi brwiami.

— Uważamy, że powinna pani wrócić do domu. Proszę przyjechać jak najszybciej, ale bezpiecznie. Czy jest ktoś, kto może za panią prowadzić? Albo proszę powiedzieć, gdzie pani jest, to wyślę kogoś, żeby panią przywiózł.

Zignorowała jego propozycję, desperacko pragnąc dowiedzieć się, z czym będzie musiała się zmierzyć po powrocie do domu.

— Proszę mi po prostu powiedzieć — poprosiła z nutką hysterii w głosie. — Czy z moim mężem wszystko w porządku?

— Proszę pani — odparł szeryf. — Pani mąż jest cały i zdrowy. Dzwonię z powodu pani córki.

6. Darcy

Piątek

Darcy chodziła tam i z powrotem przed wychodzącym na ulicę oknem, to pociągając łyk szybko ocieplającego się piwa, to narzekając pod nosem na najnowszy numer jej byłego męża. A myślała, że wyczerpał wszystkie swoje triki. Sprezentowanie Grahamowi tego samochodu było jak wręczenie mu naładowanej broni.

Do tego sposób, w jaki to zrobił, w ogóle nie informując jej o swoich zamiarach. Po prostu przyjechali tym chargerem na mecz, Graham za kółkiem, a Tommy na siedzeniu pasażera z zadowolonym uśmiechem na twarzy. Miał czelność okazać zdumienie, gdy odciągnęła go na bok i zrobiła mu wykład, a znajomi Grahama zlecieli się jak muchy do kału.

— Stary, to twój? — pytali na przemian z niedowierzaniem i zazdrością. Zerknęła na syna, który cały aż promieniał, i dotarło do niej, co Tommy próbował uzyskać. Chciał mu złagodzić ból niedostania się do reprezentacji i odbudować trochę jego pewność siebie po tym odrzuceniu. A przy okazji — tylko przy okazji — wynagrodzić mu to, że odszedł do tej dziwki Angie Woodall. Darcy przypomniały się czasy szkoły średniej i ich (dość okrutne) drwiny z Angie.

— Dałaby każdemu, kto by tylko chciał.

— I jeszcze by podziękowała.

Angie Woodall zawsze miała słabość do Tommy'ego LaRue — zresztą, kto wtedy nie miał? Życie ułożyło się wtedy wprost idealnie: Darcy jako kapitan cheerleaderek spotykała się z Tommym, rozgrywającym, a osoby w rodzaju Angie Woodall przyglądały się z boku z zazdrością. Owszem, ich związek był czymś niemożliwie typowym, ale typowe rzeczy stają się takimi dlatego, że się sprawdzają. A przynajmniej zazwyczaj się sprawdzają.

Darcy musiała przyznać Angie, że ta bujała się w Tommym z identyczną wiernością, z jaką fani Worthy Wildcats kibicowali swojej drużynie. W obu przypadkach ta strategia się opłaciła. Tommy wyszedł z meczu z Angie pod ręką, jego zespół wygrał, a syn od wielu tygodni tak nie promieniał. Tommy kroczył dumny jak paw, a samochód był jego upierzeniem. Pod wpływem tego wyobrażenia Darcy poczuła wracającą falę gniewu, która błyskała jej czerwienią przed oczami. Chociaż to chyba był samochód policyjny, który przemknął na sygnale pod jej oknem.

Pomyślała, że może to Graham został już zatrzymany za nadmierną prędkość. Ale nie, nie w pierwszą noc z samochodem. Życie wcale tak nie wyglądało. Wyglądało natomiast tak, że to ona będzie musiała skłonić Grahama do oddania samochodu. Miała nadzieję, że Tommy zdobył go od Conrada Hayesa, bo jego była w stanie zmusić, żeby przyjął samochód z powrotem. Chodziła z nim do kościelnego żłobka, gdzie kołysali się ramię w ramię jak rodzeństwo. Jeśli jej nie posłucha, wciągnie w to ich matki. Od razu z rana. Miała ochotę zabić Tommy'ego LaRue. Miała ochotę chwycić go dłońmi za szyję i ścisnąć tak mocno, aż oczy wyszłyby mu na wierzch, a twarz zrobiłaby się purpurowa.

Zacisnęła dłoń na puszcze i pociągnęła długi, wściekły łyk, dokańczając piwo. Było już zupełnie ciepłe i smakowało jak szczyzny. Przełknęła i poszła do kuchni po kolejne. Graham spędzał noc z Tommym (rzecz jasna), a ona mogła tu sobie wypić tyle, ile zechce, a potem przespać do jutra tyle, ile będzie trzeba. I dokładnie tak zamierzała zrobić. Czuła, że ma do tego prawo po numerze, jaki wywinął jej dzisiaj Tommy.

Faye Starkey pytała, czy wybiera się na miasto po meczu, lecz Darcy odruchowo

zaprzeczyła, bez zastanawiania się nad ofertą przyjaciółki.

— Chodź z nami do Chessmana — namawiała ją Faye. — Zupełnie przestałaś się pokazywać.

Darcy zmusiła się do uśmiechu i udzielenia odpowiedzi.

— Po prostu nie mogę, jestem zajęta — odparła, mimo że nawet nie leżało to w pobliżu prawdy. Graham chodził już do szkoły średniej, a Tommy... odszedł, więc miała nieskończenie dużo wolnego czasu, ale wolała spędzać go sama. Było to łatwiejsze niż znoszenie litościwych wyrazów twarzy (podobnych do tego, jaki przypuszczalnie miała Faye, gdy ją zapraszała) lub odpowiadanie na nieuniknione wścibskie pytania, zadawane w imię szczerego zatroskania: „Co zaszło między tobą a Tommym?”

Angie Woodall zaszła, najkrócej rzecz ujmując. Ale oczywiście chodziło o coś więcej. Znacznie więcej, niż miała ochotę lub energię tłumaczyć.

Otworzyła drugie piwo i pociągnęła długi łyk, aż piana poślaskotała ją w nos. Usłyszała kolejne syreny za oknem i zaczęła snuć domysły na temat ekscesów, do jakich musiało dojść po dzisiejszym zwycięstwie. Miasteczko nie potrafiło zwyciężać z gracją. Tutaj upajano się zwycięstwem, czego nieodłącznym elementem było mnóstwo piwa, trochę whisky i więcej niż kilka bójek.

Włączyła telewizor i zaczęła przerzucać kanały, bezmyślnie omijając reklamy pizzy, leków, hamburgerów i ubezpieczeń. Sądząc po tym, Amerykanie byli schorowani, wystraszeni i głodni. To by się mniej więcej zgadzało. Trafiła na jeden z tych programów o prawdziwych przestępstwach i zostawiła go, próbując nadgonić losy ślicznej dziewczyny, która została zamordowana. Wciąż pokazywano to samo zdjęcie, przedstawiające zabitą w jakiejś szczęśliwej chwili w przeszłości. Zanim jakiś idiota (Darcy podejrzewała męża, bo zazwyczaj tak było) odebrał jej życie.

Pomyślała o matce dziewczyny. Ciekawe, czy ogląda ten program i jak się czuje, gdy ci wszyscy ludzie rozsmarowują jej cierpienie w rozdzielczości full HD. Zaczęła się zastanawiać, czy jest złą osobą, skoro to ogląda. Ale nie potrafiła się oderwać. Cierpienie kogoś innego było dziwnie hipnotyzujące. Jak się nad tym zastanowić, Amerykanie byli też podglądaczami, a ona w niczym się od nich nie różniła.

W trakcie przerwy na reklamy poszła po następne piwo i usłyszała chrzęst opon na asfalcie przed domem. Pomyślała o zamordowanej dziewczynie, która była sama w domu, gdy ją zabito. Nie żeby takie rzeczy działy się w Worthy w stanie Georgia. W ich zaspanym miasteczku nic się nie działo. Na wszelki wypadek wzięła jednak nóż ze stojaka na blacie, po czym odwróciła się na pięcie i zobaczyła nikogo innego, jak Tommy'ego LaRue, który próbował — nieskutecznie — otworzyć tylne drzwi swoimi kluczami. Podniósł wzrok, lecz gdy zobaczył ją z nożem, cofnął się z zaskoczenia i niemal się przewrócił.

Podeszła do drzwi, żeby mógł ją usłyszeć przez dzielące ich szkło.

— Dawno temu już wymieniłam te zamki, Tommy.

Skrzyżowała ramiona, ale nadal trzymała nóż. Chciała powiedzieć coś jeszcze. Może o samochodzie lub o Angie Woodall. Może powie mu, że Dan Lancaster zaprosił ją na randkę, gdy wpadli na siebie na dzisiejszym meczu. Wzbudziłaby jego zazdrość. Przypomniałaby mu o tym, że kiedyś była równie pociągająca jak Angie Woodall. A nawet bardziej. Przypomniałaby mu, jaka była zabawna i towarzyska. Spojrzała jednak — naprawdę spojrzała — na twarz Tommy'ego i została bez słowa. Sięgnęła do zamka, żeby otworzyć drzwi i wpuścić go do środka. Podeszedł do niej, a ona nagle przypomniała sobie syreny i policyjny samochód, który przemknął pod domem.

Tommy zabrał jej nóż i odłożył go na stół. Poruszał się w zwolnionym tempie, jak

człowiek zapędzony w kozi róg przez wściekłego psa. Oparł się na stojącym przed nim krześle, tym samym, na którym siadał, gdy jedli kolację — Tommy, Darcy i Graham: rodzina LaRue. W piątki kupowali pizzę u Tomasina, w soboty grillowali steki, a w niedziele zawsze zamawiali chińczyka na wynos. Ale potem chińczyka zamknęli, a Tommy spiknął się z Angie i...

— Darcy? — Usłyszała swoje imię. — Słyszałaś mnie?

Mrugnęła powiekami, patrząc na mężczyznę, którego kochała od szesnastego roku życia. Na ojca jej syna i na człowieka, który ją zdradził, zarówno dzisiaj z samochodem, jak i na długo przedtem.

— C... Co? — spytała. Ale wiedziała. Głęboko w środku poczuła to, gdy pod domem przemknął pierwszy wóz policyjny. Przekonywała się, że życie tak nie wygląda, ale wyglądało. Boże dopomóż, ale tak właśnie wyglądało.

— Był wypadek. Zabrali Grahama do szpitala. Ja... przyjechałem prosto z miejsca wypadku i... musisz wiedzieć, Darcy, że on zderzył się z autem, którym jechało kilka dziewczyn. Cheerleaderek. I one wszystkie... ehm, chyba wszystkie zginęły.

Spojrzała na nóż, który zabrał jej z rąk, a potem na świeżo otwarte piwo, które zaczęło się już rosić. Usłyszała słowa Tommy'ego, że dziewczyny prawdopodobnie zginęły, ale nie mogła się teraz tym zająć. Wzięła więc tę część historii i schowała w pudle gdzieś na dnie umysłu; w pudle z ciasno zamkniętą pokrywą. Któregoś dnia będzie gotowa je otworzyć. Wyobraziła sobie, jak wpycha to pudło w naprawdę głęboką wnękę umysłu. Jeśli dziewczyny nie żyją, i tak nie jest w stanie im teraz pomóc.

— Ale Graham...

Tommy przytaknął.

— Tak, przeżył. Jest w dość kiepskim stanie. Ma złamane żebra, zapadnięte płuco i nie wiadomo, co jeszcze. — Wyciągnął w jej stronę drżącą dłoń. — Więc lepiej tam pojedźmy.

Przypomniał się jej obrazek, jak pięcioletni Graham siedzi w małej szpitalnej koszuli na łóżku po operacji wycięcia migdałków, zajada lizaka lodowego i mimo wszystko uśmiecha się do niej.

— Zabierz mnie do niego — powiedziała.

Tommy przytaknął po raz kolejny. Jego rozbawione spojrzenie z wcześniej zniknęło bez śladu.

— Załóż jakiś płaszcz i buty i chodźmy. — Zaczął zbierać rzeczy, żeby mogli wyjść. Nadal miał ostrożne ruchy i mówił powoli i rozważnie. W głębi duszy czuła, że to ze strachu. Bał się, że ona zacznie z krzykiem wypominać mu ten samochód. Ale ona straciła wszelką chęć do konfrontacji, gdy tylko usłyszała, że Graham ucierpiał. W tej chwili była gotowa walczyć wyłącznie o niego, o swojego syna.

Tommy narzucił jej płaszcz na ramiona i użył przedramienia, żeby nie straciła równowagi, zakładając buty, co do których nawet nie wiedziała, czy należą do niej. Potem wyprowadził ją z domu, posadził w samochodzie i zajął miejsce za kierownicą. Zamknął z impetem drzwi. Odezwał się, ale nie patrzył na nią tylko na wprost, przez przednią szybę.

— Zanim się tam dostaniemy, musisz wiedzieć, że oni myślą, że się ścigał, nie wspominając już o tymczasowym prawie jazdy. Uważają, że to jego wina.

Spojrzała na niego, dostrzegając w nim starszą wersję chłopca, którego kiedyś kochała, i powiedziała:

— Cóż, Tommy, a jak twoim zdaniem miało się to skończyć?

Potem zapięła pas i odwróciła się do okna. Nie rozpoznawała kobiety, która patrzyła na nią z ciemnego szkła.

7. Ava

Piątek

Wibrowanie telefonu o biodro wybudziło ją z płytkiego snu, w który zapadła. Nie zorientowała się od razu, co ją obudziło, i sięgnęła po leżącego na jej piersi iPada (przeglądała i zaznaczała recepty slow-cookingowe na Pinterescie), ale telefon zawibrował ponownie. W pierwszym odruchu pomyślała: *Clay!*. Poczula nieznaczną ekscytację, jak za każdym razem, gdy dzwonił, gdy o niej myślał. Tęskniła za mężem. Nie podobały jej się jego długie godziny pracy w restauracji, która odbierała go rodzinie i jej. Życie w Worthy w niczym nie przypominało tego, do czego przywykła. Clay nie wyglądał na zmartwionego tym faktem, ale jej to przeszkadzało, bo samotność wierciła jej dziurę w sercu.

Ale to nie był Clay. Zerknęła na ekran i zobaczyła numer, o którym wolałaby nie myśleć. Nie po tym, co stało się wcześniej. Wciąż widziała w myślach oczy tej dziewczyny, szeroko otwarte i uderzająco niebieskie, oraz wyraz jej twarzy, gdy uświadomiła sobie, na co patrzy, niezależnie od tego, czy jej domysły były zgodne z prawdą, czy nie. Na samo wspomnienie Ava poczuła, jak płoną jej policzki. Przeciągnęła kciukiem po ekranie, żeby odczytać wiadomość.

On: Nie zamartwiaj się tym. Jest w porządku.

Zamknęła oczy i przycisnęła telefon do piersi z nadzieją, że w wiadomości chodzi o to, że udało mu się to naprostować. Obiecał jej to, więc może dotrzymał słowa. Może wszystko uciśnie, okaże się, że tylko otarła się o katastrofę i pewnego dnia będzie się z tego śmiała. Sama, rzecz jasna. Nie chciała, żeby ktokolwiek inny się o tym dowiedział.

Odpisała:

Ona: Mam nadzieję.

Odczekała chwilę, widząc kropki wskazujące, że odpisuje. Pojawiła się emotikonka: uśmiechnięta buźka z przymrużonym okiem. Rzuciła telefon na kanapę i westchnęła z frustracją. Nie zrozumiał, nie był w stanie.

Śpiący na drugim końcu pies podniósł głowę. Łypnął na nią okiem i opuścił głowę, w dwie sekundy zasypiając z powrotem. Sięgnęła po telefon, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś nieodebranych połączeń. Nie miała. Clay nadal siedział w restauracji, zabawiając się ze wszystkimi dawnymi kolegami. Był w swoim żywiole, gdy miejscowi upajali się dzisiejszym zwycięstwem. Chessman zawsze był otwarty po meczu, oferując miejsce dzieciakom — i rodzicom — na świętowanie aż do świtu. Na pewno skończyło się odgrzewaniem dawnych sezonów futbolowych i wspomnianiem przez byłych futbolistów czasów ich chwały. Ze sporą dozą koloryzowania, jak wyobrażała to sobie Ava.

Powinna się tego domyślić. Ktoś musiał zostać na noc w domu z Claytonem i Savannah.

— Kotku — powiedział jej Clay tym swoim protekcjonalnym tonem, który pojawił się w jego głosie, gdy się tu przeprowadzili. — To moja praca. — Potem dotknął palcem wskazującym czubka jej nosa, jakby była dzieckiem, i dodał: — Ja mam swoją pracę, a ty swoją. — Stał się niesłyszalnie zaborczy w kwestii pracy od ich przyjazdu do tego miasteczka, pilnując swojego nowego stanowiska z zaciśniętymi pięściami. Gdy wyszedł, spojrzała w dół na swoje dłonie i zorientowała się, że sama też zaciska pięści.

Telefon znowu zaczął wibrować. Skrzywiła się, przygotowując w myślach stanowczą, lecz delikatną ripostę dla swojego adoratora. Owszem, był niezłym ciachem, jak powiedziałyby uczennice ze szkoły, w której uczyła. Owszem, był czarujący. I owszem, schlebiali jej to. Do tego stopnia, że pozwoliła, aby dzisiejszego wieczoru sprawy wymknęły się spod kontroli i ktoś

ich zobaczył. To miasteczko było zbyt małe, plotki rozprzestrzeniały się zbyt szybko, a zainteresowanie nią — laseczką z Atlanty, która wyhaczyła Claya Chessmana — zbyt duże, żeby mogła sobie pozwolić na coś takiego. Musi być mądrzejsza i ostrożniejsza.

Odebrała telefon i odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała głos Claya.

— Hej, kotku — odpowiedziała wciąż nieco ospałym głosem. Chrząknęła. — Jedziesz już do domu?

Zapadła długa cisza. Ava poczuła, jak strach chwyta ją za kark i zaczyna dusić. *On wie.* Dziewczyna wygadała się, gdy tylko znalazła chętne uszy, a nowinka rozniosła się jak ogień na suchej łące. *Cholerne miasteczko*, pomyślała Ava, przeklinając po raz setny decyzję rodziców Claya, żeby przejść na emeryturę i oddać synowi władzę nad restauracją, zwabiając go do domu razem z nią i dziećmi.

Nie miał wtedy pracy, a ich sytuacja zaczynała wyglądać nieciekawie. Męskość Claya wisiała na włosku po stracie źródła dochodu i wynikłych z tego kłopotów finansowych. Musiał zadzwonić do rodziców z prośbą o pomoc. A oni zamiast pomocy zaoferowali mu pracę. Ale Clay i ona z pewnością wymyśliliby coś innego. Coś, co nie wymagałoby opuszczenia sąsiadów, z którymi łączyły ich więzi sympatii. W tamtej społeczności czuła się doceniona. Była jej częścią w każdym calu, tak jak każdy. Ostatnio, gdy odwiedzała dawne okolice, okazało się, że ludzie, którzy kupili jej dom, pomalowali okiennice na jaskrawoniebiesko. Wyglądało to tak tandetnie, że Ava niemal oniemiała. Gdy poznała nową właścicielkę — rzecz jasna lubianą przez wszystkich — potraktowała ją dość niemiło, za co było jej przykro. Trudno winić nową lokatorkę za to, że Ava straciła swój dom i została zmuszona do przeprowadzki tutaj.

Wyjrzała przez okno przyczepy postawionej przez jego rodziców na swojej posesji, żeby mieli gdzie mieszkać „dopóki nie staną na nogi”. Mieli widok bezpośrednio na „duży dom”, jak nazywała go w myślach. Po raz pierwszy od momentu przebudzenia zwróciła uwagę na to, że mimo późnej pory wszystkie światła były zaświecone.

— Clay, co się stało? — spytała. Usłyszała głosy w tle, które brzmiały jakby ktoś płakał. — Czy to twoi rodzice? Jesteś w ich domu? Wszystkie światła się u nich świecą. Chcesz, żebym się tam przeszła? — Mogła obudzić Savannah i Claytona i przenieść ich na rękach przez ten krótki dystans dzielący ich od dużego domu.

— Moi rodzice nie śpią, bo przypuszczalnie usłyszeli najnowszą wieść. Doszło do wypadku — wyjaśnił Clay. Wychwyciła napięcie jego głosu i zrobiło się jej głupio, bo poczuła ulgę, iż nie chodzi o nią. Że nie dzwoni, żeby jej powiedzieć, że muszą porozmawiać, gdy wróci do domu, bo coś usłyszał. — Chciałem dać ci znać, że raczej nie wrócę do domu przed ranem. Zostawiłem restaurację otwartą, żeby ratownicy mogli przyjść napić się kawy i coś zjeść.

Przerwał, westchnął długo i ciężko, prosto w słuchawkę.

— Och, kochanie, to po prostu straszne — odezwał się po chwili. — Trzy uczennice ze szkoły średniej, cheerleaderki, brały udział w paskudnym wypadku samochodowym. Zderzył się z nimi inny uczeń. Chodzą plotki, że wszystkie trzy nie żyją, ale myślę, że jest nadzieja, że jedna z nich z tego wyjdzie. Mówi się też, że chłopak, który w nie wjechał, się ścigał. — Jego głos był przesiąknięty emocjami. Wyobraziła sobie restaurację wypełnioną mieszkańcami Worthy, którzy szukali miejsca, żeby się zgromadzić po usłyszeniu tej wieści.

— To po prostu... — Szukała w myślach właściwych słów, próbowała pomyśleć o tych rodzicach, którzy kilka godzin temu kibicowali na tym samym meczu co ona. — To straszne — westchnęła. — Tragiczne. — W jej szkole też doszło do wypadku i zginęła w nim jedna z gwiazd lokalnego futbolu. Zupełnie zmieniło to całą społeczność. Przez lata dzieciaki próbowały skontaktować się ze zmarłym poprzez seanse spirytystyczne i zachowywały się tak, jakby się przeprowadził, a nie przestał istnieć.

— Noo — potwierdził. Ale on nie myślał o tym samym co ona. Był od niej dziesięć lat starszy i wspomnienie szkoły średniej w jego umyśle było z pewnością bardziej wyblakłe. — Cóż, muszę kończyć. Pomyślałem tylko, że powinnaś wiedzieć. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

— Nie, nic się nie stało — zapewniła go. Nagle przypomniało się jej coś, co powiedział, bo tragedia chwilowo przesłoniła jej przywołane przez niego szczegóły. — Czekaj, Clay — zatrzymała go, nim skończył rozmowę.

— Tak? — Wyczuła nutkę zniecierpliwienia w jego głosie i wyobraziła sobie, że ktoś go woła. Prawdopodobnie ta urocza kelnerka, która wszystko, co mówił, uważała za zabawne i nieco zbyt chętnie zostawała po godzinach, gdy jej potrzebował.

— Powiedziałeś, że to były cheerleaderki? Dziewczyny z wypadku?

— Tak — odparł. — Dlaczego pytasz?

Serce zaczęło łomotać jej w piersi. Nienawidziła się za to, co przyszło jej do głowy, ale nie była w stanie się powstrzymać, gdy jej umysł uczepił się tej szalonej, ulotnej myśli.

— Wiesz które? — Starła się, żeby w jej głosie było słycać tylko zwyczajną ciekawość. — Wiesz, może miałam jedną z nich w klasie... czy coś. E, tego, na moich zastępstwach. — Po przeprowadzce nie udało się jej znaleźć pracy jako nauczycielka, ale szkoła zatrudniła ją na swego rodzaju stałe zastępstwo, co oznaczało, że przenosiła się po całej szkole i w niektórych klasach zostawała dłużej, w innych krócej. Aktualnie uczyła angielskiego, przedmiotu, który był jej specjalizacją.

— Tak, tak — odpowiedział. — Całkiem możliwe. Przynajmniej jedną z nich, jeśli nie wszystkie. W którymś momencie. — Westchnął znowu. Usłyszała w tle szcęk sztućców i odgłos lodu wpadającego do szklanki. — To były Miner, Ellison i Malone.

— Keary? — wykrztusiła z trudem, bo serce podeszło jej do gardła. — Keary Malone?

On także brzmiał na wstrząśniętego, ale z całą pewnością z innego powodu niż ona.

— Tak, Keary. Tak miała na imię. — Zapadła cisza. Ava wiedziała, że wcześniej ktoś przywoływał go gestem. Ale on wrócił do rozmowy z nią. Zrobiło się jej miło, że tym razem się nie spieszył. Po raz pierwszy tej nocy poczuła iskierkę nadziei.

Po drugiej stronie jej mąż mówił o chłopaku, który wjechał w dziewczyny, że znał jego rodziców w szkole średniej, ale po szkole ich drogi się rozeszły. Clay nie mógł uwierzyć, że ktoś w jego wieku miał nastolatka, podczas gdy ich dzieci były jeszcze takie małe. Dość nieuważnie słuchała podawanych przez niego szczegółów, bo jej uwaga była skupiona na konsekwencjach tego, co powiedział wcześniej: Keary Malone nikomu nie powie, co widziała, a jej nietrafne domysły nie zrujną reputacji Avy w tym miasteczku; reputacji, której tak naprawdę nie zdążyła sobie jeszcze wyrobić.

8. Leah

Sobota

Nie udało się jej skontaktować z przyjaciółkami, więc wróciła na boisko futbolowe, bo nie miała gdzie iść. Wszyscy już dawno wyszli, więc ruszyła prosto na linię pięćdziesięciu jardów. Gdzieś w tyle głowy czaiła się myśl, że ktoś na pewno każe jej stąd pójść, ale nikt tego nie zrobił. Wszyscy świętowali wielkie zwycięstwo. Ustawiła się równo z kredową linią i położyła się na niej, wyobrażając sobie, jak biały proszek wciera się w jej ubrania, tworząc granicę, która rozdzielała jej ciało na dwie połowy: przedtem i potem.

Leżała tak na plecach przez chwilę, patrząc w nieco rozwodnione rychłym świtem niebo. Miała ochotę wrócić do domu, ale nie mogła, bo okłamała rodziców, że śpi u Keary. Tymczasem Keary nie odbierała telefonu, więc Leah nie wiedziała, co zrobić. Zastanawiała się, czy Keary też została w to wciągnięta i celowo nie odbiera. Jeśli tak było i jeśli wszystkie wiedziały, co miała zrobić po meczu, to chyba już nigdy nie spojrzy żadnej z nich w oczy. W kieszeni kurtki zaczął dzwonić telefon. Dzwonił i dzwonił, ale ona nie chciała sprawdzić kto to. Jakie to miało teraz znaczenie? Poczowała falę zalewającego ją wstydu.

Czuła przesiąkającą przez jej ubrania rosę, ale starała się ją zignorować. *Jestem teraz pusta*, mówiła sobie. *Nie czuję nic*. Tak bardzo skupiła się na tym, by nic nie czuć, że zasnęła. Spała, aż obudziły ją najsłabsze przebłyski światła na niebie i hałasy w oddali. Otworzyła oczy i zobaczyła, że w jej stronę zmiernają jacyś ludzie. Pary nóg w dżinsach i butach sportowych, cała masa. Gdy zobaczyła tę zbliżającą się grupę, przyszło jej do głowy tylko jedno słowo: Brynne. Brynne to zorganizowała. Brynne ją wystawiła. Leah czekała na ostateczny cios i to był właśnie on.

Zaczęła zbierać się z ziemi, żeby przygotować się do biegu, bo spodziewała się pościgu. To byli mieszkańcy polujący na miastowego pariasa, wściekli mężczyźni z Biblii z kamieniami w dłoniach. Skuliła się, żeby osłonić się przed ich szyderstwami i obelgami, które byłyby dla niej równie bolesne jak kamienie. Gdy zaczęła edukację w tej szkole, chciała tylko się nie wychylać i nie wyróżniać w żaden inny sposób prócz pozytywnego. Minęły zaledwie trzy miesiące i wszystkie te starania spełzły na niczym.

Udało się jej wstać tylko na kolana, gdy dotarła do niej pierwsza z nadchodzących osób. Zamarła i pochyliła głowę, żeby nie widzieć ich kpiących uśmiechów i bezwzględnych spojrzeń. Wiedziała — rzecz jasna — że są zdolni do okrucieństwa. Widziała to na własne oczy na korytarzach i stołówce. Słyszała plotki o tym, do czego dochodziło w szatniach i ciemnych kątach. Nie sądziła jedynie, że ją też może to spotkać. A mimo to sama wpakowała się w tę sytuację, czyż nie? Pozwoliła się zmusić Brynne. Brynne, z tym jej promiennym uśmiechem i nieskazitelną cerą, Brynne z tą jej arbuзовą gumą, szepczącą jej o obowiązku i odpowiedzialności.

Mogła obwiniać ją do woli, ale sama podeszła do należącej do Brynne jetty i sama usiadła na fotelu pasażera. To jej spódniczka cheer-leaderki podwinęła się, odsłaniając uda i spłowiałą opaleniznę po skończonym lecie. Brynne wciąż była mocno opalona za sprawą regularnych wizyt w kabinie z tyłu salonu Cut and Curl. Mama Leah twierdziła, że to czysta próżność i strata pieniędzy, która dodatkowo zwiększa ryzyko raka. Jej mama przygryzała też język i martwiła się tym, że Leah będzie chodziła do szkoły publicznej. — Ta szkoła cię zmieni — powtarzała coraz częściej i częściej. I w tej chwili, na kolanach na boisku futbolowym w sobotę tuż przed świtem w otoczeniu wściekłych mieszkańców, Leah musiała przyznać, że matka miała więcej racji, niż

się wydawało.

Zdziwiła się jednak bezgranicznie, gdy mieszkańcy — którzy okazali się uczniami, nieznanymi jej osobiście, lecz mijanymi na korytarzach Worthy High — także opadli na kolana i pochylili głowy. Bała się podnieść wzrok, więc skanowała trawę, przyglądając się nagim i ubranym kolanom. Dostrzegła chaotycznie poumieszczone świece wotywny, których płomienie migotały bezradnie w konfrontacji z jaśniejącym niebem. Ktoś wyciągnął dłoń i poklepał ją po ramieniu. — Tak mi przykro. — Usłyszała głos właściciela ręki. Inny głos dodał: — No, przykro mi z powodu twojej straty.

Straty? Jak to możliwe, żeby oni wiedzieli, co straciła? Po raz drugi przyszło jej do głowy to imię: Brynne. Pocieszyła się jednak, że głosy tych uczniów były przynajmniej uprzejme i empatyczne. Na ostatniej lekcji angielskiego nauczycielka na zastępstwie wdała się w długie dywagacje na temat różnicy między empatią a współczuciem. Współczucie, jak wyjaśniła, oznacza, że wiesz dokładnie, co czuje dana osoba, bo kiedyś czułaś to samo.

— Zapamiętałam to sobie tak — powiedziała. — *Współczucie* oznacza *wspólność* doświadczeń. Z kolei empatia oznacza, że nigdy czegoś takiego nie doświadczyliście, ale potraficie sobie wyobrazić to uczucie. — Leah podejrzewała, że nikt z uczniów nie doświadczył tego, co spotkało ją tej nocy. To oznaczało, że ich wyrazy wsparcia były empatią, a nie współczuciem. Nauczycielka byłaby dumna, gdyby wiedziała, jak dobrze Leah zrozumiała tę ideę.

Ktoś zaczął śpiewać pierwsze wersy „Cudownej Bożej łaski”. Głos był początkowo ochryply, szybko jednak rozwinął się w ciepły, bogaty tembr, który wzniósł się nad nimi i dryfował jak chmura nad ich pochylonymi głowami. Dołączyły do niego inne głosy i Leah poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Otworzyła usta, żeby także zaśpiewać, bo nauczono ją, by włączała się w śpiewanie hymnów, i nie miało tu znaczenia, że odbywa się to w sobotni świt na pięćdziesiątym jardzie boiska futbolowego. Ale nie była w stanie wykrztusić żadnych słów. Jakby zupełnie wyleciały jej z pamięci.

Zamiast więc śpiewać poruszała tylko ustami, na wypadek gdyby ktoś na nią patrzył. W końcu jej ojciec był diakonem w kościele, co rodziło określone oczekiwania. A w tym miasteczku zawsze ktoś patrzył. Serce jej zamarło na tę myśl: kto ją widział tej nocy? Zaraz potem pojawiło się kolejne pytanie: dlaczego oni śpiewają „Cudowną Bożą łaskę”? Może wiedzieli, że w tej chwili nikt tak nie potrzebuje łaski jak ona. Otworzyła oczy i rozejrzała się ukradkiem. Przybyło klęczących kolan. I świeczek. Tu nie mogło chodzić o nią, lecz mimo to gromadzili się wokół niej i oferowali jej swoje kondolencje.

Przypomniała sobie o tym, że Keary przez całą noc nie odbierała telefonu. Zresztą z Brynne i Mary Claire także nie było kontaktu. Miały się spotkać na imprezie, ale ją wystawiły. Tak przynajmniej uznała. To, że opuszczona przez pierwsze przyjaciółki z tej szkoły musiała włączyć się samotnie po nocy było z pewnością elementem tej dziwnej inicjacji, w jaką wpakowała ją Brynne. Ale co jeśli wcale nie o to chodziło? Co jeśli naprawdę coś się stało?

9. Marglyn

Piątek – sobota

Im bliżej była szpitala, tym gorzej się czuła. Nudności, które zaczęły się gdzieś w głębi brzucha, wzniosły się wyżej i osadziły w klatce piersiowej jak kamień. Drżały jej dłonie, ścisnęła więc kierownicę mocniej, żeby je uspokoić. Na szczęście Ginny wiedziała, że nie powinna się odzywać. Przynajmniej tyle.

Trzydziestopięciominutową drogę do szpitala spędziły w absolutnej ciszy. Żadnej głupawej muzyki z radia, która zwykle gra w tle, żadnych czczych pogaduszek dla podtrzymania kontaktu. W tej chwili Marglyn nie miała ochoty się odzywać i nie miała nic do powiedzenia. Wszystko, co było warte wypowiedzenia, zostało jej odebrane, była więc w tej chwili równie cicha jak jej córka.

Przypomniało jej się, co powiedział policjant, zanim się rozłączył. Że zabrali Mary Claire do szpitala i robią co w ich mocy. Marglyn uznała, że skoro coś robią, to jej córka wciąż żyje. I Marglyn będzie miała kolejną szansę na bycie dobrą matką. Ostatnie słowa MC odbijały się echem w jej myślach. Zerknęła na Ginny, w milczeniu obwiniając ją o odciążenie jej od tego, co powinno być w jej życiu najważniejsze.

Nieco zbyt ostro wzięła zakręt i usłyszała przewracające się w bagażniku torby z zakupami. Miała ochotę jak najszybciej pozbyć się z auta Ginny i tych cholernych ciuchów. Co ona sobie myślała, kupując je tej dziewczynie na rozmowę o pracę kosztem meczu Mary Claire? Dlaczego w ogóle ją obchodziło, czy Ginny ma pracę oraz czy ułoży się jej w życiu, skoro prawdopodobnie i tak nie było na to szans? Miała wspaniałą córkę, która odnosiła sukcesy we wszystkim, czego się tknęła. Tymczasem pozwoliła odciągnąć się od niej przez dziewczynę, której była potrzebna, bo myślała, że córka już jej nie potrzebuje.

Od ściągnięcia ust ścierpły jej mięśnie. Ucieszyła się z bólu, bo nie pochodził z duszy. Potrafiła sobie radzić z czymś, co dało się zidentyfikować. Chciała cierpieć w namacalny sposób, więc uporczywie ściągała usta i zaciskała palce na kierownicy przez całą drogę na przyszpitalny parking. Znalazła miejsce i nie patrząc wprost na Ginny powiedziała:

— Musisz jakoś dostać się do domu na własną rękę.

Nie czekała na jej odpowiedź. To nie jej obowiązkiem było dopilnowanie, by dziewczyna trafiła bezpiecznie do domu. Nie była jej matką. Wsiadła z samochodu i z impetem zamknęła drzwi, zostawiając za sobą Ginny — *biedną Ginny*, jak podpowiedziało jej sumienie. Rzuciła się biegiem w stronę szpitala i potknęła się, gdy wpadała przez drzwi do środka. Czyjeś ramiona ją złapały, znajome ramiona. Spojrzała na te ręce, na konstelację piegów, której nauczyła się na pamięć, gdy miała czas na nie patrzeć.

— Hale — powiedziała do męża głosem przesiąkniętym ulgą. — Gdzie ona jest? — Hale ją wyprostował i próbował wygładzić jej ubrania. Wskazał windę i ruszył w jej stronę. Marglyn poczuła, że jej ciało w jakiś sposób się przesuwa, jakby płynęła nad ziemią. Wpłynęli tak do środka, a Hale przytulił ją mocno, gdy drzwi się zasuwały. Zaczęli się wznosić i Marglyn miała wrażenie, jakby wyszła poza ciało, jakby cały czas płynęli nad ziemią. Ale gdy drzwi się rozsunęły, wyślizgnęła się z jego objęć i zwiotczała, a on po raz drugi uchronił ją przed upadkiem.

— Marglyn, kochanie? — spytał, ale pytanie rozplynęło się w powietrzu, gdy wysiedli z windy i ruszyli korytarzem.

W korytarzu byli wszyscy: rodzice, dziadkowie, znajomi i, o mój Boże, duchowni.

Zobaczyła poorane łzami twarze, kierujące się w ich stronę zaczerwienione oczy i otwarte z przerażenia usta. Ktoś z tego tłumu — w stanie, w jakim była, niczego nie rejestrowała w pełni — zaczął głośno zawodzić. Syreni śpiew. Ktoś inny — *jedna z pozostałych matek*, podpowiedział jej umysł, z trudem odpalając jedną synapsę — podbiegł do niej i Hale'a.

— Już po nich! Po wszystkich! Nasze dzieci zginęły!

Marglyn i Hale przybyli jako ostatni, więc ostatni dowiedzieli się, że żadna z dziewczyn nie przeżyła zderzenia. Marglyn poczuła, że ten fakt zatapia się w niej jak kamień, ściągając ją w dół, coraz niżej i niżej, gasząc przy tym ostatnią iskierkę nadziei. Tym razem Hale nie był w stanie jej utrzymać. Nikt nie był na tyle silny. Znowu wróciło to uczucie pływania, teraz jednak zupełnie wyszła ze swojego ciała, wzniosła się wysoko, wysoko w stronę sufitu, uderzyła w niego z impetem i jak głaz spadła z powrotem na ziemię.

10. Darcy

Sobota

Darcy słyszała odgłosy rozpaczyny dobiegające z głębi korytarza, gdzie zebrały się rodziny dziewcząt. Potrafiła sobie wyobrazić przygniatającą tęsknotę, ale jeszcze nigdy nie doświadczyła jej w takim natężeniu jak tej nocy. Nie wiedziała, kto wydawał ten nieszczęsny jęk — prawdopodobnie jedna z matek tych dziewcząt — ale czuła go głęboko w sobie. Wnikał w to odsłonięte miejsce, w którym jej syn balansował między życiem i śmiercią.

Lekarze powiedzieli, że nie są w stanie przewidzieć, kiedy się ocknie, ale że powinien się ocknąć. Powinien przeżyć. Mówili to jednak z takimi wyrazami twarzy, jakby w ogóle nie byli tego pewni. Jakby zbyt wiele rzeczy mogło pójść nie tak, żeby stawiać takie przypuszczenia. Uruchomił się alarm, zaczęła się bieganina i jej syn może wyśliznąć się z życia, gdy ona siedzi w odległości niespełna dziesięciu stóp od jego drzwi. W takiej sytuacji dołączyłaby do grona rozpaczających matek. Starła się o tym nie myśleć.

Wraz z Tommym zostali oddelegowani na krzesła strategicznie oddalone od poczekalni dla rodzin. Żeby było im „bardziej komfortowo”, jak wyraziła to pielęgniarka, na której twarzy współczucie mieszało się z potępieniem. Ale Darcy i Tommy’ego oddzielono od rodzin dziewcząt, bo ich syn spowodował wypadek. Lepiej, żeby żałobnicy nie musieli oglądać rodziców sprawcy.

Darcy wiedziała, że niezależnie od późniejszego rozwoju sprawy przetrwa ta pierwsza wersja, w której Graham był złoczyńcą. Żyła tu wystarczająco długo, żeby widzieć ten scenariusz wiele razy. W Worthy prawda mieszkała tuż obok percepcji, ale nie były zbyt dobrymi sąsiadkami. Darcy starała się nie myśleć o tym, co to oznacza dla niej, dla Tommy’ego czy dla Grahama.

Zamiast tego się modliła, a raczej wygłaszała w myślach bełkotliwą litanie, w której okazywała wiarę w to, że Bóg jakoś to rozwiąże. Jej modlitwa wahała się między *proszę, niech on z tego wyjdzie* i *proszę, nie pozwól, by to on był sprawcą*. Nie umiała się zdecydować, którą prośbę uważała za ważniejszą, i wstydziła się tego. Prawda była jednak taka, że miała dość pełnienia w mieście roli „biednej Darcy”. „Biedna Darcy, wiesz, ta, którą Tommy niedawno rzucił dla tej dziwki Angie Woodall”.

Jeśli to Graham spowodował wypadek, narracja tylko się wydłuży i Darcy stanie się także „biedną Darcy, wiesz, tą, której syn zabił te dziewczyny”. Nigdy wcześniej nie była „biedna” i nie podobało jej się to. Przypomniała sobie, jak te wszystkie lata temu stała przy linii bocznej i kibicowała z uśmiechem, jej ukochany Tommy biegał z piłką, a wszyscy na trybunach patrzyli z aprobatą i podziwem.

Znowu usłyszała tę rozdzierającą tęsknotę i odruchowo odwróciła się do Tommy’ego, który milcząco siedział bez ruchu na jednym z rozkładanych krzeseł, przyniesionych dla nich przez pielęgniarkę z jakiejś komórki. Krzesło było dla niego stanowczo za małe, wciskał się w nie i wyglądał, jakby było mu niewygodnie. Najwyraźniej jednak nie zwracał teraz na to uwagi.

Przechyliła kolana w jego stronę, aż dotknęły jego kolan, ale nie dlatego, że chciała go dotknąć, lecz dlatego, że jego nogi zatrzymały jej nogi przed dalszym opadaniem. Zawsze żartował z jej kościstych kolan i jakąś część siebie oczekiwała, że teraz też to robi, mimo że nie był to ani właściwy czas, ani miejsce. Poza tym, Tommy już jej nie dogryzał. Dogryzanie oznacza, że ktoś jest dla ciebie w jakikolwiek sposób ważny.

Chrząknęła, żeby się do niego odezwać, ale gdy otworzyła usta, nic się z nich nie

wydobyło. Spojrzał na nią, jak siedzi z otwartymi ustami, ale nie wypowiada ani słowa. Zamknęła je pospiesznie z wyraźnym szcękaniem i przygryzła sobie koniec języka. Oczy nabiegły jej łzami, gdy poczuła smak krwi. Mrugnęła kilka razy, by odgonić łzy, i przełknęła ten żelazny posmak.

— Czy ty... — Tommy także miał problem z wysłowieniem się. — Potrzebujesz czegoś? — Nachylił się, jakby szukał pretekstu, by zerwać się z tego krzeselka. Nie wyobrażała sobie, jak to znosi ze swoim kontuzjowanym kolaniem. W kościele zawsze siedział zeszywniały i obolały przez wszystkie modlitwy. Oczywiście nie chodził już do kościoła. Cudzołożnicy nie byli w nim mile widziani. Ona też przestała chodzić — odrzucone żony cudzołożników były mile widziane, o ile lubiły, jak wszyscy się na nie gapią i szeptają na ich temat. Szybko z tego zrezygnowała.

Początkowo zostawała w domu i oglądała mszę w telewizji. Stopniowo jednak odeszła także od tego. Wołała zostać w łóżku dłużej niż to stosowne. Matka, gdy się dowiadywała o tej absencji, strofowała ją za to z Florydy, gdzie przeprowadziła się z ciotką Darcy po śmierci taty. Darcy podobał się pomysł przeprowadzki na Florydę, ale Graham musiał skończyć szkołę. Mama i ciocia Lou stwierdziły, że jest mile widziana; współczuły jej z powodu postępu Tommy'ego. Darcy odliczała dni do momentu, gdy będzie mogła opuścić Worthy, chociaż przed odejściem męża nigdy nie brała tego pod uwagę.

Przypomniała sobie o tym planie i spojrzała na Tommy'ego. Czy byłaby w stanie zostawić ich wszystkich za sobą i zacząć wszystko od nowa? Pomysł z całą pewnością miał w sobie coś pociągającego. Przysłużyłby się wszystkim, zwłaszcza Tommy'emu. Ale opuszczenie Worthy oznaczało albo odebranie Grahama ojcu — czego nie mogła zrobić — albo zostawienie swojego jedynego syna, czego także nie mogła zrobić. Miasto trzymało ich wszystkich w swoich szponach, a jego uścisk jeszcze nigdy nie był tak mocny jak teraz, gdy siedzieli na twardych krzeselkach w korytarzu szpitala, słuchali odgłosów rozpaczki i unikali litościwych spojrzeń.

— Możesz mi przynieść herbatę z cukrem. — Nie miała ochoty na herbatę z cukrem. Powiedziała to, żeby dać Tommy'emu coś do zrobienia. Znała go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że desperacko pragnie się stąd wyrwać, chociaż na małą chwilę. Zaczęła szukać w portfelu drobnych, żeby mu dać, ale on zatrzymał ją gestem.

— Daj spokój — stwierdził. Zgiął kolano, żeby nieco je rozluźnić po siedzeniu na tym maleńkim krześle. Kiwnął głową w jej stronę i ruszył korytarzem. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem słuchu, podniósł telefon do ucha. Z całą pewnością dzwonił do innej kobiety. Gdzieś tam w świecie na zewnątrz Angie Woodall czekała, aż Tommy uwolni się od Darcy i będzie mógł przyjść. Darcy przyszło na myśl, że Tommy od tyłu nadal wygląda tak samo jak w czasach szkoły średniej. Zastanawiała się, ile razy patrzyła na jego plecy, gdy od niej odchodził.

11. Ava

Niedziela

W niedzielę się cofnęli. Tak przynajmniej Avie udało się to zapamiętać: wiosna biegnie naprzód, jesień się cofa. Tego roku zmiana czasu nadeszła w idealnym momencie i można było na nią zrzucić nastrój ogólnego przygnębienia, jaki zapanował w miasteczku po wypadku.

Clayton i Savannah posępnie skubali płatki przed wyjściem do kościoła, zbici z tropu zmianą godzin, przygnębieni zgubionymi butami i kokardami do włosów. Ava pomyślała, że najlepiej byłoby w ogóle nie pójść do kościoła, ale wiedziała, że Clay się na to nie zgodzi. To była kolejna konsekwencja przeprowadzki: chodzenie do kościoła — co w Atlancie zdarzało im się w najlepszym wypadku sporadycznie — tutaj było obowiązkowe.

— Ludzie tego oczekują — tłumaczył jej Clay. — Jestem właścicielem firmy i liderem społeczności.

Twój ojciec jest właścicielem firmy, ty jesteś tylko wychwalanym menedżerem, miała ochotę mu odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Coraz bardziej nie lubiła tej nowej wersji swojego męża. W sypialni obserwowała, jak wiąże krawat i gwiżdże przy tym pieśń, o znajomość której nawet go nie podejrzewała. Wszystko wracało, wszystkie rytuały i postawy wynikające z życia w tym miasteczku. Ale dla niej to było zupełnie obce. Bała się, że zawsze tak będzie. Zastanawiała się, czy Clay pamiętał, co mówił o tym miejscu, gdy się poznali. Opowiadał jej o desperackim pragnieniu wyjechania stąd na zawsze. Uwierzyła mu i najwyraźniej popełniła błąd.

Jak to możliwe, że tak bardzo się tu... zagnieźdźasz? Spytała go w myślach, wbijając wzrok w jego plecy. Clay coraz bardziej irytował się krawatem, szarpnięciem rozwiązał węzeł i zaczął od nowa.

Odwrócił głowę i ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Uniósł brwi.

— Wszystko w porządku? — spytał.

Kiwnęła i odwróciła głowę, żeby nie zdradzić się spojrzeniem. Chociaż wcale nie była pewna, czy jeszcze potrafił to dostrzec. Od czasu przybycia tutaj powiedziała mu już tyle drobnych kłamstw, że podejrzewała, iż stracił umiejętność ich wychwytywania.

— Czuję się trochę rozbita — wyjaśniła. Stchórzyła, zrzuciła to na karb zmiany czasu. Wolałaby powiedzieć mu wprost, jak beznadziejnie się czuje i jak bardzo nienawidzi ich nowego życia. Ale gdyby mu to wyznała, musiałaby wysłuchać, jak on odpowiada, że nie obchodzi go jej nieszczęście. Wyjawienie mu prawdy równałoby się utracie złudzeń w kwestii jego nastawienia do niej.

— Wiesz, później będziesz miała trochę czasu dla siebie — odparł. — Mnie nie będzie, a rodzice zabierają dzieci po lunchu. — Lunch zawsze zjadali w restauracji. Obfita niedzielna wyzerka, pyszna i doskonała, taka jak u babci. Ava nie miała nic przeciwko, nawet jeśli Clay rzadko wysiedział z nimi przez cały posiłek. Zawsze znajdował jakiś powód, żeby odskoczyć i przywitać jakiegoś gościa czy pójść do kuchni odpowiedzieć na pytanie lub rozwiązać problem. Jego ojciec cieszył się emeryturą ze swojego fotela, z którego nigdy się nie podnosił. Gdy był seniosem Chessmanem, ludzie przychodzili do ciebie. Czasem Ava przyglądała się swojemu synowi i zastanawiała się, czy jego przyszłość też tak będzie wyglądać.

— Cze... czemu cię nie będzie? — Nie potrafiła ukryć w swoim głosie ani rozdrażnienia, ani prowokacyjności. W Atlancie niedzielne popołudnia były „czasem dla mamusi i tatusia” za zamkniętymi drzwiami, wypełnionym czytaniem, drzemaniem, uprawianiem miłości i cichymi rozmowami o planach na następny tydzień, podczas gdy dzieci oglądały film. Potrzebowała

takiego popołudnia z Clayem.

— Muszę przygotować mnóstwo rzeczy na nowy tydzień. Grafiki pracowników, zamówienia. Jutro wieczorem zaczynają się wizytacje i pogrzeby. Prawdopodobnie w restauracji będzie wzmożony ruch, bo zajęci tymi wszystkimi obrządkami ludzie nie będą mieli czasu gotować. Do tego kościół poprosił nas o pełny catering na przyjęcie po pogrzebie Brynne Ellison. Keary Malone też.

Na wspomnienie o Keary Ava poczuła falę przerażenia, ale przypomniało jej się, że już nie ma się czego obawiać. Keary już nikomu nie ujawni tego, co widziała. I na ile Ava była w stanie to stwierdzić, nikomu tego nie ujawniła.

— Chyba powinnam pójść na jej pogrzeb — powiedziała Ava ostrożnie po tym, jak poziom adrenaliny się wrócił do normy. — Chodzi o to, że ją uczyłam, przez krótki czas. — Zajęła się szperaniem w małej komórce w poszukiwaniu szpilek, które pasowałyby do jej sukienki. W tym mieście do kościoła nie można się było ubrać swobodnie.

Przypomniała sobie zdjęcia, które pojawiły się na stronie miasta kilka godzin po wypadku. Klasyczne *spoczywaj w pokoju* napisane pod każdą z trzech twarzy wraz z imionami i nazwiskami. Keary, Brynne i Mary Claire wyglądały bardzo znajomo, chociaż Ava miała bezpośredni kontakt tylko z jedną z nich. Keary była w klasie, w której Ava uczyła angielskiego na zastępstwo i z którą jutro się spotka i zobaczy pustą ławkę — symbol wspólnej straty. A zapowiadało się zupełnie inaczej — że Keary będzie siedzieć w tej ławce i wbijać w nauczycielkę krytyczne i wyzywające spojrzenie.

Ava będzie musiała jakoś skomentować tę pustą ławkę i zastanawiała się, jak to rozegrać. Przyszedł jej do głowy ulubiony cytat z Emily Dickinson: *Wszak nie mogłam stanąć i czekać na śmierć, Sama mnie podwiozła — uprzejma*. Zastanawiała się, czy wciąż ma ten tomik. Może wykorzysta wolne popołudnie na poszukiwania. Włożyła szpilki, poprawiła naszyjnik. W końcu zadowolony z krawata Clay usiadł na łóżku, żeby założyć buty. Gdy to robił, dostrzegła tuż pod jego uchem kropkę z kremu do golenia. Nie powiedziała mu o niej.

* * *

Ludzie nie spieszyli się z rozejściem po pogrzebie. Z poważnymi i smutnymi twarzami zbierali się w grupki, żeby omówić zdobyte informacje i porozmawiać o tragedii. Ava jak zwykle trzymała się Claya, a on witał się ze znajomo wyglądającymi ludźmi, których nazwisk nie była w stanie przywołać. Oni też pewnie nie znali jej imienia.

— Słyszałem, że Chessman odpowiada za catering na pogrzeb dziewczyny Malone'ów — powiedział jeden z mężczyzn, korpulentny i surowo wyglądający właściciel tutejszego Dollar General.

Clay przytaknął, a Ava znowu poczuła ten nieznaczny dreszcz na wspomnienie o Keary. Zastanawiała się, czy kiedyś jej to przejdzie.

— To baptyści? — dopytał mężczyzna.

Clay znowu przytaknął. On i Ava byli z kolei metodystami. To rozróżnienie miało w Worthy duże znaczenie.

Mężczyzna zachichotał.

— Baptyści z całą pewnością lubią jeść — stwierdził i poklepał Claya po plecach. — Lepiej dostarcz im całą górę żarcia.

Normalnie Clay uznałby to stwierdzenie za mało wyszukane, ale zmusił się do głośnego śmiechu. W zadowalaniu wszystkich stawał się tak dobry, że jeszcze trochę i będzie mógł zrobić z tego fakultet.

— Wiesz, czym się różni baptysta od metodysty, prawda? — Mężczyzna, którego imienia

Ava chyba nigdy nie zapamięta, zwrócił się do niej. Każdy w grupie zaczął się uśmiechać i przytakiwać, bo wszyscy znali odpowiedź.

Ona też ją znała, bo jakżeby inaczej, ale nie przyznała się.

— Nie, czym? — spytała i przypomniało jej się, jak tuż po przeprowadzce poszła do sklepu monopolowego po gin z tonikiem. Chwilę później Clay miał w restauracji telefon od uprzejmego obywatela, który polecał mu zachęcić żonę do zakupów alkoholowych w sąsiednim mieście.

— Metodysta odezwie się do ciebie w sklepie monopolowym — odparł, parszkając. Wszyscy dookoła także się roześmiali, najwyraźniej czując swoją wyższość jako metodyści. Mimo to Ava była niemal pewna, że tamtego dnia do Claya zadzwonił jeden z metodystów. Uważali się za lepszych, lecz tak naprawdę było to bez znaczenia. To Worthy nadawało temu znaczenie.

— Uczysz w szkole średniej, prawda? — włączyła się żona korpulentnego jegomościa. Ten objął ją władczy gestem i Ava przez chwilę zamarzyła, by Clay zrobił to samo. Mimo jednak, że mężczyzna obejmował żonę, taksował ciało Avy, jakby była lodami, których chciałby zakosztować.

— Jestem tylko na zastępstwo — odparła Ava. Czowała potrzebę wyjaśnienia, że nie jest prawdziwym nauczycielem.

— To raczej permanentne zastępstwo — odezwał się Clay. — Przenoszą ją do różnych klas, które potrzebują nauczyciela. Czasem na jeden dzień, czasem na miesiąc. Teraz uczy w drugiej klasie w zastępstwie za nauczycielkę angielskiego, która odeszła na urlop macierzyński. Ale to tylko do czasu, gdy znajdą dla niej miejsce na stałe.

Odwróciła się i spojrzała na profil męża. Kropka z kremu do golenia nadal tam była, wyschnięta.

Inna kobieta — inna znajoma twarz, której Ava nie potrafiła przyporządkować imienia — spytała:

— A uczyłaś którąś z tych, co... — Nie dokończyła. Nie potrafiła się zdobyć na wymówienie słowa *zginęły*.

Pomyślała o Keary, o jej wstrząśniętym spojrzeniu, gdy spojrzały sobie w oczy.

— Znałam Keary — odparła. — Była w klasie, w której aktualnie uczę angielskiego.

Zauważyła, że kobietom rozbłyły oczy na myśl o tym, że rozmawiają z kimś, kto może coś wiedzieć. Bezwiednie nachyliły się bliżej, przyciągane perspektywą zdobycia informacji od wewnątrz. Ava szukała w pamięci czegoś, co mogłaby im powiedzieć i co byłoby warte ich podekscytowania.

— Keary i jej przyjaciółka Leah zostały w tym roku zwerbowane do cheerleaderek — zaczęła. — Mimo że były dopiero w drugiej klasie. Ale obie były dobre. Wszędzie chodziły z dwiema innymi dziewczynami z samochodu, Brynne i Mary Claire, swego rodzaju królowymi tej szkoły. Były po prostu śliczne. Widziałyście ich zdjęcia?

— Znam matkę Mary Claire — wtrąciła jedna z kobiet.

— Keary była wpatrzona w Brynne i Mary Claire. Razem z Leah, która z niezrozumiałych względów nie jechała wtedy z nimi, ale powinna dziękować za to Opatrzności. Obie bez przerwy chodziły za Brynne i Mary Claire jak ich pieski. Te dwie starsze nieźle to sobie zorganizowały. Tworzyły uroczą czwórkę. Keary i Leah jak kacuszki naśladowały we wszystkim swoje starsze koleżanki i starały się być takie jak one. Któregoś dnia... — Rozejrzała się po słuchaczkach, żeby sprawdzić, czy nadal są zainteresowane. Były. — Któregoś dnia sprawdzałam łazienki po dzwonku i znalazłam je, całą czwórkę. Cesały sobie nawzajem włosy, jakby przygotowywały się do wyjazdu z miasteczka. Powiedziałam im, że to trzeci semestr, a nie

bal maturalny. — Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Wyraźnie widziała w myślach ich twarze, wyrażające mieszaninę przekory i strachu. Poczła ukłucie, które miało niewiele wspólnego z ulgą, a bardzo wiele z żalem, bo uświadomiła sobie, co za jednym zamachem straciły rodziny, szkoła, całe miasto. Te dziewczyny były wyjątkowe. Wystarczyło na nie spojrzeć, żeby się o tym przekonać.

— Jak myślisz, co będzie jutro? — spytała żona faceta z Dollar General.

Jutro. Jutro wytłumaczy mu, że za bardzo się zbliżyli, że wystarczająco wiele osób już ucierpiało i lepiej, żeby na tym się skończyło. Wyjaśni, że czuła się samotna i że to zaburzyło jej osąd. Wróć do wymiany zwykłych uprzejmości. Jutro powie też Leah, że cieszy się, iż nie było jej w tamtym samochodzie, i pozwoli jej pójść do szkolnego psychologa, jeśli nie będzie chciała siedzieć obok pustej ławki Keary. O ile Leah w ogóle przyjdzie. Jutro pogada z klasą o tej stracie. Odszuka ten wiersz Emily Dickinson, żeby przeczytać im go na głos. Zachęci ich do zadawania pytań. Zrezygnują z programu lekcji przekazanego jej przez poprzednią nauczycielkę.

— Myślę, że będzie ciężko — odparła.

Wszyscy jednocześnie pokręcili głowami. Facet od Dollar General poklepał Avę po plecach w podobny sposób jak wcześniej Claya.

— Wspieramy cię modlitwą — powiedział. Wszyscy przytaknęli i zaczęli ją poklepywać i ścisnąć. A potem zabrali swoje połówki i poszli na lunch. Ta ich uwaga i akceptacja była niczym namaszczenie.

Clay odwrócił się do niej i uśmiechnął z aprobatą.

— Widzisz? — spytał. — Jednak cię lubią. — Objął ją i pocałował w policzek, a ona odpowiedziała mu smutnym uśmiechem. — No chodź, zjedzmy coś — dodał. — Umieram z głodu.

Ruszył, ale Ava pociągnęła go z powrotem do siebie.

— Masz tu coś... — zwilżyła kciuk i starła mu spod ucha kropkę kremu do golenia. — Miałaś coś na szyi — wyjaśniła.

— Dzięki, kochanie — odparł. A ona nie puściła jego ręki przez całą drogę na parking.

12. Leah

Niedziela

Talmadge Feathers czekał na nią, gdy wróciła z kościoła. Siedział na tarasie z tyłu domu i grał na skrzypcach zawodząca, smutną muzykę, idealnie dopasowaną do jej nastroju. Obserwowała go przez chwilę. Miał zamknięte oczy, a szczupłe, umięśnione ciało było napięte. Zbyt długie kasztanowe włosy opadały mu na brwi. Gdy przestał grać i podniósł głowę, musiał je odrzucić do tyłu, żeby ją zobaczyć. Spojrzał na nią swymi szarymi oczami i pomachał jej na przywitanie, a ona skinęła głową i podeszła, zastanawiając się, jak długo będą mogli pogadać, zanim jej matka go wypędzi.

Talmadge uczył się w domu tak jak kiedyś ona, ale, jak twierdziła jej matka, z niewłaściwych powodów. Jego rodzice byli „zwykłymi hipisami”, którzy przeprowadzili się do Worthy, żeby żyć z darów ziemi i poza systemem, wyrzekłszy się szkoły, kościoła i wszelkich innych pułapek małomiasteczkowego życia. „Nie udzielali się w społeczności”, cytując znowu jej matkę, dla której zmorą było to, że Leah i Talmadge kilka lat temu za sprawą nauczania domowego poznali się i zaprzyjaźnili. Nauczanie domowe miało służyć „utrzymywaniu hołoty z dala”, ale Talmadge w jakiś sposób się prześliznął.

Kiedyś był jej najlepszym przyjacielem, ale coraz bardziej się oddalali od czasu, gdy poszła do szkoły. Wiedziała, że był to jeden z najważniejszych powodów, dla których mama przystała na rezygnację z nauczania domowego i posłanie jej do budzącej grozę szkoły publicznej. Ale jej mama uwielbiała przy każdej okazji nadawać swojej decyzji przesadnie uduchowione znaczenie. Na przykład dzisiaj w kościele ktoś rozmawiał z Leah o Keary, Brynne i MC, a mama pojawiła się znikąd i stwierdziła:

— Cóż, dlatego Leah poszła do tej szkoły. Żeby być światełkiem, które rozświetla mrok. To jej misja, dokładnie tak. — Matka zapadłaby się pod ziemię ze wstydu, gdyby знаła prawdę o światełku Leah. O tym, jak szybko i łatwo zostało zdmuchnięte.

— Lubię, gdy muzyka ma jakieś słowa — powiedziała i uśmiechnęła się zaczepnie do Talmadge'a, żeby rozluźnić atmosferę i zignorować prawdziwy powód jego obecności w tym miejscu, czyli sprawdzenie, czy wszystko u niej w porządku.

W odpowiedzi błysnął przebiegłym uśmiechem.

— Najlepsza muzyka nie potrzebuje słów — odparował.

Usiadła na schodach obok niego. Upłynęło kilka taktów ciszy, ale nie spieszyła się z ich wypełnieniem. Potrafili ze sobą milczeć i zdarzało im się to dość często. Talmadge także się nie spieszył. Nie mówił zbyt wiele; wolał muzykę. Gdy się odzywał, z reguły były to bardzo przemyślane słowa. Odwróciła się, żeby przyjrzeć się jego patrycjuszowskiemu profilowi. Miał wystające kości policzkowe, smukły, wystający nos, długie rzęsy.

Kiedyś, zanim matka poznała go lepiej, nazwała go ślicznym. Leah uważała, że to dość trafne określenie, gdy się nad tym zastanowić. Nie wyglądał jak pozostali chłopcy z miasteczka ze swoimi modnymi fryzurami, bejsbolówkami i napompowanymi mięśniami. Słuchał muzyki klasycznej, a nie country, wolał sushi od steków i znał nazwy kwiatów, a nie nazwiska kierowców NASCAR. Kiedyś słyszała, jak ojciec mówi matce, że nie muszą się martwić tym, że Leah spędza z nim tyle czasu.

— On jest jakiś pedziowaty — stwierdził ojciec.

Ale to nie była prawda. Talmadge nie był pedziowaty. Talmadge był w niej zakochany. W noc przed jej pierwszym dniem w szkole przyszedł do niej i jej to wyznał. Błagał, by nie szła do

szkoły, i pokazał jej swój nowy tatuaż — jej imię na wewnętrznej stronie lewego przedramienia, żeby miał je przed oczami, gdy będzie trzymał skrzypce.

— Skomponowałem dla ciebie utwór — powiedział i zagrał go. Był prześliczny, ale Leah stwierdziła, że woli muzykę ze słowami. Zgasiła go tylko dlatego, że mogła.

Któregoś dnia, gdy razem z Keary i Mary Claire zostały na noc u Brynne, opowiedziała im o tym. Nad ranem, w całkowitych ciemnościach słowa płynęły bez trudu, a jej nowe przyjaciółki słuchały z zapartym tchem. Upajała się ich zainteresowaniem i ich pytaniami. Powiedziała im więcej, niż powinna, i posunęła się w żartach z chłopaka dalej, niż zamierzała. Mówiła i mówiła, mimo że kłuło ją w żołądku z poczucia winy.

Śmiały się wtedy. Okrutnie bawiła ich niesłabnąca adoracja Talmadge'a i to, że pochopnie napiętnował swoje ciało i na zawsze będzie miał na przedramieniu imię dziewczyny, która nie odwzajemnia jego uczuć. Później, gdy były tylko we dwójkę, Keary wyznała, że ma wyrzuty sumienia z powodu tego wyśmiewania.

— No wiesz — tłumaczyła. — Wydaje mi się, że w sumie byłoby fajnie, gdyby ktoś tak mnie kochał.

Leah przytaknęła z poczuciem winy. Chociaż nie, to było coś więcej. Czowała się *podle*, bo wykorzystwała demonstrację uczuć Talmadge'a, żeby żyć się z tymi dziewczynami.

Spojrzała na jego przedramię, bo chciała sprawdzić, czy wciąż jest tam jej imię. Ale on miał na sobie bluzę z długim rękawem. Przyszło jej do głowy, że może teraz, gdy te trzy koleżanki są martwe, skrzywdzenie Talmadge'a umarło razem z nimi i jest rozgrzeszona. Razem z nimi umarły jej najgorsze życiowe decyzje. Mimo to tęskniła za przyjaciółkami. Nie miała pojęcia, kim będzie jutro w szkole bez nich.

— W porządku? — Jego głos był zaskakująco głęboki i zawsze zaskakiwał rozmówców, którzy słyszeli go po raz pierwszy.

Słyszając to proste pytanie, poczuła wzbierające lzy. Przed oczami błysnęły jej ich twarze i wyobraziła sobie je w płonącym samochodzie, jak nieskończenie wiele razy wczoraj nad ranem. Zobaczyła puste miejsce na fotelu za kierowcą, na którym powinna była siedzieć.

— Chyba — odparła. Wzruszyła ramionami, a on położył dłoń na jej kolanie i przyciągnął ją bliżej, jak wiele razy wcześniej. Ale teraz, gdy знаła jego prawdziwe uczucia, nie była pewna, czy powinna wtulić się w niego i oprzeć głowę na jego ramieniu jak kiedyś.

Pragnęła — i potrzebowała — przyjaciela. Dobrego przyjaciela, który nie chciałby niczego więcej. Tymczasem ostatnio wszyscy oczekiwali od niej czegoś więcej. Talmadge chciał, by byli czymś więcej niż przyjaciółmi, jej mama oczekiwała większej perfekcyjności, tata oczekiwał większej religijności, Keary chciała spędzać więcej czasu z nią, Brynne i MC, Brynne oczekiwała większego poświęcenia sprawie. Leah zacisnęła powieki, żeby zablokować cisnące się przed oczy nieproszone obrazy.

— Zadzwońłbym, że wpadnę, ale... — zaczął. Wiedziała, że próbuje poruszyć jakiś inny, lepszy temat.

Uśmiechnęła się i dokończyła za niego, wkraczając na dobrze jej znany grunt ich wspólnego żartu.

— Nie masz telefonu. — Rodzice Talmadge'a nie wierzyli w komórki, więc nikt w jego wielkiej, szalonej rodzinie jej nie miał. Oboje zachichotali i poczuli ulgę płynącą ze współdzielonej radości.

— Nie musisz czuć się dziwnie w kwestii nas... po tym wszystkim — powiedział drżącym i niepewnym głosem. — Ja po prostu chcę być przy tobie. Ale... — urwał.

Przypomniała sobie, jak poznali się w wieku dwunastu lat. Zostali wysłani na rekonstrukcję historyczną jednej z bitew wojny secesyjnej. Oboje trzymali się z boku i odmawiali

wzięcia udziału w udawanej walce, bo czuli, że odtwarzanie czegoś, co nie do końca można nazwać chlubnym rozdziałem historii, jest bezcelowe i głupie. Cynizm ich zbliżył. Leah rozumiała cynizm. Rzucanie inteligentnych żartów i celnych obserwacji — to potrafiła robić. Ale miłość? Z Talmadge'em? To było niedorzeczne.

— Dzięki — wykrztusiła. — Ja po prostu już nie wiem, co mam robić i jak mam się z tym wszystkim czuć... Rozumiesz? Nie chodzi tylko o ciebie, ale o wszystkich.

Przytaknął i poprawił skrzypce na kolanie. Wyciągnęła dłoń i szarpnęła strunę, co go trochę zdenerwowało. Uśmiechnęła się do niego. Nie miała ochoty poważnie rozmawiać o tym ani z nim, ani z kimkolwiek innym. Sądząc jednak po wyrazie jego twarzy, dokładnie o to mu teraz chodziło. Chciał poznać jej myśli, uczucia i to, co słyszała. Leah zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jeśli zacznie o tym mówić, w końcu usłyszy pytanie, na które nie może odpowiedzieć. Pytanie, które Talmadge niewątpliwie zada i które jak dotąd pozostało bez odpowiedzi, bo Leah za każdym razem zmieniała temat. Pytanie, które brzmiało: *Dlaczego nie jechałaś tym samochodem?*

Ucieszyła się więc, gdy jej mama zauważyła obecność Talmadge i przysłała na taras powiedzieć jej, że jest potrzebna w domu. Leah przeprosiła kolegę, starając się wyglądać na zawiedzioną, a nie ocaloną, i pospiesznie schroniła się w bezpiecznych ścianach własnego domu, gdzie od wypadku wszyscy domownicy generalnie dawali jej spokój. Nawet mama nie maglowała jej pytaniami o to, gdzie była tamtej nocy i dlaczego nie jechała z przyjaciółkami. Prawdopodobnie czuła nieskończoną wdzięczność za to, że Leah nie było w tym samochodzie, niezależnie od przyczyny.

Leah nie była przekonana co do tego, czy sama także czuje taką wdzięczność jak mama. Może jeden szybki krach byłby lepszym sposobem na zakończenie tego wszystkiego. Brynne, Keary i MC nie musiały się już martwić popularnością, wizerunkiem, rodzicami, nauczycielami, chłopcami, ocenami, sekretami i kłamstwami. Śmierć zrobiła z nich idealne, wspaniałe i cnotliwe bohaterki. Boisko nadal wypełniały świece i pamiątki, podobnie jak miejsce wypadku, a miasteczko sprawiało wrażenie, jakby miało zostać zamknięte na tydzień z powodu pogrzebów.

Z okna sypialni na piętrze obserwowała, jak Talmadge idzie przez tylne podwórko i znika między drzewami. Sosnowy zagajnik wchłonął go, gdy wracał na skróty do rodzinnej farmy, ale Leah jeszcze długo przyglądała się iglakom, które kołysały się na wietrze, uparcie zielone, wbrew temu, że wszystkie pozostałe drzewa w okolicy poddały się porze roku.

13. Marglyn

Niedziela

Musieli przejechać obok miejsca wypadku, żeby dostać się do domu. Nie dało się tego w żaden sposób uniknąć, jeśli nie zamierzali się wyprowadzić, bo wypadek miał miejsce na końcu drogi dojazdowej, przy której mieszkali. Dochodziła ona do głównej trasy przebiegającej przez miasteczko, ale ich dom znajdował się na tyle daleko od niej, że można go było uznać za położony na przedmieściach. Działka od dawien dawna była w rękach rodziny Hale'a i Marglyn nigdy nie zastanawiała się nad przeprowadzką. Aż do teraz, gdy doświadczyli tu osobistej tragedii.

Marglyn zaczęła zamykać oczy, gdy mijali ten punkt w drodze do i z różnych miejsc, w których mieli „coś do ustalenia”. Zobaczyła jednak wystarczająco dużo, żeby mieć przed oczami pamiątki zostawione tam, gdzie samochód zakończył swą podróż. Pamiętała tę podartą ziemię i wciąż czuła w powietrzu zapach spalenizny. Widziała pluszowe zwierzątka, plakaty z kondolencjami, kwiaty z kwiaciarni w Trout's, prowizoryczne krzyże z wypisanymi markerem imionami dziewcząt. Ktoś ułożył na trawie trzy tiary z napisem *KSIĘŻNICZKI Z WORTHY*.

Ludzie starali się okazać szacunek i współczucie, ale to wszystko wydawało się jej zbyt krzykliwe i bardziej pasowało do karnawału niż do pogrzebu. Gdyby nie to, że byłoby to w absolutnie złym tonie, poszłaby tam i wyrzuciła wszystko. Zastanawiała się, kiedy taki gest będzie stosowny i czy w ogóle ktokolwiek to zrobi. Może te pamiątki zostaną tam na zawsze, niszcząc wraz z kolejnymi porami roku.

Hale ją woził. Oboje poruszali się jak automaty i nie rozmawiali, nie licząc podstawowych wskazówek. Robert przez większość czasu pojawiał się i znikał bez jej wiedzy odnośnie do tego, gdzie lub z kim przebywa. Marglyn zamknęła pokój Mary Claire, bo nie była na razie w stanie znieść zapachu i widoku tego miejsca. Wiedziała jednak, że kiedyś w końcu będzie musiała tam wejść. Na przykład potrzebowali sukienki, w której Mary Claire zostanie pogrzebana. Sukienki z szafy z jej pokoju.

Co do sukienki Marglyn nie miała wątpliwości — powinna to być ta, którą razem wybrały na mający się odbyć za dwa tygodnie zjazd absolwentów. Mary Claire została wybrana do dworu i uważano ją za faworytkę do tytułu królowej. Jedną z ich ostatnich rozmów dotyczyła tego, jak MC zareaguje, jeśli nie uda jej się wygrać. Marglyn uznała, że musi skwitować to słowami: — Ale na pewno wygrasz. — Cieszyła się, że to powiedziała. Starła się skupiać na tych dobrych chwilach, zamiast na tej okropnej ostatniej rozmowie.

Dzisiaj Hale wioził ją na cmentarz w pobliżu jeziora Worth na spotkanie z innymi rodzicami w celu wyboru kwater. Postanowiono (Marglyn nie była w stanie powiedzieć, kiedy i kto postanowił, wszystko pamiętała jak przez mgłę), że dziewczęta zostaną pochowane obok siebie. Nie była pewna, czy podoba jej się ten pomysł, ale wszyscy zdawali się uważać, że tak należy zrobić. Ona nie miała pojęcia, co należy zrobić, więc przystała na to i zachowała swoją opinię dla siebie.

Wzięła prysznic, ubrała się, nałożyła delikatny makijaż i wsiadła do auta obok Hale'a. Trzymała dłonie na kolanach, gdy jechali długą drogą dojazdową (jak dziewczyny tamtej nocy) i skręcili w lewo na główną arterię (jak dziewczyny tamtej nocy). Tyle że teraz nikt więcej nie jechał, a Hale był znacznie bardziej doświadczonym kierowcą niż Keary Malone, więc nic im nie groziło. Byli bezpieczni, ich córka była martwa, a oni jechali wybrać kwaterę, w której jej ciało zostanie złożone na zawsze. Marglyn czuła, że jej umysł odrzuca tę prawdę, stara się ją omijać, a

gdy na nią wpada, natychmiast ucieka.

Przejechali główną drogą przez miasteczko, jak niezliczone razy wcześniej, a potem skręcili w stronę jeziora. Marglyn podniosła wzrok, gdy przejeżdżali obok billboardu z Diane Riggle, która patrzyła na nich jak święta patronka piękna. Marglyn pomyślała o czasach, gdy jeździła z Mary Claire nad jezioro i mijaly ten billboard, a ona przypominała córce o bezpieczeństwie nad jeziorem, kremie z filtrem i wszystkich tych rzeczach, które rodzice mówią dzieciom, by były bezpieczne. Któregoś dnia wskazała na billboard z zamiarem powiedzenia córce czegoś wspierającego, czegoś, co sama chciałaby usłyszeć z ust własnej matki.

— Jesteś równie piękna jak ona — stwierdziła, mimo że Diane Riggle nie była już na tym plakacie zbyt piękna. Jej twarz tak bardzo wypłowiła, że zasadniczo zostały z niej tylko oczy patrzące spod wiszącej w powietrzu korony. Ale Marglyn wiedziała, że MC zrozumiała, o co jej chodziło. Uroda Diane Riggle była w Worthy legendarna. — Mogłabyś zostać Miss Georgii — dodała. — Gdybyś tylko chciała.

Zaparkowali na niewielkim zwirowym parkingu obok cmentarza z pomnikami, które były zatopione w ziemi, zamiast wznosić się nad jej poziom, z bukietami punktującymi krajobraz, rozpościerającym się w oddali jeziorem i ze strategicznie rozmieszczonymi wokoło ławeczkami. Cmentarz był piękny, chociaż Marglyn nie planowała tu pochować nikogo ze swojej rodziny. Zakładała, że spoczną przy kościele, jak ich przodkowie. Ale dziewczyny — każda z innego kościoła — miały być pochowane razem, więc w grę wchodziło tylko to miejsce. Marglyn wysiadła z samochodu, bo właśnie tu dojechali.

Pozostali otaczali dyrektora domu pogrzebowego, który odgrywał rolę przewodnika turystycznego, oprowadzającego grupę, jakby był to luksusowy ośrodek wypoczynkowy, a nie miejsce pochówku trzech dziewcząt, których płomień życia został zdmuchnięty zdecydowanie zbyt wcześnie. Poczwała, że ziemia osuwa jej się spod nóg i chwyciła Hale'a za przedramię, żeby się nie przewrócić. Podeszła z nim do grupy rodziców, trzymając się go tak kurczowo, jakby od tego zależało jej życie.

Nie rozmawiając zbyt wiele, całą grupą zaczęli krążyć po cmentarzu, a dyrektor domu pogrzebowego (cóż to za stanowisko!) wskazywał różne miejsca, w których zmieściłyby się trzy groby w jednym rzędzie. Omówili zalety i wady wspólnego, długiego na trzy groby pomnika, który podkreślałby to, że dziewczyny zostały „zabrane razem”, jak ujęła to matka Brynne, Cynthia.

Marglyn nigdy za nią nie przepadała. Cynthia była jedną z tych matek, które zawsze mają wszystko na miejscu, nigdy nie psuje im się fryzura i nigdy nie narzekają na zbędne kilogramy. Pomyślała o biednej Brynne, która musiała temu sprostać. Z pewnością nie było jej łatwo. Zastanawiała się, czy Hale zauważył różnicę między cudowną Cynthią i własną żoną, która mimo prób zamaskowania tego makijażem wyglądała, jakby to do niej przysła śmierć. Z matką Keary, Leslie, wymieniała smutne uśmiechy. Leslie była bardziej podobna do niej — milcząca, przerażona i obezwładniająco smutna.

Marglyn odwróciła się od grupy w stronę jeziora. W ten idealny jak z obrazka dzień niezmacona łódkami ani pływakami woda błyszczała w słońcu. Marglyn planowała zabrać dzieci nad jezioro w to lato, ale za każdym razem coś nie wychodziło. Oczywiście MC i tak prawdopodobnie stwierdziłaby, że ma inne plany. A gdyby jakimś cudem nie miała, przez cały dzień wisiałaby na telefonie, pisząc esemesy i robiąc selfie w takim tempie, od którego Marglyn robiła się nerwowa.

Odezwała się ku zaskoczeniu wszystkich:

— Powiedział pan, że ma trzy kwatery przy jeziorze?

Dyrektor spojrzał na nią i przytaknął.

— Ale są droższe.

Marglyn rozmawiała wcześniej z Hale'em o kosztach. Mieli pieniądze. Oszczędzali na studia dla dzieci od ich urodzenia i teraz przypuszczalnie oddadzą pieniądze MC innemu dzieciakowi, który chciałby pójść na studia, ale go na nie nie stać. Gdy Hale wspomniał, że będą to sobie mogli odpisać od podatku, miała ochotę uderzyć go w twarz. Typowy on, zawsze praktyczny. Ale kosztowne miejsce pochówku nad wodą, z ławeczką w pobliżu, żeby Marglyn mogła tu przychodzić, żeby pobyc w pobliżu utraconej córki? I żeby z nią porozmawiać, skoro MC nie jest już w stanie odejść? To była dobra inwestycja.

— Myślę, że powinniśmy wziąć te kwatery — stwierdziła. — Zorganizowano zbiórkę pieniędzy, jeśli dla kogoś koszty stanowią problem. — Spojrzała na pozostałe matki w poszukiwaniu potwierdzenia. Zabawne, że ojcowie byli tak bardzo cisi. Ciekawe, czy normalnie byli rozmowni i czy zamilkli z powodu obezwładniającego żalu. Kiedyś co jakiś czas przychodziła jej do głowy myśl, że mogłaby zapoznać się z rodzinami dziewcząt, z którymi Mary Claire spędza całe dni, ale nigdy nie było czasu. A teraz nie było takiej potrzeby. Nic ich nie łączyło prócz tej nagłej tragicznej straty. Zastanawiała się, czy będą na siebie wpadali na cmentarzu tak jak inni ludzie wpadają na siebie w sklepie spożywczym.

Cynthia i Leslie kiwnęły głowami. Marglyn stłumiła potrzebę, by je uściskać i powiedzieć: — Przykro mi z powodu waszej straty — jakby jej to nie dotknęło, jakby w jakiś sposób udało jej się zachować dystans. Oczywiście wcale tak nie było. Obdarzyła Cynthię słabym, wąskim uśmiechem. Uśmiechem, który miał wyrażać: *jakoś damy sobie z tym radę*. Albo: *jestem w tym z tobą*. Nie dlatego, że chciała być, lecz dlatego, że nie miała innego wyboru. Żadna z nich nie miała.

14. Darcy

Niedziela

Tylko ona była przy Grahamie w niedzielny wieczór, gdy w końcu się ocknął. Co okazało się szczęśliwym zrzędzeniem losu. Graham rozejrzał się z dezorientacją, a w jego spojrzeniu pojawił się przeblysłk bólu. Darcy instynktownie sięgnęła po przycisk wezwania pielęgniarki, żeby dać jej znać, że odzyskał świadomość. Nie nacisnęła go jednak. Zamiast tego obwieściła oczywistość:

— Jestem tu, kochanie. — Wstała z krzesła i nachyliła się nad nim, położyła dłoń na jego ramieniu przykrytym cienkim białym szpitalnym kocem. — Jestem tu, kochanie — powtórzyła.

Potał wargę o wargę i szepnął:

— Wody.

Kiwnęła głową i sięgnęła do stolika przy łóżku w poszukiwaniu dzbanka, który został tam postawiony kilka godzin temu. Pielęgniarka wypełniła go płatkami lodu i Darcy przez chwilę pocierała jednym z nich usta syna, lecz płatek roztopił się na gorącej skórze i woda spłynęła po podbródku. Zrezygnowała więc i zostawiła lód, by się roztopił. A teraz naląła resztki lodu z wodą do styropianowego kubka i podała go Grahamowi. Usiadł, żeby się napić i skrzywił się z bólu.

— Powoli i spokojnie — ostrzegła go.

Wysączył wodę, oddał jej kubek i bez tchu opadł z powrotem na poduszki, wykończony wysiłkiem, jakiego to wymagało. Zmusił się do uśmiechu, którym błysnął specjalnie dla niej.

— Przynajmniej powiedz mi, że wygrałem — powiedział. Próbował zaśmiać się na głos, ale zamiast tego zaczął kaszleć i znowu się skrzywił z bólu. Darcy usiadła sztywno i spojrzała na niego, jakby zobaczyła obcego człowieka.

Przestał kaszleć, gdy zauważył wyraz jej twarzy.

— Przepraszam, to był głupi żart — odparł skruszony. — Wiem, że jesteś wściekła za rozwalenie samochodu. — Zauważył nieobecność Tommy'ego. — Założę się, że tato nie chce mnie widzieć.

— Ścigałeś się — stwierdziła. To był pierwszy i ostatni raz, gdy wypowiedziała te słowa na głos. Plotki były prawdziwe. Świadkowie nie konfabulowali, żeby zwiększyć dramatyzm swych relacji. Jej syn ścigał się z kimś, gdy wjechał w auto pełne dziewcząt. To było takie samo zabójstwo, jak gdyby wziął pistolet i je powystrzelał. Obejrzała się za siebie, żeby się upewnić, że nikt tego nie słyszał. Jak dotąd policji nie udało się dowieść jego winy. Tommy rozmawiał już z adwokatem, który stwierdził, że prawdopodobnie da się uniknąć oskarżenia o ściganie. Mogli uniknąć odpowiedzialności, ale musiała wyjaśnić z synem okoliczności tego, co zaszło, i ewentualne konsekwencje.

Graham ciągnął głosem tak słabym, że ledwie go było słyhać:

— Wiem, wiem. To było głupie. Ja tylko... Whit Chambers gadał jakieś gów... znaczy gadał bzdury o tacie i chciałem... chciałem go po prostu uciszyć. — Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. — No i chyba... straciłem panowanie lub... — Otworzył oczy. — Chwila — stwierdził, jakby coś nagle mu zaświtało. — Był jeszcze jeden samochód? Czy ja... — Rozejrzał się po pokoju. — Czy ja w kogoś wjechałem?

Darcy nachyliła się tak blisko, że niemal dotknęła nosem jego nosa i powiedziała przyciszonym głosem:

— Owszem, wjechałeś. I już *nigdy*, *ale to nigdy* nie powiesz, że tamtej nocy się ścigałeś. Od tego zależy twoja przyszłość. Zrozumiano?

Przygnębiony opadł głową głębiej w poduszkę i przytaknął z oczami szeroko otwartymi z szoku, przerażenia lub poczucia winy. Nie potrafiła tego stwierdzić. I tak naprawdę wcale ją to teraz nie obchodziło. Oboje zamilkli. Graham zauważył telewizor na ścianie, na którym leciało coś bez dźwięku. Film *60 sekund*. Przez chwilę oglądał, jakby go to zainteresowało, po czym spojrzał na nią.

— Czy ktoś został ranny? — spytał.

Darcy przypomniała sobie zawrodożenie, które w sobotę nad ranem dobiegało z drugiego końca korytarza. Rodzice dziewcząt wrócili już, rzecz jasna, do domów. Planować pogrzeby. Oni musieli pochować swoje zabite dzieci, a ona siedziała w pokoju szpitalnym i czekała, aż jej żyjące dziecko się ocknie i rozpocznie długi proces rehabilitacji. Miała doskonałą świadomość niesprawiedliwości takiego obrotu rzeczy, ale nie zamieniłaby się miejscami z żadną z pozostałych matek, nawet gdyby było to możliwe. Wolała swoje pokiereszowane i winne dziecko niż jedno z ich martwych i niewinnych.

Potrząsnęła głową ze łzami w oczach, żeby zrozumiał, że nie, nikt nie został ranny i że to byłby najlepszy możliwy scenariusz. Nie chciała zdradzać mu prawdy. Nie chciała obciążać go tym, co zrobił. Musiał jednak poznać prawdę, a czy nie najlepiej będzie, jeśli dowie się o tym od niej? Odchyliła się, nie przerywając kontaktu wzrokowego z nadzieją, że spojrzeniem przygotuje go na złą wieść, jaką zamierzała mu przekazać.

— Kilka dziewczyn... zginęło.

Wciągnął gwałtownie powietrze. Położyła mu dłoń na ramieniu. Miała ochotę dodać: *ale to nie twoja wina*. Tyle że to była jego wina, więc nie powiedziała nic więcej.

— Jakie dziewczyny?

— Z twojej szkoły — westchnęła. — Trzy cheerleaderki.

Z trudem wziął kolejny oddech.

— Które? — spytał drżącym głosem. W jego oczach wezbrały łzy.

— Brynne Ellison, Keary Malone i Mary Claire Miner — odparła. Łzy spływały mu po policzkach. Wyciągnęła chusteczkę z pudełka na stoliku przy łóżku i podała mu. Wziął ją i przytknął do oczu, ale skrzywił się, gdy trafił w opuchliznę. — Jechały na imprezę — dodała tylko po to, żeby coś powiedzieć. — I być może wpadły ci prosto przed maskę, gdy wjechały na główną ulicę. Bez dwóch zdań miałeś zbyt dużą prędkość, ale to, czy się ścigałeś, to zupełnie inna kwestia. Zupełnie inne wykroczenie. — Przerwała i przełknęła. — Dlatego już nigdy nie wspominaj o tym, że się ścigałeś.

— Whit Chambers tego nie powiedział?

Potrząsnęła głową.

— To z nim się ścigałem. On zna prawdę.

— Cóż, wątpię, żeby chciał donosić na siebie, bo w ten sposób stałby się współwinnym tego, co się stało tym dziewczynom. Dopóki więc obaj będziecie trzymać buzie na kłódkę, jest tylko kilku naocznych świadków, którzy zeznali, że ich zdaniem się ścigaliście. Tyle ma policja. Ojciec wynajął adwokata, który uważa, że być może uda się zrzucić winę na dziewczyny.

Graham odsunął się, jakby został uderzony.

— Jesteś gotowa zrzucić winę na nie? Mimo że są... martwe? — Ostatnie słowo wyszeptał, jakby było zbyt straszliwe, żeby wymawiać je na głos.

Darcy przycisnęła guzik wezwania pielęgniarki, kończąc tym gestem rozmowę.

— Później omówimy szczegóły. W tej chwili istotne jest to, żebyś wydobrzeł i wrócił do domu. — Poklepała go po ramieniu i znowu się do niego nachyliła. — Kocham cię — powiedziała głosem silniejszym i pewniejszym, niż w rzeczywistości się czuła. Głosem pochodzącym z miejsca w jej duszy, którego istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała.

* * *

Kilka minut po tym, jak Graham z powrotem zapadł w sen, zjawił się Tommy, co wyglądało, jakby to zaplanował. Darcy widziała po nim, jak bardzo nieswojo czuje się w tej sytuacji. Czuwał z nią przy synu z poczucia obowiązku, zastanawiała się jednak, czy to ma sens. Czy jego obecność była w ogóle potrzebna, skoro najwyraźniej wcale nie chciał tu być?

W pewnym sensie przypominało to dni tuż przed tym, gdy zadał jej oczekiwany cios i ogłosił, że się wyprowadza do mieszkania, które udało mu się naprędce znaleźć. Widziała je; było paskudne, znacznie poniżej jego standardów. Mimo to przeniósł się tam i to tymczasowe lokum stało się de facto jego nowym domem. Zastanawiała się wtedy, czy naprawdę miał ochotę tam być, czy może zapędził się w kozi róg, z którego duma nie pozwalała mu się wydostać. Tyle że to przestało być jej zmartwieniem. W tej chwili nie interesował ją Tommy tylko Graham.

— Ocknął się na chwilę, gdy cię nie było — streściła mu fakty, bo tak się teraz komunikowali.

Przez twarz Tommy'ego przebiegło coś na kształt nadziei.

— To chyba dobrze, prawda? — spytał. Czuła na sobie jego wzrok i wiedziała, że chce, żeby go pocieszyła. Żeby nawet w tej sytuacji powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Zobaczyła w wyobraźni sytuację, jak mówi młodszemu Grahamowi: — Spytajmy mamę, ona będzie wiedziała.

— Darcy? — ponaglił ją, zaniepokojony jej milczeniem. — Był w porządku, prawda? Gdy się ocknął?

Pomyślała o tym, do czego Graham się przyznał. Czy powinna powiedzieć o tym Tommy'emu? Jeszcze rok temu nie miałyby wątpliwości. Ale rok temu Graham miał piętnaście lat i dopiero zaczął się uczyć prowadzić samochód.

— Przekazałam mu informacje. — Podniosła wzrok na Tommy'ego. — O dziewczynach.

Tommy potrząsnął głową, stosownie zakłopotany.

— Jak to przyjął?

Spojrzała na niego, tym razem prosto w twarz, uniósłszy wyzywająco podbródek.

— A jak myślisz? Płakał. Jest zdezorientowany i załamany. Nie wspominając już o paskudnych boleściach. Pielęgniarka dała mu leki i z powrotem zasnął. — Graham poruszył się na łóżku i Darcy schyliła głowę, zawstydzona tym, że zakłóca mu sen gniewem wymierzonym w jego ojca. Czy nie powinna przynajmniej części tego gniewu skierować na Grahama? Coś w jej wnętrzu odpowiedziało natychmiast, odruchowo: *jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz.*

Tommy szepnął, jakby czytał jej w myślach:

— To moja wina. Wiem o tym. To ja to wszystko sprowokowałem. Niezależnie od tego, czy się ścigał czy nie. — Darcy słyszała jego głośny wdech i wydech, jakby miał z tym problem. Przeklinała się w myślach za to, że się tym przejęła. — Musimy być w tym razem — dodał, a słowa *musimy* i *razem* trafiły w sedno. Szukał w jej oczach potwierdzenia, błagając wzrokiem, by nie wymachiwała bronią, której dobywała zawsze, gdy był w pobliżu. Darcy nie potrafiła się zdobyć na nic poza uprzejmym przytaknięciem. — Będziemy go wspierać niezależnie od obrotu sprawy. Niezależnie od tego, co zaszło między nami w przeszłości i od tego, co będą mówić ludzie, jest naszym synem i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go ocalić. Nie dopuścimy, by to zdarzenie zrujnowało mu życie. — Przerwał z nadzieją, że uzyska od niej jakąś wylewniejszą reakcję.

Ale ona nie była w stanie wykrzesać z siebie niczego więcej.

— Okej — powiedziała do podłogi pod swoimi stopami. — Tak właśnie zrobimy.

15. Ava

Niedziela

W niedzielę wieczorem Ava zostawiła dzieci z teściami i poszła do Chessmana. Nie robiła tego od miesiący, bo po kilku próbach tuż po przeprowadzce przekonała się, że jest tam traktowana jak obcy. Ale poranna scena pod kościołem odnowiła w niej nadzieję. Ava była powiązana z tą tragedią poprzez pracę w szkole i wiedzę na temat dziewcząt. Mogłaby usiąść z mieszkańcami i omówić najnowsze doniesienia. Mogłaby sprawić, że Clay będzie z niej dumny. Mogłaby zyskać poczucie przynależności.

Ale w Chessmanie Clay był zajęty i nie wydawał się specjalnie podekscytowany jej obecnością.

— Gdzie dzieciaki? — spytał, a na jego twarzy zamiast radości malowało się osłupienie.

— Z twoimi rodzicami — odparła, a w duchu pomyślała, że to przecież oczywiste. Jego następne słowa zabolaly ją bardziej niż osłupiały wyraz twarzy.

— Ale przecież jutro jest szkoła.

Nie próbowała ukryć bólu.

— One mają dwa i cztery lata. Nie chodzą jeszcze do szkoły — odpowiedziała.

— Ale ty chodzisz — stwierdził.

Musnął jej policzek w sposób, który miał być pocałunkiem, ale jego usta nawet nie dotknęły jej skóry. Przegnał ją z miejsca dla hostessy, tłumacząc coś o zbyt małej liczbie pracowników i zbyt dużym ruchu. Najwyraźniej wszyscy chcieli wyjść z domu, żeby pogadać z kimś o tragedii. Ava stała niezręcznie z boku, obserwując zajęte stoliki i zastanawiała się, jak i do kogo podejść. W zasadzie nikogo zbyt dobrze nie знаła.

Prócz jednej osoby. Po drugiej stronie pomieszczenia dostrzegła znajomą twarz. Znajomą twarz, na którą nie powinna reagować. Siedział obok Figa Newtona, trenera futbolu, który był w miasteczku legendą. Na jej widok twarz chłopca rozjaśniła się szerokim, zadowolonym uśmiechem. Ava przekonywała się, że jest jej obojętne, iż ta twarz należy do niego. W czasie burzy każdy port jest dobry. Zmusiła się do przybrania zrelaksowanego wyrazu twarzy, gdy zobaczyła, że chłopak ruszył w jej stronę.

Miała świadomość, że są w miejscu publicznym, ale nieraz już widziano ich razem w trakcie rozmów w równie publicznych korytarzach szkolnych i klasach. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Do niczego nie doszło. Avie, niczym nieproszony gość, mignęła przed oczami zszokowana twarz Keary. Odegnęła ten obraz i zracjonalizowała w myślach aktualną sytuację. To facet, który jest jej przyjacielem. W Atlancie miała mnóstwo przyjaciół i nie stanowiło to żadnego problemu. Dlaczego tutaj miałyby być inaczej? Zignorowała myśl, że tutaj wszystko było inne. Ale ta sytuacja była inna, dobrze o tym wiedziała.

— Hej — powiedział.

— Hej — odparła. Poczula się nieśmiało, jak uczennica szkoły średniej. Był przystojny, czarujący i pewny siebie w sposób, jakiego mu zazdrościła. Może chodziło o to, że miała styczność z uczniami, którzy wzbudzali w niej uczucia i zmuszali do ukrywania sekretów. Może o to, że im bliżej była trzydziestki, tym bardziej uświadamiała sobie kończącą się młodość. A może o to, że jej mąż nie był zbyt zadowolony z jej przyjścia. Niezależnie od przyczyny wiedziała jedno: cieszyła się ze spotkania z tym chłopakiem.

Oboje nerwowo rozejrzeli się po restauracji, żeby nie patrzeć sobie w oczy.

— Sporo ludzi dzisiaj — zauważyła.

— No — potwierdził. — Ludzie trajkoczą o tym, co się stało.

— To będzie trudne, wrócić jutro do szkoły — stwierdziła.

Westchnął.

— Owszem. Na pewno sporo dziewczyn będzie płakać.

Przytaknęła. Pomyślała o tym, co zamierza powiedzieć klasom, szczególnie tej, do której chodziła Keary. Słyszała, że odbędzie się jakiś specjalny apel. Może odbędzie się akurat w trakcie tej lekcji.

— Cóż, właśnie miałem zmykać — obwieścił. Przeszłował z nogi na nogę i wyglądał na zakłopotanego.

— Tak, rozumiem — przyznała. — Ja też chyba już idę. Miałam tu tylko... coś do załatwienia. Wiesz... — Wskazała miejsce dla hostessy, starając się zabrzmieć nonszalancko. Pomachała do kobiety, którą ledwie знаła, żeby sprawić wrażenie kogoś ze środowiska. Kobieta odmachwała ze sztucznym uśmiechem i wróciła do swojej rozmowy. Ciekawe, czy rozmawiały o niej. Jeśli w ogóle była dla nich warta plotkowania. Ale gdy otaksowały ją pogardliwymi spojrzeniami, domyśliła się, o co im chodzi. Była znacznie młodsza od Claya. Czy zależało jej tylko na wejściu w dynastię Chessmanów? Jeśli nie, to na czym?

— W takim razie możemy wyjść razem — powiedział.

— Owszem — zgodziła się. — Możemy. — Nie potrafiła stłumić uśmiechu, gdy chłopak zupełnie zniwelował ból wynikający ze spławienia przez Claya. Wyjście z nim będzie znacznie lepsze niż wyjście w pojedynkę.

— Wezmę tylko płaszcz — stwierdził i ruszył w stronę ludzi, z którymi siedział, żeby się pożegnać i zabrać płaszcz. Rzucił jakieś pieniądze na stół. Ava strategicznie przemieściła się bliżej drzwi, żeby ich wspólne wyjście nie było tak ostentacyjne. Pójdą razem na parking do swoich samochodów. Nie było w tym niczego złego. Codziennie ktoś tak robi. Tyle że ona była mężatką, a on jej się podobał, tyle było w tym złego.

Przypomniały jej się słowa matki, kiedy Ava zaczynała przesadzać. Gdy wagarowała, gdy spotykała się z motocyklistą, gdy zawałiła jeden z przedmiotów, zawsze słyszała ten sam refren: „Uważaj, dziewczyno, igrasz z ogniem”. Ale nie zważała na to, ani wtedy, ani teraz. Otumanienie życiem domowym na przedmieściach sprawiło, że zapomniała, jak bardzo lubiła igrzać z ogniem i że nigdy się nie sparzyła, a ogień zawsze jedynie rozgrzewał jej skórę.

W drzwiach restauracji pomachała do Claya, który z rozkojarzeniem pomachał jej z drugiego końca sali. Przytknął kciuk do ucha i mały palec do ust w klasycznym geście „zadzwoń”, ale ona zignorowała go i odwróciła się, zastanawiając się, czy w ogóle odebrać telefon, gdy do niej zadzwoni. Niech dla odmiany on poczuje się spławiony.

Poczekwała na chłopaka na chodniku przed drzwiami. Na wypadek, gdyby ktoś ją obserwował, szukała czegoś w torebce. Podszedł do niej ukradkiem i szturchnął ją ramieniem.

— Dzięki, że zaczekałaś. Musiałem dokończyć rozmowę.

— Spoko — wzruszyła ramionami. — Nie mam już dzisiaj planów.

Uśmiechnął się.

— A powinnaś mieć. — Ruszyli w stronę samochodów.

— Ciężko mi. Tutaj. — Spojrzała na niego i zauważyła zmarszczki przy jego oczach. Przymrużał powieki i patrzył na nią uważnie za każdym razem, gdy mówiła. — Niezbyt łatwo się tu zaaklimatyzować, gdy nie jesteś stąd.

Przytaknął z powagą.

— No wiem. — Odwrócił głowę w stronę restauracji, jakby oglądał ją z perspektywy osoby spoza miasteczka, po czym wrócił spojrzeniem do Avy. — Ale nie poddawaj się jeszcze. Daj ludziom szansę, by cię polubili. — Poczekał, aż odda mu spojrzenie, i dodał: — Jak ja.

Czuła, że nachyla się do niej, jakby zamierzał ją pocałować, więc oddaliła się o krok, żeby to uniemożliwić. Tym razem ona odwróciła głowę w stronę restauracji i spojrzała na migający w górze czerwony neon z nazwiskiem jej męża — i jej.

16. Leah

Poniedziałek

W poniedziałek Leah poszła do szkoły, chociaż usłyszała od mamy, że nie musi, jeśli czuje się „zbyt rozbita”. Tragedia i otaczające ją niewypowiedziane wątpliwości wprawiły jej mamę w tryb paniki, bo potwierdziły jej najgorsze obawy dotyczące „czyhających na zewnątrz zagrożeń”. Leah czuła, że mama wolałaby mieć ją blisko siebie. Wiedziała jednak, że jeśli nie pójdzie do szkoły, w końcu usłyszy od niej to pytanie o noc wypadku.

Widziała je w jej ustach za każdym razem, gdy mama się do niej odzywała. Czaiło się za zębami, czekając na okazję do wyskoczenia na zewnątrz za sprawą jej szybkiego języka. Jak dotąd karta „zbyt rozbitej” trzymała mamę w ryzach, ale Leah wiedziała, że to nie potrwa długo. W ten sposób mogła odpychać nieuniknioną prawdę przez kilka dni, może tydzień, jeśli mama będzie szczególnie hojna.

Lepiej było wrócić do szkoły i być przemaglowanym przez innych uczniów na temat przyczyn jej nieobecności w tym samochodzie. Mimo wszystkiego, co się stało, decyzja już zapadła. Leah podda się maglowi w szkole i nie będzie myśleć o niczym innym. W trakcie ubierania przekonywała się, że jeśli przetrwa pierwszy dzień, to wszystko będzie dobrze.

Podniosła się na duchu tym, że pod koniec tygodnia wspomnienia na pewno przyblakną, skończą się pogrzeby i ludzie zapomną, że nie było jej tam, gdzie owej nocy miała być. Wszystko wróci do normalności — poza tym, że będzie musiała znaleźć sobie nowe trzy najlepsze przyjaciółki.

Oczywiście na pierwszej lekcji — angielskiego — Keary nie było. Pani Chessman stanęła niepewnie z przodu i przywitała wszystkich, przez cały czas zerkając na pustą ławkę. Leah usiadła obok tej ławki i uśmiechnęła się smutno, gdy nauczycielka spojrzała jej w oczy. Zadzwoił dzwonek i zaczęła się lekcja, ale zamiast zwyczajowych pogawędek zapanowała grobowa cisza. Cała szkoła ucichła i tylko od czasu do czasu słychać było czyjś płacz.

Leah nie miała zamiaru przy nikim płakać. Obiecała to sobie. Czasem udawała, że też zginęła tej nocy i że jest równie zimna i nieruchoma jak Keary, Brynne i MC. Nietrudno było to sobie wyobrazić.

— W weekend doświadczyliśmy niewypowiedzianej straty — zaczęła pani Chessman, stwierdzając oczywistość. — Chciałabym, żebyście wiedzieli, że jeśli macie potrzebę z kimś porozmawiać — zerknęła przelotnie na Leah, lecz szybko odwróciła wzrok — możecie w każdej chwili udać się do gabinetu psychologa szkolnego. — Spojrzała na trzymaną w dłoni kartkę. Leah wyobraziła sobie, że to skrypt zatytułowany: „Co powiedzieć uczniom, którzy przeżyli traumę”. Pani Chessman ciągnęła: — Przez cały dzień będą tam dodatkowi pracownicy i duchowni. Z chęcią pomogą wszystkim, którzy potrzebują modlitwy lub zwyczajnej rozmowy. — Pani Chessman zatknęła kosmyk włosów za ucho. Była dość ładna. Albo próbowała być. Leah słyszała, jak chłopcy rozmawiali o tym, co chcieliby z nią zrobić. Krążyły plotki, że ma romans z asystentem trenera, panem Duffym, ale Leah w to nie wierzyła. Na meczu widziała panią Chessman z mężem i dziećmi. Wyglądali na szczęśliwych. A przynajmniej tak szczęśliwych jak większość ludzi.

— W tym tygodniu odbędą się pogrzeby i każdy, kto będzie chciał pójść, zostanie zwolniony z zajęć szkolnych. — Pani Chessman zaczęła czytać bezpośrednio z kartki. — Nie będzie też żadnych zadań domowych ze względu na wieczorne spotkania przedpogrzebowe. Uczniów zachęca się do uczestnictwa we wszystkich tego rodzaju wydarzeniach, w jakich czują,

że powinni wziąć udział. Szkoła pragnie okazać wsparcie rodzinom ofiar.

Sarah Chisholm, także cheerleaderka, podniosła rękę.

— Słyszałam, że piątkowy mecz ma zostać odwołany. Czy to prawda? — Jej głos był nieco spięty, prowokacyjny. Czym innym było zwolnienie uczniów z zajęć, żeby mogli pójść na pogrzeby i spotkania, a czym innym odwołanie meczu w środku sezonu. Leah nie wyobrażała sobie bycia cheerleaderką bez Keary, Brynne i MC. Zawsze podrzucały Keary, bo była najmniejsza. Kogo teraz będą podrzucać?

Pani Chessman nerwowo przejrzała druk w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie Sarah.

— Hm, nie widzę tu nic na ten temat. Ale przypuszczalnie ta kwestia zostanie rozwiązana w późniejszym terminie.

Odłożyła kartkę i sięgnęła po leżącą na jej biurku książkę.

— Ponieważ za kilka minut mamy udać się na specjalny apel, nie będę zaczynała nowej lekcji. — Klasa wydała z siebie zbiorowe westchnienie ulgi. — Chciałam wam jednak przeczytać ten wiersz Emily Dickinson, słynnej poetki, jednej z moich ulubionych. Emily Dickinson dość mocno fascynowała się śmiercią i często poruszała ten temat w swoich wierszach. Pomyślałam więc, że przeczytam wam jeden z nich, a wy napiszecie krótko o swoich refleksjach. A potem pójdziemy na salę gimnastyczną, okej?

Pani Chessman często kończyła swoje wypowiedzi pytającym „okej”, jakby nie była pewna swoich działań. Zdaniem Leah radziła sobie równie dobrze jak każdy inny nauczyciel w tej szkole, mimo że wydawała się bardziej spięta i znacznie mniej zagniewana niż pozostali. Leah nie mogła się powstrzymać przed darzeniem jej sympatią. Dopingowała jej przypuszczalnie dlatego, że obie były w tej szkole nowe i — w pewnym sensie — obie były outsiderkami.

Nauczycielka zaczęła czytać wiersz z małego tomiku, który wyglądał na jej własność, a nie na książkę ze szkolnej biblioteki. Tomik był oprawiony w skórę i miał czerwoną wstążkę, która tańczyła pod książką w trakcie lektury. Leah obserwowała ten taniec, nie zwracając uwagi na nic poza padającymi z ust nauczycielki słowami. Nie interesował jej Gus Nyhan z ławki obok, który rysował sobie na ramieniu pseudotatuaż. Ani siedząca z drugiej strony Andrea Hunt, która wpisywała imię swojego chłopaka w serce w swoim zeszycie. Ani ziejąca pustką ławka Keary. Leah słuchała i siłą powstrzymywała się od przytakiwania.

Emily Dickinson rozumiała nieuchronność śmierci. Nie bała się patrzeć jej w oczy. Leah także wiedziała, że śmierć kiedyś po nią przyjdzie, tak samo jak po wszystkich. Przyszła po jej przyjaciółki i prawdopodobnie spodziewała się, że ją także znajdzie w tym płonącym samochodzie. Leah udało się wymknąć z objęć śmierci, ale czy słusznie? Co jeśli ta noc była kosmiczną pomyłką? I jeśli była, co to oznaczało dla jej dalszego życia? Dlaczego ona ma przed sobą dalsze życie, skoro jej przyjaciółki mają pogrzeby?

Ale gdy nadszedł czas na zapisanie refleksji, Leah pominęła wszystkie te myśli. Napisała coś głupiego i dziecinnego, co brzmiało jak wypowiedź typowego ucznia tej szkoły, a nie jak wypowiedź osoby, którą była. Pisząc te słowa, Leah wcieliła się w Keary. Sprawilo jej przyjemność udawanie przyjaciółki i wyobrażanie sobie, co ta napisałaby o wierszu poświęconym śmierci. Tak dobrze się tym bawiła, że jej usta rozszerzyły się nieco w uśmiechu, co z pewnością wyglądało dziwnie, zważywszy na poruszany temat. Wtedy pani Chessman ogłosiła, że czas wyjść na apel.

Wszyscy rzucili długopisy i zerwali się na równe nogi, spragnieni czegokolwiek innego niż siedzenie w klasie. Ale Leah wolałaby nie iść na apel. Nie miała ochoty słuchać, jak nauczyciele wspominają jej przyjaciółki, nie chciała siedzieć z innymi uczniami, wylewającymi dramatyczne, teatralne łzy. Leah jak dotąd płakała tylko raz, późno w nocy w swoim pokoju, gdy miała pewność, że wszyscy poszli już spać. Lubiła mieć panowanie nad swoimi łzami, emocjami,

reakcjami. Chciała mieć nad czymś kontrolę na tym świecie, który tak bardzo zбочzył na manowce.

Sarah Chisholm, która po zniknięciu Brynne i Mary Claire stała się faworytką do tytułu królowej zjazdu, zobaczyła Leah, gdy ta wchodziła na salę gimnastyczną, i zawołała ją.

— Leah! Chodź tutaj! — Poklepała wolne miejsce obok siebie i rzuciła w stronę Leah błagalne spojrzenie. Sarah nie była osobą, której się odmawia, szczególnie że teraz niejako z automatu stała się najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Tragedia okazała się być dla niej korzystna.

Leah dołożyła wszelkich starań, żeby nie zdradzić się z paniką, którą poczuła. Sarah na pewno zaczęłaby ją wypytywać i robiłaby to na głos, w zasięgu słuchu otaczających ją futbolistów. (W Worthy High futboliści trzymali się razem z cheerleaderkami. Leah nie wiedziała, czy tak było wszędzie, ale tutaj zdecydowanie obowiązywała taka zasada). Sarah zaczęła demonstracyjnie machać, aż podskakiwały jej delikatne blond loczki. *Wygląda jak wróżka*, pomyślała Leah. Razem z Keary po kryjomu nazywały ją „Blondi”. Takie wspomnienia o Keary — zwykłych, codziennych zdarzeń — były najboleśniej.

Sarah zaskomlała po raz kolejny:

— Leeeeah! Chodź tutaj!

Leah rozejrzała się szybko w poszukiwaniu jakichkolwiek znajomych twarzy i dostrzegła grupę dziewcząt, z którymi chodziła na biologię. Wskazała na nie ze smutnym wyrazem twarzy, jakby obiecała im wcześniej, że usiądzie z nimi.

— Zobaczymy się później — odkrzyknęła. Mimo że wcale nie miała zamiaru tak zrobić.

Usiadła obok dziewcząt, które grzecznie kiwnęły głowami i uśmiechnęły się do niej, po czym zbiły się w ciaśniejszą kupkę i zaczęły między sobą szeptać. Gdyby Talmadge siedział obok niej, powiedziałaby do niego: „Dwie szanse na odgadnięcie, o czym rozmawiają, pierwszy strzał się nie liczy”. Ale Talmadge’a nie było. Na dodatek spławiła go, gdy chciał dotrzymać jej towarzystwa. Nie mogła się tym jednak teraz przejmować. W tej chwili był najmniejszym z jej zmartwień.

Dyrektor Harold Query (jego nazwisko ze zrozumiałych względów wydawało się uczniom bardzo zabawne¹) stanął na podium, rozpoczął apel i na ekranie zaczęto wyświetlać zdjęcia dziewcząt. Wyglądało to tak, jakby ktoś zebrał wszystkie fotografie, jakie wykonano im w szkole. Brynne i MC były w najwyższej klasie, więc miały znacznie więcej zdjęć niż Keary. *Jak w życiu, tak po śmierci*, pomyślała Leah.

Wbiła wzrok w swoje dłonie na kolanach i wyobraziła sobie, że są splecione na brzuchu jak w trumnie. Ciekawe, czy pracownicy zakładu pogrzebowego poprawiliby jej powyszczerbiane paznokcie, czy zostawiliby je w takim stanie, w jakim były teraz. Leah przed meczem pomalowała je na zielono — w barwy szkoły — ale przez te wszystkie dni po meczu lakier poodpryskiwał lub został poobgryzany i na każdym paznokciu zostały tylko małe zielone plamki.

— Hej, to ty! — Siedząca obok niej dziewczyna szturchnęła ją łokciem. Leah podniosła wzrok i zobaczyła własną uśmiechniętą twarz obok twarzy Keary, Brynne i MC. To było zdjęcie z pierwszego meczu. Pamiętała, że wszystko wydawało jej się wtedy surrealistyczne. Czuła się wyróżniona, będąc z nimi, w ich grupie. Spróbowała dostać się do cheerleaderek pod wpływem impulsu i nigdy nie sądziła, że jej się uda. Nigdy nie sądziła, że jako drugoklasistka trafi do starszej grupy. Czuła się wtedy jak urodzona w czepku, jak najszcześliwsza dziewczyna na świecie. Patrząc na to zdjęcie, widziała tę dziewczynę, zastygłą na wieki w tamtej chwili, gdy w ogóle nie myślała o tym, że to może się kiedyś skończyć. To było zaledwie kilka tygodni temu, lecz Leah miała wrażenie, jakby minęła cała wieczność.

Poczuła wzbierające w oczach łzy i rozważała opuszczenie sali. Ale w ten sposób jedynie zwróciłaby na siebie uwagę. A ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było zwrócenie na siebie uwagi uczniów. Szczególnie niektórych. Spojrzała w dół na grupkę futbolistów otaczających Sarah i pozostałe cheerleaderki. Praktycznie w ogóle nie interesowali się pokazem zdjęć. Dwóch zawodników pochylało się nad telefonem. Szepotali coś do siebie, tłumiąc śmiech. Odwróciła się zdegustowana. Podobno będą nieśli trumny na wszystkich trzech pogrzebach. Skupiła się z powrotem na swoich dłoniach.

Gdy pokaz się skończył, dyrektor Query zaczął nudzić o stracie dla szkoły i bólu, jaki z całą pewnością wszyscy odczuwają. Uzpełnił informacje pani Chessman o psychologach i duchownych (wśród których był też pastor Leah). Leah spróbowała sobie wyobrazić, że idzie do wielebnego Lelanda Bighama, żeby pomodlić się w związku ze swoją sytuacją. Ciekawe, jaką zrobiłby minę, gdyby bez ogródek wyjawiała mu, co robiła tamtej nocy. Stłumiła uśmiech, gdy o tym pomyślała. Leland Bigham okrutnie by się wściekł i ją zwymyślał. Może nawet padłby trupem na atak serca. W końcu był dość okrągłym facetem i nie wyglądał na zbyt zdrowego. Leah widziała go kiedyś u Chessmana z ustami wypchanymi smażonym kurczakiem i z błyszczącym od tłuszczu podbródkiem.

Gdy dyrektor skończył, jego miejsce zajęła Jill Dean, która opowiedziała o inspiracji dawanej przez dziewczęta. „Panna Jill”, jak o niej mówili, była cheerleaderką, która została fryzjerką i pełniła ochotniczo funkcję trenerki cheerleaderek, co okazało się dla niej świetnym zabiegiem marketingowym, jako że robiła włosy wszystkim aktualnym cheerleaderkom. I ich matkom. Leah zastanawiała się, czyje wizyty musiała odwołać, żeby przyjść na apel.

Kątem oka dostrzegła zamieszanie w miejscu, gdzie siedzieli futboliści. Do dwójki, która gapiała się w ekran, zamiast skupiać się na apelu, podeszła nauczycielka. Próbowła zabrać im telefon, z czego wynikła mała szarpanina. Leah, podobnie jak wszyscy w jej otoczeniu, obserwowała z zainteresowaniem całą sytuację. Nauczycielka zwyciężyła, odebrała im telefon i spojrzała na ekran. Sądząc po wyrazie jej twarzy, zobaczyła tam coś bardzo niepokojącego. Odeszła z telefonem w dłoni, machając wolną ręką do innych nauczycieli.

Kilka chwil później chłopców wyrzucono z sali, pośpiesznie zakończono apel i nauczyciele wyszli, zostawiając uczniów, by rozeszli się do klas. Ale Leah nie wstała i gdy wszyscy wyszli, w sali została tylko ona i woźni. Patrzyła, jak demontują wykorzystaną do prezentacji platformę, rozbierają ją kawałek po kawałku, aż w końcu zabrali wszystko.

1 *Query* czyta się podobnie jak *queer* (ang. „dziwak” lub „pedał”) — *przyp. tłum.*

17. Marglyn

Wtorek

Pogrzeb Mary Claire był pierwszy. Nie żeby Marglyn tak sobie życzyła. Po prostu tak wyszło z ustaleń kościoła z domem pogrzebowym. W poniedziałek wieczorem przyjmowali wizyty, a we wtorek odbywał się pogrzeb. Kościół był wypełniony po brzegi. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte i ludzie tłoczyli się na stojąco, część na schodach kościoła, za otwartymi drzwiami. Marglyn pomyślała, że dobrze, że nie pada.

Nie łudziła się, że ci wszyscy ludzie przyszli tu dla jej córki. Wiedziała, że są tu z ciekawości, bo chcą znaleźć się jak najbliżej tragedii. Obserwowała to wszystko — całą tę pompę i podniosłość — z dystansu, jakby przytrafiło się to komuś innemu. Scena pogrzebu (tak ją właśnie widziała, jako scenę w teatrze) tańczyła jej przed oczami w zamglonych barwach, a pozbawione ciał głosy i twarze unosiły się w jej polu widzenia i znikwały. Tuż przed pogrzebem wzięła przepisane jej valium i cieszyła się z efektu, z tego odsunięcia emocji na bok. Chciałaby, żeby ten stan nigdy się nie skończył.

Po dzisiejszym śnie wiedziała, że będzie potrzebowała tych pigułek. We śnie przyszła do kościoła na pogrzeb w jednej z sukienek Mary Claire. Ale kościół był pusty. Rozejrzała się i pomyślała, że musiała pomylić godzinę. Wtedy zauważyła Mary Claire, siedzącą zupełnie z przodu. Miała na sobie jedną z sukienek Marglyn. Córka odwróciła się, poklepała ławkę obok siebie i powiedziała:

— Mamo, zajęłam ci miejsce.

Marglyn podbiegła do niej z niesłychaną ulgą, że ją widzi całą i zdrową. To była prawdziwa Mary Claire: jej głos, uśmiech, jasne, radosne oczy. Przytuliła ją mocno, czując jej realność. Ucieszyła się, że wreszcie się to skończyło i że dostała drugą szansę, by powiedzieć coś innego niż te paskudne ostatnie słowa, których nie dało się wycofać. Usiadła obok córki. Mary Claire odwróciła się do niej i położyła dłonie na jej kolanach. Z jej oczu biło ciepło.

— Nie uwierzysz, mamo — powiedziała. — To jest takie piękne.

Po tych słowach zniknęła, zostawiając Marglyn w kościele samą.

— Zaczekaj! — krzyknęła, ale jej głos został wchłonięty przez wiszące wokoło gobeliny z cudami Jezusa. Przebudziła się gwałtownie i próbowała zauważyć coś w ciemnym pokoju. Hale oddychał głęboko obok niej z otwartymi przez sen ustami.

Resztę nocy spędziła na przypominaniu sobie każdego szczegółu tego snu. Chciała wierzyć, że gdziekolwiek córka teraz jest, naprawdę do niej przyszła, oraz że czuje się szczęśliwa i spełniona, a w niebie jest tak pięknie, jak powiedziała. Mimo to bolały ją ramiona z tęsknoty, a przez głowę przebiegały jej te wszystkie rzeczy, których nie zdążyła powiedzieć, bo Mary Claire znowu zniknęła. Gdy przez zasunięte zasłony zaczął przedzierać się świt, Marglyn wstała i ruszyła na poszukiwania fiołki valium, wciśniętej jej w dłoń przez lekarza rodzinnego podczas wieczornego spotkania żałobnego.

Marglyn chciała zobaczyć Ginny, gdy pierwsi wychodzili na zewnątrz. Hale podtrzymał ją za łokieć, a Robert dreptał im po piętach, niemal przyklepiony do płaszcza taty. Zwartą trzyosobową grupką przesuwali się w stronę limuzyny, która miała ich zawieźć na cmentarz przy jeziorze — miejsce ostatniego spoczynku ich córki i siostry.

Spojrzała w stronę ławki, w której siedziała Ginny. Zastanawiała się, jak udało się jej tu dotrzeć, i miała nadzieję, że niezależnie od tego, co wykombinowała, nie da rady stawić się na ceremonii przy jeziorze. Marglyn nie miała ochoty jej tam widzieć. Nie miała ochoty w ogóle jej

widzieć. Ani teraz, ani prawdopodobnie nigdy. Widok Ginny wzbudzał w niej szczegółowe wspomnienia dnia śmierci córki — wściekłą wymianę zdań, wieczór spędzony z Ginny zamiast z Mary Claire, nieznośną ciszę w drodze z Macon do szpitala z Ginny na siedzeniu pasażera.

Odwróciła się w tamtą stronę tuż przed wyjściem z kościoła i złapała wzrok Ginny. Przez tę krótką chwilę Ginny wysłała jej tęskne spojrzenie, którym prosiła ją o wybaczenie. Ale Marglyn szybko się odwróciła, zdając się na siłę rozpędu, która kazała jej zejść po schodach na chodnik i schronić się w limuzynie. Zamknięcie drzwi odcięło ją od świata, a przyciemniane szyby chroniły przed gapiami.

Na szczęście Ginny nie stawiała się na cmentarzu. Niewiele osób zdecydowało się na wędrowkę nad jezioro, i całe szczęście. Jedna z uczennic ze szkółki niedzielnej, do której chodziła Mary Claire, zaintonowała czystym, pięknym głosem pieśń. Potem pastor zwięźle pożegnał zmarłą, Marglyn, Hale i Robert położyli na jej trumnie białe róże i ceremonia się skończyła. Wszyscy ruszyli do samochodów, szpilki kobiet zatapiały się w trawę, lecz Marglyn została.

Hale podszedł do niej, żeby ją odciągnąć.

— Zostaję — powiedziała, odsuwając się poza zasięg jego rąk. Nie umiała wyjaśnić, dlaczego to robi. Nie chciała widzieć opuszczania trumny ani tego, jak przyjdą mężczyźni, żeby zasypać dziurę. Ale nie potrafiła opuścić córki. Przypomniało jej się, jak Mary Claire miała trzy latka i przechodziła przez fazę symbiozy z matką. Zawsze chciała być z Marglyn. Zostawianie jej w żłobku przykościelnym co niedzielę rano było koszmarem. Marglyn miała teraz przed oczami tamtą Mary Claire, małą dziewczynkę, która wyciągała swe rączki ze słowami: „Nie zostawiaj mnie, mamo!”. Ten obraz zatrzymywał ją w miejscu, nie pozwalając odejść od trumny.

— Marglyn — powiedział zniecierpliwiony Hale. Stał tak blisko, na ile go dopuszczała. — Nie rób scen. Limuzyna czeka, żeby zabrać nas do domu. — Wskazał na parking, jakby nie wiedziała, gdzie stoi limuzyna. Hale nie znosił scen. Nie lubił zwracać na siebie uwagi w jakikolwiek sposób. Co do tego zawsze się zgadzali i oboje dziwili się, że udało im się spłodzić córkę o wręcz przeciwnym nastawieniu.

Przed oczami stanął jej obraz sprzed kilku tygodni, jak Mary Claire tańczyła w sukience na zjazd i śpiewała o tym, że zostanie królową. Miała dumnie uniesiony podbródek, jakby nie wierzyła, że znajdzie się ktoś, kto nie uważa, że korona należy się właśnie jej.

— Nie bądź zbyt pewna siebie — powiedziała jej wtedy Marglyn. A powinna powiedzieć: „Nikt nie zasługuje na tę koronę bardziej niż ty. Wierzę w ciebie, moja ukochana, cudowna córeczko”. W jednej z późniejszych rozmów próbowała złagodzić te swoje ostre słowa i cieszyła się teraz, że to zrobiła, ale mimo wszystko nie znosiła się za to, że w ogóle coś takiego padło z jej ust. Nie potrafiła pojąć tej swojej potrzeby ciągłego upominania córki, której, patrząc wstecz, niczego nie brakowało.

Zaczęła płakać. Zwiesiła ramiona, a emocje, które siłą woli i leków utrzymywała w ryzach, w końcu przebiły się przez skrywającą je fasadę.

— Nie mogę od niej odejść — wykrztusiła. Hale ostrożnie się do niej zbliżył, niepewny tego, co powinien powiedzieć lub zrobić. Poczula na ramieniu nieśmiały dotyk jego dłoni.

— Wiem — odparł. Wychwyciła drżenie jego głosu. On także z trudem tłumił żal i niepewność. Chwycił ją mocniej i przyciągnął do siebie. Pozwoliła na to. Pozwoliła, by ją objął, chociażby z tego powodu, żeby schować twarz na jego torsie przed spojrzeniami tych, którzy zatrzymali się w drodze do samochodów, żeby obejrzeć jej publiczną rozsypkę.

Pozwolił się jej wypłakać. Szlochała tak długo, aż łzy przestały płynąć, a biała koszula Hale'a była ubrudzona tuszem do rzęs, który Marglyn w swojej naiwności nałożyła tego ranka, słysząc w głowie głos Mary Claire, która tłumaczyła, jak wybrać właściwy tusz i jak poprawnie

go stosować, krytykując ją nawet zza grobu. Grób. Podniosła wzrok i spojrzała na miejsce, w które z całą pewnością będzie często wracać, chociażby dlatego, żeby jakoś się trzymać.

Odwróciła się w stronę parkingu i z ulgą skonstatowała, że gapie znudzili się jej płaczem i odjechali. Dostrzegła Roberta na pobliskiej ławeczce, z opuszczoną głową kopał butem w ziemię. Na obrzeżach cmentarza zauważyła mężczyzn z łopatami, którzy czekali, aż będą mogli wykonać swoje zadanie. Zastanawiała się, czy to się często zdarza i czy tego rodzaju opóźnienie jest częścią ich pracy.

Kiwnęła do Hale'a, że jest gotowa. Ale gdy szli do czekającej limuzyny, odwróciła się jeszcze, żeby spojrzeć przez ramię na stojącą nad grobem trumnę i na miejsce, w którym po raz ostatni definitywnie opuści swoją córkę. Ale Marglyn nie wyobrażała sobie, że miałaby to zrobić, co jednocześnie ją pocieszało i przerażało. Mary Claire odeszła, a Marglyn nie.

Wsiadając do limuzyny zobaczyła kogoś jeszcze, kto ukrywał się między drzewami na cmentarzu, w pobliżu mężczyzn, którzy mieli zasypać dziurę. Ginny. Marglyn nie miała pojęcia, jak dziewczyna tu dotarła. Po raz drugi tego dnia wymieniły spojrzenia i po raz drugi Marglyn ją zignorowała, przekazując jej najdobitniej jak potrafiła, że ich przyjaźń jest skończona. Miała nadzieję, że dziewczyna po prostu sobie pójdzie, lecz jednocześnie bała się, że podąży za nią także do domu.

18. Darcy

Środa

Darcy poszła na pogrzeb Brynne Ellison, bo dorastała z Cynthią, matką Brynne, więc wydawało się jej, że tak należy. Szybko jednak odkryła, że w czasie, gdy czuwała przy nieprzytomnym Grahamie, nastąpiło kompletne pomieszanie w tym, co należy, a czego nie należy robić. Od razu po wyjściu z pokoju szpitalnego zorientowała się, że podczas jej nieobecności miasteczko Worthy zostało przewrócone do góry nogami.

Ludzie, którzy kiedyś ją kochali — a przynajmniej okazywali jej swoje współczucie — nagle zaczęli nią gardzić, rzucali jej nieprzyjemne spojrzenia za to, że oddycha tym samym powietrzem co oni, i szeptali między sobą na tyle głośno, że wylapywała jakieś strzępy, ale nie wiedziała, o czym mówią. Jedyne słowo, które zawsze udawało się jej wyłuskać, to *syn*. Ludzie nienawidzili jej za to, co zrobił jej syn, mimo że niczego jeszcze nie udowodniono. I jeśli będzie to w jej gestii, niczego mu nie udowodnią.

Matka Cynthii — babcia Brynne — miała przynajmniej tyle samozaparcia, żeby wyrazić swoje odczucia wprost. Podeszła do Darcy w przedsionku kościoła tuż przed pogrzebem i wymierzyła w nią zakrzywiony palec. Dłoń jej drżała, ale Darcy nie potrafiła powiedzieć, czy to ze starości, czy z gniewu.

— Masz czelność się tu zjawiać — stwierdziła o decybel głośniejsze od toczących się rozmów. Wszyscy żalobnicy przerwali to, co robili, i odwrócili się w stronę Darcy. Kobieta, która wylewała grochowe łzy, nagle przestała, żeby obejrzeć scenę. — Gdyby nie twój syn — dodała babcia Brynne — moja wnuczka jeszcze by żyła.

Darcy czuła, że serce łomocze jej tak głośno, że z całą pewnością wszyscy je słyszą. Zrobiło jej się gorąco na twarzy ze wstydu, gniewu i zażenowania. Ta kobieta zrobiła im lekcję makijażu, gdy były w dziesiątej klasie. Nauczyła je, jak się gustownie i poprawnie malować. Powiedziała im wszystkim, że są urocze. Pochwaliła kości policzkowe Darcy i pokazała jej, jak je podkreślić różem. A teraz bez żadnego różu sprawiła, że policzki Darcy zapłonęły.

— Tego jeszcze nie wiadomo — odparła, przywołując hart ducha, który odnalazła w sobie po dezercji Tommy'ego. Trzymając dłonie przy ciele bezwiednie zacisnęła pięści, aż paznokcie zatopiły się we wnętrzu dłoni. — Nie wiemy, czy to Graham spowodował wypadek. Dziewczeta... — Usłyszała głośne westchnienie, ostre i zszokowane, i przerwała. Posunęła się za daleko, obwiniając zabite dziewczyny na pogrzebie jednej z nich.

Próbowała wykrztusić coś innego, ale zamiast tego odeszła. Dostrzegła na boku Cynthię, która zwlekała z wejściem do kościoła. Przypuszczalnie marzyła o chwili, gdy będzie to robić jako matka panny młodej, lecz teraz była tylko matką zabitej cheerleaderki. *Przykro mi*, powiedziała do niej bezgłośnie Darcy i odeszła w stronę nawy bocznej, a potem w stronę łazienek i tylnego wyjścia przez kościelną kuchnię. Znała ten kościół — oraz większość kościołów w Worthy — jak własną kieszeń. Tak wyglądało dzieciństwo w tym miasteczku. Spora część życia ogniskowała się wokół kościołów. W każdym z nich z konieczności było się niejedną raz.

Wypadła z budynku i zatrzymała się na półpiętrze. Chwyła się poręczy schodów i próbowała złapać oddech, patrząc na rozpościerający się w dole parking. Łapczywie wciągała powietrze tak długo, aż jej płuca nie były w stanie więcej znieść. Wtedy wypuściła z siebie wszystko i pochyliła głowę jak do modlitwy. Tyle że nie miała pojęcia, o co mogłaby się pomodlić. Nie sądziła, żeby prawda mogła ją wyzwolić. Poczowała łzy wściekłości, ale odpędziła je

mruganiem.

— Przepraszam panią. — Usłyszała męski głos. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę z olbrzymią tacą jedzenia. Ciastka, pieczone kurczaki i spory garnek fasolki. Mężczyzna wskazał ramieniem drzwi. — Muszę dostać się do, hm, kuchni.

— Ach, tak, przepraszam — powiedziała. Sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi, a on zniknął w środku. Zamknęła za nim i rzuciła się do ucieczki, żeby uniknąć dalszych spotkań. Katering był z pewnością przeznaczony na stypę po pogrzebie. Nie dało się przewidzieć, kogo mogłaby spotkać, gdyby została w okolicy.

Żołądek mruknął donośnie w reakcji na zapach kurczaków i Darcy uświadomiła sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio jadła. Tommy przyniósł jej do szpitala burgera — zimnego i rozmiękłego — ale kiedy to było? Wczoraj? Przedwczoraj? Była tak skupiona na przetransportowaniu Grahama do domu, że nie myślała o niczym poza jego komfortem i tym, czy potrafi wstać z kanapy i przejść do łazienki. Obserwowanie jego powolnych ruchów sprawiało jej ból, szczególnie że jeszcze kilka dni temu strofowała go, że lata po domu jak stado słońi.

— Darcy Stokes? — Usłyszała głos mężczyzny, gdy dotarła do podnóża schodów. Zamarła. Z miejsca, w którym stała, widziała swój samochód, zaparkowany niewiele kroków od niej. — To ty, Darcy? — spytał mężczyzna. Powoli odwróciła się do mężczyzny, któremu otworzyła drzwi. I który zawołał ją, używając jej panińskiego nazwiska, co było dziwne. Już od bardzo dawna nikt nie nazwał jej Darcy Stokes. Podobało jej się brzmienie tego nazwiska, jakby odwoływało się do osoby, którą kiedyś była, a nie którą się stała.

— Tak? — spytała. Mężczyzna zostawił w środku tacę z jedzeniem i stał z pustymi rękami.

Spojrzał na swoje stopy i potrząsnął głową, po czym podniósł wzrok. Mimo odległości widziała, że się zaczerwienił.

— Wybacz, że tak za tobą wybiegłem. Nie mogłem uwierzyć, że to ty. Słyszałem, że jesteś w okolicy, ale jakoś nie umiałem na ciebie trafić. — Dotknął palcem torsu. — Jestem Clay Chessman. Pamiętasz ten wspólny projekt w jedenastej klasie? Na francuski?

Darcy zamrugnęła powiekami, próbując bezskutecznie przypomnieć sobie, o czym on mówi. Poszła na francuski, bo język obcy był wymagany, żeby dostać się do koledżu, a wtedy jeszcze nie wiedziała, że jej edukacja zakończy się wcześniej. Poszła na francuski, bo myślała, że pojedzie kiedyś do Paryża.

— Ja... nie jestem pewna, czy...

— Robiliśmy *coq au vin*. W restauracji moich rodziców. Rodzice pozwolili nam skorzystać z kuchni po godzinach. — Zachichotał. — Zajęło nam to prawie całą noc. — Zszedł dwa stopnie w jej stronę.

Darcy weszła dwa stopnie w górę tylko po to, żeby sprawić wrażenie przyjacielskiej i uprzejmej. W rzeczywistości miała ochotę odwrócić się i pobiec do samochodu. Teraz dzieliły ich już tylko trzy stopnie. Przypomniła sobie ten projekt, butelkę wina przytkniętą do ust, zapach przysmażonej cebulki w powietrzu.

— Tak, chyba pamiętam — powiedziała. Zamierzali przekonać kucharza z Chessmana, żeby zrobił to za nich, ale on się zmył, gdy usłyszał, że zamierzają przyrządzać „jakiś wymyślny francuski szajs”. Skończyło się tak, że wypili znacznie więcej wina, niż wlałi do sosu, i nazajutrz żadne z nich nie miało ochoty jeść tej potrawy podczas „Dnia Francuskiego” w szkole. Zabawne, że wspomnienie czaiło się tuż pod czaszką, jakby czekało, aż Clay Chessman je wywoła.

— Wypiliśmy całe wino — stwierdził i roześmiał się. Potrząsnął głową. — Nie wiem, dlaczego tak dokładnie to zapamiętałem. Może dlatego, że wtedy po raz pierwszy w życiu miałem prawdziwego kaca.

Zaśmiała się, przypominając sobie kolejne szczegóły.

— O, a ktoś zrobił wtedy mus czekoladowy, ale coś pomylił i deser wyglądał jak gówno.

— Przykryła dłonią usta z przerażenia, że powiedziała brzydkie słowo na schodach kościoła.

Przytaknęła ze śmiechem.

— O kurczę, zapomniałem o tym musie. Był paskudny. Oboje prawie zwymiotowaliśmy.

Śmiechy wygasły, a oni stali w niezręcznej ciszy, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Darcy słyszała, że Clay wrócił, by przejąć restaurację rodziców. Słyszała też, że ożenił się z jakąś młodą laseczką. *Która dobrze wiedziała, ile jest wart*, jak wszyscy powtarzali. Plotkarski młyn nabrał takich obrotów, że dotarł nawet do niej.

Zeszła w dół o jeden stopień, o jeden krok bliżej samochodu i zmusiła się do uśmiechu, który z pewnością nie mógł się równać z tym zapamiętanym przez niego z czasów szkolnych. Ale tylko tyle była w stanie z siebie wykrzesać.

Wskazał drzwi na szczycie schodów.

— Ciężko, co? — spytał. Najwyraźniej zakładał, że wyszła z pogrzebu, bo była zbyt poruszona, żeby zostać do końca.

— No — odparła, nie wyprowadzając go z błędu.

— To prawdziwa tragedia — dodał.

— W istocie — potwierdziła. Zerknęła za siebie na swój samochód, tęsknie, na swój pojazd, który zabierze ją z tego miejsca prosto do domu, do Grahama. Powinna sprawdzić, co u niego, chociaż bez wątpienia był tam, gdzie go zostawiła, czyli grał na sofie w gry video.

— Słyszałem, że twój syn także brał udział w wypadku — powiedział Clay.

Zaskoczyło ją nie to, że wie, ale to, że tak po prostu to powiedział. Odwróciła się do niego i zobaczyła, że częstuje ją papierosem.

— To nie wino, ale... — Wzruszył ramionami. — Pomaga wygładzić ostre krawędzie. — Pokazał jej zapalniczkę w drugiej dłoni i uniół brwi.

Darcy zastanawiała się, jakie krawędzie miał do wygładzenia. Rozejrzała się. Nikogo nie było, ale... to był kościół. Nawet w najbardziej szalonym okresie życia nigdy nie zdobyłaby się na to, żeby zapalić papierosa przy tylnym wyjściu z kościoła! Zaczęła potrząsać głową, żeby dać mu do zrozumienia, że prawdopodobnie nie powinna tego robić. Przypomniał jej się jednak ten drżący, oskarżycielski palec matki Cynthii. Pomyślała o czekającym w domu synu i tatusiu, który się zmył do tej źdżiry. Pomyślała o powolnej i bolesnej trasie Grahama do i z łazienki oraz o tym, że jego świat skurczył się do ośmiokrokowej ścieżki, zamiast być otwartą autostradą. Pomyślała o sekrecie, którego kazała mu dotrzymać. I wzięła tego papierosa, włożyła między wargi, po czym nachyliła się niczym dziewczynka przyjmująca komunię. Usłyszała szcęk zapalniczki. Pojawił się drobny płomyk. Skupiła się na końcu papierosa i obserwowała, jak zaczyna się jarzyć.

19. Ava

Środa

W poniedziałek po apelu Ava nie wróciła już do swojej klasy. Przy wyjściu z sali gimnastycznej czekał na nią dyrektor Query, wypatrując jej uważnie w tłumie.

— Pani Chessman — zaintonował, gdy ją dostrzegł. Wypowiedział jej imię w taki sposób, że Ava straciła złudzenie, że jej sekret umarł wraz z Keary.

Gdzieś w głębi wiedziała to, kiedy zobaczyła wypraszenie chłopców z apelu, ale wyparcie to potężna siła. Trzymała się kurczowo resztek nadziei do momentu, gdy poczuła na łokciu uścisk dłoni dyrektora, który pociągnął ją w stronę swojego gabinetu. Reszta poniedziałku upłynęła pod znakiem wylewania pomyj, niczym szkoła przetrwania okropieństw i upokorzeń. Nikt jej nie wierzył. Zresztą dlaczego miałby wierzyć? Wyglądała na winną jak diabli. I w pewnym sensie była winna. A przynajmniej godna nagany.

Pan Query spojrział na nią, jakby uważał ją za podłą. Wyraźnie widziała jego niechęć, gdy zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu przesunął do niej po biurku telefon ucznia.

— Znalaziono to dzisiaj na apelu. — Odwrócił oczy, jakby jeszcze tego nie widział. Jakby nie podał telefonu całkiem sporej liczbie członków kadry, gdy Ava czekała na twardym krześle przed drzwiami.

Kiwnęła głową. Płonęły jej policzki. Przypomniała sobie, jak udostępniła Ianowi Stone'owi swój telefon, żeby coś wygooglował. Coś, co według niego było prawdą, a w co ona nie wierzyła. Dała się porwać chwili, szczęśliwa, że uczniowie ją lubią i uważają za fajną nauczycielkę, której lekcje są fajne.

— Udowodnij to — powiedziała i wręczyła mu telefon, nie podejrzewając, że zrobi to, co zrobił: przejrzy jej zdjęcia i znajdzie to, które wysłała Clayowi pewnej nocy, gdy pracował do późna, a ona za nim tęskniła. Zdjęcie topless, przeznaczone tylko dla jego oczu.

Ian natychmiast wysłał to zdjęcie na swój telefon. Nie było innego wyjaśnienia. Wszystko jednak wskazywało na to, że to ona przesłała mu to zdjęcie. Co gorsza, niestosowność ich tak niewinnie rozpoczętej znajomości potwierdzały wymieniane przez nich esemesy. Dała swój numer wszystkim uczniom, żeby mogli do niej pisać, gdyby mieli jakieś pytania. Wielu nauczycieli tak robiło.

Wysłał do niej pytanie o pracę domową. Ale na tym się nie skończyło. A ona tego nie urwała. Odpisywała mu. Bo czuła się samotna, on był dla niej miły, a ona była głupia. Za dwa tygodnie skończy osiemnaście lat, lecz póki co miał siedemnaście. W świetle prawa on był nieletni, a ona winna.

Przypomniała sobie esemesy i dwuznaczności, do jakich się uciekał.

On: **Chciałbym, żebyś udzielała mi prywatnych lekcji.**

Ona: **Przecież całkiem dobrze radzisz sobie z angielskim.**

On: **To nie angielski chciałbym zgłębiać.**

Albo:

On: **Będę miał nowy samochód. Gdy go dostanę, chciałbym zabrać Cię na przejażdżkę.**

Ona: **Tak? A dokąd to?**

On: **Gdziekolwiek zechcesz. Może nad jezioro.**

Ona: **Słyszałam, że jest tam przyjemnie.**

On: **Pokażę Ci, jak bardzo jest tam przyjemnie.**

Gdy odpisywała na te esemesy, wydawało jej się, że starała się być uprzejma i nie zranić jego ego, ale jednocześnie się nie angażować. Był przecież dzieciakiem, który do niej uderzał. Nie chciała otwarcie go odrzucać. Tak przynajmniej sobie wmawiała. Ale gdy czytała te wiadomości w świetle zarzucanych jej czynów, wiedziała, jak to wygląda — szczególnie w połączeniu ze zdjęciami. Że podsycala ich erotyczne pogawędki. I może faktycznie tak było.

Cały wtorek spędziła w biurze adwokackim w Macon u byłej pani prokurator, która postanowiła poświęcić się obronie kobiet przed nadużyciami ze strony mężczyzn. Nancy, jak kazała Avie do siebie mówić, sprawiała wrażenie, że jej uwierzyła, i przez kilka godzin próbowała razem z nią wymyślić sposób na uniknięcie oskarżeń, które niewątpliwie zostaną postawione: rozpowszechnianie obscenicznych materiałów wśród nieletnich i udział w demoralizowaniu nieletniego. Przy czym nie było powiedziane, że nie pojawią się inne oskarżenia, jeśli przeciwnikom uda się je wymyślić. Gdy Ava się rozplakała, Nancy bez słowa podała jej pudełko chusteczek i pozwoliła jej się pozbierać. Ani razu nie spytała, czy ktoś jeszcze do nich dołączy. I ani razu nie spytała, jak Ava zamierza zapłacić.

W końcu, z braku innych możliwości, Nancy sięgnęła po telefon i dogadała się z szeryfem. Ava słuchała, nerwowo obgryzając paznokcie, które wyglądały jak po jakiejś krwawej bójce. Gdy Nancy się rozłączyła, wszystko było ustalone. Następnego dnia Ava miała dobrowolnie oddać się w ręce policji i złożyć oświadczenie we własnej obronie. Po czym prawdopodobnie zostanie aresztowana.

I tak siedziała na werandzie przyczepy i patrzyła na duży dom, w którym Clay schronił się z dziećmi. Clay się, rzecz jasna, wściekł. W poniedziałkowy wieczór zostawił restaurację i wrócił do domu, żeby skonfrontować się z żoną. Oczywiście wszystko już wiedział dzięki miejscowym, którzy nad wyraz chętnie wtajemniczyli go w szczegóły sprawy. Jej własny mąż — mężczyzna, który ślubował ją czcić i chronić — wyrobił sobie zdanie, zanim jej wysłuchał.

— Mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam — powiedział w pokoju w przyczepie. We dwójkę wypełniali niemal całą przestrzeń. Jego matka przysłała wcześniej i zabrała dzieci, a Clay prowokował Avę, żeby nie ośmielała się sprzeciwić. — Mam wrażenie, że przestałem cię znać od czasu, gdy się tu przeprowadziliśmy.

— Ty przestałeś znać *mnie*? — wykrztusiła. — Przecież to ty przez cały czas jesteś poza domem! Przecież to ja nie pamiętam, kiedy ostatnio wymieniliśmy więcej niż dwa zdania! To *ja* przestałam znać *ciebie*!

Spojrzała na nią beznamiętnym, pustym wzrokiem.

— I dlatego rzuciłaś się na jakiegoś dzieciaka? Przystojnego, który okazał ci odrobinę uwagi? Bo desperacko tego potrzebowałaś?

Włożył dłoń do kieszeni i zabrzęczał kluczami, co oznaczało, że zamierza wyjść. Dobrze znała ten sygnał. Zerknęła na drzwi i pomyślała, że mogłaby je zastawić swoim ciałem i zmusić go do pozostania tak długo, dopóki tego nie wyjaśnią. Ale to nie była sprawa, którą dałoby się wyjaśnić. Nie tego wieczoru. I prawdopodobnie nigdy.

Clay znowu przemówił, tym razem mniej wściekle, a bardziej smutno.

— Ojciec ostrzegł mnie, że jesteś dla mnie za młoda. Twierdził, że dzieli nas zbyt wiele lat, że masz inne zainteresowania i potrzeby. — Zaśmiał się cynicznie. — Nie sądziłem, że twoje zainteresowania i potrzeby to młodzi chłopcy. — Zamyślił się na moment. — Oczywiście, jak się domyślam, on jest tak samo młodszy od ciebie, jak ty ode mnie. Prawda?

— To wcale nie tak, Clay! — zaprotestowała. — Niczego nie rozumiesz! Proszę! Spośród wszystkich ludzi chociaż ty mi uwierz. Wiem, jak to wygląda, naprawdę, ale jeśli dasz mi czas, udowodnię ci, że nie zrobiłam tego, o co mnie oskarżają.

Clay westchnął i zwiesił ramiona, przybierając przygnębiony i załamany wygląd. Nie

próbowała go zatrzymać, gdy ruszył w stronę drzwi. Odwrócił się do niej i przez moment z jego twarzy zniknęła cała brawura.

— On ma twoje nagie fotki. Wymienialiście się esemesami. Wszystko słyszałem.

Przełknęła ślinę i wykrzesując z siebie resztki determinacji, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

— W takim razie źle słyszałeś i ja ci to udowodnię.

Clay uśmiechnął się pogardliwie.

— No to powodzenia — stwierdził. A potem sobie poszedł.

Teraz Ava obserwowała duży dom w poszukiwaniu znaków życia, śladów Claytona i Savannah. Została oskarżona o krzywdzenie nieletnich, więc mąż odebrał jej dzieci. Ale ten chłopak nie był dzieckiem. Miał ciało i — dzięki internetowi — świadomość mężczyzny. Myślała, że może mu ufać, więc jego zdrada mocno ją zabolala. Teraz widziała, kim dla niego była. Żadną przyjaciółką. Podbojem. On i jego koledzy byli rozpustnymi drapieżcami. Wyłuskali ją tak, jak lew oddziela od stada słabą antylopę. Widziała, jak na nią patrzyli i szeptali. Docierały do niej okruchy tych rozmów, słowa w rodzaju *niezła* i *młoda*, ale wołała uznać to za nieszkodliwe schlebianie. Troszczyła się o niego i wmawiała sobie, że mu pomaga.

Odwróciła wzrok od dużego domu i spojrzała w stronę wzgórz Georgii, wśród których gnieździło się Worthy.

— Tam jest tak pięknie — powiedział Clay w ten wieczór, gdy przekonywał ją do tego, że powinien przejąć restaurację. Był w tym bardzo wprawny i wyrachowany. Prawdę rzekłszy, zupełnie jak ci chłopcy. Może mężczyźni tacy po prostu byli. Rodzili się z tym, tak jak z penisem. — Spodoba ci się tam — obiecywał. Po przyjeździe powiedziała mu, że wcale jej się tu nie podoba. Że się mylił. I że chce wrócić do domu. Lecz on skrzyżował ramiona, przechylił głowę i spojrzał na nią, jakby była niespełna rozumu, a on musiał to tolerować.

— Nic nie rozumiesz — stwierdził. — Nie mamy gdzie wrócić. Nie mamy już żadnego innego domu. To jest nasz dom.

Pozwoliła sobie z Ianem Stone'em na zbyt wiele. Teraz siedziała tu, na werandzie nie swojej przyczepy, w miejscu, którego nie uważała za swój dom, i czekała na moment, gdy będzie musiała oddać się w ręce policji za demoralizowanie nieletniego, podczas gdy ona chciała tylko mieć z kim porozmawiać. Wyobraziła sobie zatraskujące się kraty i siebie za nimi, mrugającą w poczuciu zagubienia. Niemal słyszała, jak odgłos uderzania żelazem o żelazo odbija się echem w jej sercu.

20. Leah

Czwartek

Nie przyznała się przed sobą, że gdy przed pogrzebem Keary zobaczyła Talmadge'a przed kościołem, poczuła, jak serce rośnie — dosłownie rośnie — w jej klatce piersiowej. Widok jego smukłej, przygarbionej postaci opartej o murek otaczający teren kościoła był dla niej równie miły, jak dla maratończyka widok kogoś, kto rozdaje butelki z wodą. Przytulenie się na powitanie wydawało się jej równie kojące jak objęcia matki, gdy była bardzo małą dziewczynką. Nie pozwoliła sobie jednak na to przytulenie.

Odsunęła się szybko, puściła mu oczko i podziękowała za przyjście, pilnując, by jej głos był spokojny i opanowany. Kiwnął głową. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale zamilkł. Jakąś częścią siebie pragnęła go o to zapytać, ale inna część mówiła, że lepiej tego nie robić. Spojrzała w stronę otwartych na oścież drzwi.

Talmadge sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciemny prostokątny przedmiot, który mieścił się w jego dłoni. Uśmiechnął się.

— Załatwiłem to dla ciebie.

Zerknęła na przedmiot, nie rozumiejąc, o czym mówi.

— Talmadge, ja mam telefon. Ale dzięki.

Potrząsnął głową i wepchnął telefon z powrotem do kieszeni.

— Nie, chodzi o to, że ja załatwiłem telefon dla siebie. Żebyś mogła się ze mną skontaktować, gdy będziesz potrzebowała.

Odwróciła wzrok od jego spojrzenia, tak bardzo na niej skupionego i tak bardzo przepełnionego tym czymś typowym dla Talmadge'a. Leah podejrzewała, że chodziło o muzykę wypełniającą go czymś dodatkowym, czego inni ludzie nie posiadali.

— Dzięki — wymamrotała, nie wiedząc, jak zareagować. — To naprawdę miłe z twojej strony.

— Nie nadawaj temu zbyt dużego znaczenia — odparł. — Wystarczająco długo byłem zacofany pod tym względem. — Wzruszył ramionami, jakby to nie było nic wielkiego, ale dobrze wiedziała, jak było naprawdę. Przypuszczalnie musiał długo oszczędzać. Nie miał pracy, więc Leah nie umiała sobie wyobrazić, skąd zdobył pieniądze. A dodatkowo musiał zcaić się z tym przed rodzicami.

Dzwony kościelne rozdzwoniły się posępnie. Talmadge pociągnął ją za łokieć, wskazując głową, że powinni wejść do środka na pogrzeb. Na widok szeroko otwartych drzwi wyobraziła sobie Keary wchodzącą przez nie w niedzielny poranek z twarzą rozświetloną uśmiechem. Zapewne droczyłaby się z pastorem, że nie zabawią tu długo, żeby zdążyć na lunch lub za plecami mamy zrobiłaby minę do młodszej siostry, żeby ją rozśmieszyć.

Leah ruszyła wraz z Talmadge'em. Gdy przechodzili przez przedsionek, zauważyła z boku mamę i siostrę Keary, czekające na wprowadzenie do środka, żeby wszyscy żałobnicy mogli się na nie gapić. Ojciec stał w pewnej odległości od żony i pozostałej mu córki. Wpatrywał się w okno z ciężkim wyrazem twarzy rozświetlanej przez promienie słońca.

Siostra Keary, Lauren, uśmiechnęła się na widok Leah, ale szybko się pohamowała i spoważniała. Ale Leah i tak jej pomachała i odpowiedziała nieznacznym uśmiechem, żeby dać jej do zrozumienia, że to normalne zapomnieć, po co tu przyszły, chociaż na krótką chwilę. Podążyła za Talmadge'em w stronę ławki z tyłu. Świątynia, podobnie jak pozostałe kościoły w tym tygodniu, była wypełniona po brzegi. Talmadge zatrzymał się w nawie bocznej i odsunął na

bok, żeby mogła usiąść pierwsza. Jego hipisowscy rodzice nie nauczyli go manier. Nie było takiej potrzeby.

Leah przeciskała się przed kolanami innych żałobników ze wzrokiem wbitym w ziemię. Słyszała szepty otaczających ją ludzi. „To ta dziewczyna. Czwarta. Przyjaciółka”. Nie mówili wprost: *Ona też powinna nie żyć*. Nie musieli. Leah rozumiała to lepiej niż ktokolwiek inny w tym kościele.

Usiadła i poprawiła spódnicę, którą wyłowiła z zakamarków szafy. Spódnicę z czasów nauczania domowego, gdy ubierała się dla matki, bez wyrazu, skromnie, zwyczajnie. Spódnica sięgała niemal do podłogi, była luźna i czarna. Leah dobrała do niej biały T-shirt i szary sweterek oraz czarne baletki na płaskim obcasie. I perłowy naszyjnik. Ucieleśnienie cnoty. Potrafiła zagrać tę rolę.

Mama powiedziała jej przed wyjściem, że wygląda pięknie, co, jak wiedziała Leah, oznaczało, że oceniając podług standardów nastolatków wygląda okropnie. Chciała wyglądać okropnie. Chciała wyglądać jak straszdyło z innej epoki. Chciała jak najbardziej zdystansować się od tego, jak wyglądała w piątkową noc. Miała ku temu wiele powodów, ale nie było wśród nich takich, o których chciałaby rozmawiać lub rozmyślać. Zamiast tego rozmyślała o własnym pogrzebie, kontynuując grę rozpoczętą na pogrzebach Brynne i Mary Claire.

Wykorzystywała ich pogrzeby jako punkt odniesienia. Zapożyczała i odrzucała różne elementy w zależności od tego, czy odpowiadały jej gustom, niczym panna młoda przygotowująca się do ślubu. *Chciałabym mieć wyłącznie białe kwiaty*, pomyślała. *Wybrałabym któreś z tych o ładnym zapachu, na przykład gardenie, żeby w kościele dobrze pachniało. Chłopcy ze szkoły nie nieśliby mojej trumny. Wybrałabym kuzynów i braci. Talmadge zagrałby jeden ze swoich utworów bez słów. Nie pozwoliłabym, żeby głupie dzieciaki, które twierdzą, że mnie znały, dorwały się do pulpitu i mówiły lamerskie żarty, żeby rozweselić smutnych ludzi. Pastor powiedziałby wszystko, co trzeba powiedzieć. Czyli: ona nie żyje, jesteśmy smutni, ale każdy musi umrzeć, a ona przeniosła się teraz do lepszego miejsca.*

Czy Leah wierzyła w lepsze miejsce po śmierci? Pomyślała o Keary, Brynne i Mary Claire. Nie umiała sobie ich wyobrazić nigdzie indziej, jak w niebie. Przez to trochę bardziej uwierzyła w niebo, bo potrzebowała jakiegoś miejsca, w którym mogły być. Wydawało się jej to lepsze niż zakopanie w ziemi, uwięzienie w płonącym samochodzie lub po prostu zniknięcie ze świata i z jej życia. Niebo było bardziej sensowne.

Teraz będą bawić się w niebie przez całą wieczność bez niej. Gdyby wciąż były na ziemi, drażniłyby ją swoimi lśniącościami oczami, jak zawsze, gdy na siebie wpadały, co zdarzało się bardzo często. *Idziemy do nieba, a ty nie jesteś zaproszona. Musisz zostać w tym do dupy miasteczku na zawsze.* Leah nie była pewna, czy w niebie można używać słowa *dupa*. Wyobraziła sobie je trzy bez niej. Ciekawe, czy za nią tęskniły. Ciekawe, czy Brynne żałowała, że Leah nie pojechała z nimi, żeby mogły być teraz razem. Ciekawe, czy było jej przykro za to, o co poprosiła przyjaciółkę tamtej nocy. Ciekawe, czy cofnęłaby to wszystko, gdyby mogła.

Pod koniec pogrzebu siostra Keary podeszła do pulpitu i drżącym i cichym głosem przeczytała fragment o tym, że wszystko ma swój czas. Przerwała w połowie i spojrzała na mamę, po czym zmusiła się do dokończenia. Całe zgromadzenie czekało na to z zapiętym tchem. Leah miała ochotę zerwać się na równe nogi i powiedzieć: *To, co stało się tamtej nocy, nie powinno mieć swojego czasu!*

Gdyby to był jej pogrzeb, nie pozwoliłaby na czytanie żadnych urywków z Biblii. Naciskałaby, żeby ktoś przeczytał wiersz Emily Dickinson o śmierci, na przykład ten, który pani Chessman przeczytała w poniedziałek przed apelem. Po apelu Leah wróciła do klasy po swoją butelkę z wodą. Była to jedna z tych drogich butelek, w której woda pozostawała zimna, a kawa

gorąca przez kilka godzin. Wiedziała, że nie może powiedzieć mamie, że ją zgubiła, więc wróciła, żeby jej poszukać, i zauważyła na biurku tomik poezji Emily Dickinson, ten ładnie oprawiony, który z pewnością miał dla pani Chessman specjalne znaczenie. Pani Chessman wpadła w jakieś tarapaty, coś niedobrego. Leah знаła zamieszanych w to chłopców i wiedziała, że niezależnie od rodzaju oskarżeń to nie panią Chessman należało obwiniać.

Na wszelki wypadek wzięła tomik i schowała w plecaku. Pomyślała, że gdy będzie miała okazję go oddać, opowie pani Chessman to, co wiedziała o tych chłopakach. Wyjaśni jej, do czego są zdolni. Ale pani Chessman zniknęła ze szkoły, więc Leah zaczęła zaczytywać się w wierszach Emily Dickinson. Niektórych wersów uczyła się na pamięć, tak jak kiedyś modlitw, żeby dostać nagrodę w szkółce niedzielnej. Wątpiła, żeby jej mama była z niej równie dumna jak wtedy, ale nie obchodziło jej to. W tej chwili potrzebowała Emily Dickinson. Potrzebowała wersów w rodzaju: *Umieranie jest dziką nocą i nową ścieżką*. Coś takiego chciałyby usłyszeć na własnym pogrzebie.

Gdy siostra Keary skończyła, chłopcy wstali, żeby spełnić swoją rolę w pogrzebie. Ci sami, którzy nieśli trumny na poprzednich dwóch pogrzebach, którzy wpakowali panią Chessman w kłopoty i których Leah nie miała ochoty więcej widzieć, ale wiedziała, że będzie ich spotykać do końca roku w szkole. A była dopiero jesień. Wpatrywała się w dłonie zamiast patrzeć, jak podnoszą trumnę z podwyższenia na czele kościoła i ruszają z nią wzdłuż nawy głównej.

Gdy ją minęli, podniosła wzrok i spojrzała na pusty pulpit, za którym jeszcze przed chwilą tak odważnie stanęła siostra Keary i przeczytała słowa, w jakie Leah już nie wierzyła. Dostrzegła ojca Keary. Siedział w przejściu, zwrócony w stronę oddalającej się trumny, a łzy spływały mu ciurkiem po twarzy. Wyciągnął rękę, jakby wzywał córkę z powrotem, jakby wołał: *Nie odchodź*.

Leah osuszyła dyskretnie własne oczy ukrytą w zaciśniętej dłoni chusteczką. Miała nadzieję, że nikt tego nie widział, ale wiedziała, że Talmadge na pewno zauważył. Talmadge wszystko zauważał, co było albo rozczulające, albo irytujące, w zależności od dnia. Rzucił jej współczujące spojrzenie, ale ona udawała, że tego nie widzi. Udawała, że pewnych rzeczy nie widzi, że wielu rzeczy nie wie i że nic nie czuje.

21. Marglyn

Piątek

Od tragedii minął już tydzień i Marglyn miała nadzieję, że dzisiaj będzie miała spokój. Na szczęście (co brzmiało trochę dziwnie, zważywszy na skutki zdarzenia) w wypadku uczestniczyły trzy dziewczyny i współczucie sympatyków nie było skierowane wyłącznie do niej. Po zakończeniu pogrzebów wszyscy mieszkańcy sprawiali wrażenie, jakby mieli dość żałoby i zainteresowanie nieco osłabło. To było mile widziane wytchnienie. Marglyn wolała udzielać pomocy, niż ją przyjmować.

Dzisiaj Hale po raz pierwszy od wypadku poszedł do pracy, a przyjaciółka wzięła Roberta do siebie na parę dni, żeby „już o tym nie myślał”, co było pobożnym życzeniem, ale Marglyn uległa. Cieszyła się z kilku godzin samotności i liczyła na brak jakichkolwiek zakłóceń z zewnętrznego świata. Żadnych zatroskanych telefonów, żadnych dostaw jedzenia, żadnego listonosza z kartkami kondolencyjnymi.

Wyciągnęła długopis z biurka, żeby spisać listę rzeczy do zrobienia. Był to okruch normalności z poprzedniego życia. Przez chwilę trzymała długopis nad kartką, myśląc o tych wszystkich sprawach, które spisywała, wszystkich piłkach w powietrzu, jak je nazywała. Teraz piłki pospadały i potoczyły się poza zasięg jej dłoni. Żadna czynność nie przybliżyła jej do tego, co najbardziej pragnęła zrobić, czyli do odzyskania jakimś cudem córki. Marglyn wzięła głęboki wdech, mrugnęła kilka razy, by odpędzić cisnące się do oczu łzy, i zmusiła się do działania.

Zapisała pierwszy punkt: *Zadzwoń do Sheili Brock*. Sheila Brock była miejscowym pośrednikiem w obrocie nieruchomościami. W któryś dzień nad ranem Marglyn uznała, że mijanie miejsca wypadku za każdym razem, gdy gdzieś wyjeżdżają lub skądś wracają, to dla nich zbyt wiele. Ona, Hale i Robert nie mogli tu zostać. Musieli sprzedać dom.

Nie miała zamiaru konsultować się z Hale'em, który z pewnością by się sprzeciwił. Zarzuciłby jej podejmowanie emocjonalnych decyzji i stwierdził, że powinni poczekać i się zastanowić. Marglyn nie chciała czekać. Miejsce wypadku nigdy nie zniknie. Zawsze będzie miejscem, w którym jej córka zginęła wraz z dwiema koleżankami. Marglyn nie potrzebowała codziennego przypominania o tym zdarzeniu.

Ktoś zapukał do drzwi. Uderzenia w drewno brzmiały nieprzyjemnie i inwazyjnie. Chociaż jeden dzień samotności. Chociaż kilka godzin, tylko tyle chciała. Westchnęła, schowała długopis i listę do torebki, po czym ruszyła w stronę drzwi, zastanawiając się przy tym, jak źle musi teraz wyglądać. Nie brała prysznicą, nie umyła zębów i miała na sobie stare spodnie dresowe i T-shirt Mary Claire, którego noszenie stało się ostatnio jej zwyczajem. Był to T-shirt z obozu cheerleaderek z tego lata. Mary Claire kupiła większy rozmiar, żeby w nim spać. Co oznaczało, że pasował na Marglyn. Był na nią nawet trochę za duży, co wyraźnie demonstrowało jej brak apetytu od dnia wypadku. Mary Claire byłaby z niej dumna.

Pies o imieniu Jinx (prezent urodzinowy dla Mary Claire na dziesiąte urodziny — żyjące, oddychające i szczekające przypomnienie o córce, które wymagało opieki, mimo że jego pani zniknęła) pobiegł za nią, szczekając jak najęty. Odwróciła się do niego.

— Cicho, Jinx — powiedziała. — To przypuszczalnie tylko Delores.

Teściowa odwiedzała ją niemal codziennie pod pretekstem „sprawdzenia, co u niej”, ale Marglyn wiedziała, że jej prawdziwym celem było porozmawianie o wypadku. O tym, co mogło się stać, co słyszała w mieście, jak się czuła, jak Marglyn się czuła i jak czuli się wszyscy, których знаła, w tym kobiety z kółka biblijnego, dyrygent chóru i mężczyzna koszący jej

trawnik. Wypadek i znalezienie się w centrum zainteresowania jako babcia jednej z ofiar było prawdopodobnie największym wydarzeniem w życiu Delores.

Marglyn otworzyła drzwi, ganiąc się w myślach za tak okrutne myśli o swojej teściowej. Teściowa była uroczą kobietą, która — jak obawiała się Marglyn — tłumiała swoją rozpacz, przysypując ją plotkami. Tak naprawdę jednak nie musiała martwić się tym, co stanie się z synem Darcy LaRue i czy przed wypadkiem brał udział w wyścigu drogowym. Nie musiała omawiać wyników policyjnego śledztwa w tej sprawie. Musiała natomiast stawić czoła temu, że Mary Claire — jej radosna, cudowna, wspaniała wnuczka — odeszła na zawsze. Marglyn nie wiedziała, co się stanie, gdy teściowa w końcu to do siebie dopuści. Miała słabe serce i uświadomienie sobie takiej straty mogło jej zaszkodzić.

Ale w progu wcale nie stała Delores. Była to kobieta o znajomej twarzy, której Marglyn nie potrafiła przypisać nazwiska. Przeszukiwała umysł, gdy stały naprzeciw siebie w niezręcznej ciszy. Młoda kobieta przestąpiła z nogi na nogę i przełożyła jasnobrązową teczkę z jednej ręki do drugiej.

— Pani Miner? — spytała nieco drżącym głosem.

— Słucham — odparła Marglyn, niemal ciesząc się z zaniepokojonego wyrazu twarzy młodej kobiety. Próbowwała oszacować jej wiek. Nie było to łatwe w czasach, w których czterdziestoparolatki starały się wyglądać jak dwudziestoparolatki. Marglyn dzieliła więc ludzi na trzy kategorie. Nie, cztery. Niemowlęta, dzieci, nastolatki i dorośli. Marglyn skonstatowała, że stojąca w progu osoba nie zaliczała się już do nastolatków, ale dorosłym była od niedawna.

Kobieta wyciągnęła dłoń. Marglyn uścisnęła ją i potrzęsnęła delikatnie, żeby nie rozsypać zawartości teczki.

— Jestem Holly Sparrow — obwieściła rzeczowo dziewczyna. Marglyn poczuła narastającą panikę. To był jakiś test, który najwyraźniej oblała.

— Przykro mi — odparła. — Ja nie... twoje imię... nie wiem. — Zamilkła, ale dziewczyna nie pospieszyła z wyjaśnieniem. — Nie znam pani — dodała bardziej wprost.

— Ach! — powiedziała dziewczyna. — Myślałam... odbyłam tak wiele rozmów z Mary... — Jej głos zawiesił się na tym imieniu. Przełknęła ślinę i dokończyła: — Claire. — Marglyn wciąż wpatrywała się w nią bez zrozumienia. Holly Sparrow wyciągnęła więc przed siebie teczkę. — Mam to dla pani. Byłam jej doradcą zawodowym w szkole? To jej teczka i, hmm, pomyślałam, że może chciałaby pani ją przejrzeć. Jest tu parę esejów, kilka wypełnionych przez nią ankiet, takie rzeczy? — Kończyła zdania intonacją pytającą, jakby nie była pewna tego, co robi. Jakby chciała usłyszeć od Marglyn, że postępuje właściwie. Mimo to Marglyn nie była w stanie zdobyć się na tak pożądane przez nią słowa uznania, nie potrafiła okazać wdzięczności, którą lepsza osoba prawdopodobnie by okazała.

Wiedziała, że powinna tak zrobić. Wiedziała, że ta młoda kobieta nie musiała poświęcać czasu na osobiste doręczenie jej tej teczki, tego śladu po córce, o którego istnieniu do tej chwili nie miała pojęcia. W tej chwili jednak jasnobrązowa teczka wydawała się czymś niebezpiecznym. Przerazało ją odkrycie czegoś tak osobistego, jak pamiętnik, zbiór niewysłanych listów lub... teczka z papierami zgromadzonymi przez doradcę zawodowego. Poza tym doradca zawodowy doradza uczniom w kwestii przyszłości, a Mary Claire nie miała już przyszłości. Marglyn nie chciała oglądać żadnych planów córki. Nie chciała się konfrontować z tym, co mogło być, skoro nie potrafiła uporać się z tym, co jest.

Ale południowe dobre wychowanie zwyciężyło i Marglyn gestem zaprosiła Holly Sparrow do środka. zaproponowała jej, by usiadła i napiła się mrożonej herbaty. Ku jej rozgoryczeniu Holly zaakceptowała obie propozycje. Położyła jasnobrązową teczkę na stoliku kawowym. Marglyn patrzyła na tę teczkę tak, jakby spodziewała się, że nagle samoistnie stanie w

płomieniach. Zastanawiała się, gdzie ją schowa, gdy Holly Sparrow już sobie pójdzie. Jedno wiedziała na pewno — nie otworzy tej teczki. Może po prostu wyrzuci ją do śmietnika. Ale to wydawało się jej jakieś bezduszne. I może trochę zbyt uprzedzone. Może kiedyś dojrzeje do tego, żeby zajrzeć do środka. Może któregoś dnia poczuje dziwne ukojenie na widok wypełnionego przez córkę wniosku o przyjęcie do koledżu, do którego nie było jej dane pójść.

22. Darcy

Piątek

Przyjechali po Grahama tydzień po wypadku. Po prawdzie zwlekali z tym dłużej, niż się spodziewała. Gdy policyjne samochody wjechały na podjazd i do ogródka (co było lekceważące, a poza tym przyjechały cztery, stanowczo zbyt wiele jak na aresztowanie jednego chłopca), krzyknęła do Grahama, który siedział na swoim miejscu na kanapie:

— Zostań tam, gdzie jesteś, synu!

Ale Graham oczywiście wstał z kanapy i ruszył w jej stronę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Zalewała ją adrenalina na widok mężczyzn w mundurach, którzy naradzili się i ruszyli w stronę domu. Niektórych, rzecz jasna, znała. Zdrajcy. Przecież wiedzą, że jej syn został poszkodowany w tym wypadku. Był już w nieco lepszym stanie, ale wciąż poruszał się powoli i na pewno nie nadawał się do więzienia.

— Idź się położyć, synu. — Darcy poklepała go po ramieniu. — Dzwonię do Terrence’a Manguma. Jeśli zamierzają cię aresztować, mnie też będą musieli.

Zarygłowała drzwi i wybrała numer adwokata, którego wynajął Tommy. Trzeba mu przyznać, że nie szczędził wydatków na walkę o oczyszczenie Grahama z zarzutów. Gdy czekała, aż sekretarka połączy ją z Terrence’em, przypomniały się jej słowa, które usłyszała od syna. *Przynajmniej powiedz mi, że wygrałem.* Chcą go aresztować za to, co zrobił. Wiedzieli o tym i ona też o tym wiedziała. Ale wydawało jej się niesprawiedliwe karać Grahama za głupią, bezmyślną decyzję. Pomyślała o tym, że Tommy kupił mu ten samochód, i poczuła nowy zastrzyk adrenaliny. To on powinien zostać aresztowany. To on powinien być pociągnięty do odpowiedzialności. Nie można dawać dziecku naładowanej broni, a potem obwiniać je, że pociągnęło za spust.

Głos Terrence’a przypomniał jej o aktualnej sytuacji.

— Darcy? — spytał. — Co się dzieje? — Na zewnątrz policjanci zaczęli stukać w drzwi.

— Wiedziałaś o tym, że tu przyjadą, żeby go aresztować? — odpowiedziała pytaniem. — Możesz coś z tym zrobić? On jest słaby. Właśnie wyszedł ze szpitala, w którym otarł się o śmierć. Nie można wsadzić go do więzienia!

— Oni nie wsadzą go do więzienia, Darcy. To formalność. Musi zostać przesłuchany i stanąć przed sędzią, a potem zostanie wypuszczony za kaucją. — Terrence tłumaczył zrezygnowanym i opanowanym głosem, co jeszcze bardziej ją irytowało. Chciała, żeby też się wściekł. Chciała, żeby natychmiast tu przyjechał i położył temu kres. Ale sądząc po jego słowach, uważał, że należy na to pozwolić.

— A co, jeśli go nie wypuszczą? — spytała słabym i cichym głosem, bo gardło zapychało jej się nieprzelanymi łzami i dusił ją strach.

— Wypuszczą, Darcy. Wiem, jak to działa. W tym mieście jest mnóstwo ludzi, którzy oczekują jakichś działań. Chcą, żeby twój syn trafił do aresztu i odpowiedział za swoje czyny tamtej nocy. Zginęły trzy dziewczyny.

— Wiem — odparła. Jakby musiał jej o tym przypominać.

— Cóż, szeryf jest poddawany olbrzymim naciskom, żeby coś z tym zrobić. Ludzi nie obchodzi co. Coś trzeba zrobić, żeby mieli poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość. W ten sposób możemy ich uciszyć. Graham zostanie zatrzymany, a potem stanie przed sądem. Z dowodami, jakie zbieram, i wątpliwościami, jakie mogę wskazać, prawdopodobnie zostanie zwolniony. Żaden sędzia nie skáže młodego zdolnego człowieka, który miał wypadek.

Rujnowanie kolejnego życia nie wskrzesi tych dziewcząt.

Darcy słuchała jego słów i czuła, jak jej krew zaczyna się ochładzać. Był dobry w tym, co robił, a to miało dla niej kluczowe znaczenie, zważywszy na to, że stał między jej synem a więzieniem.

— Okej — zgodziła się niepewnie.

— A teraz idź otworzyć drzwi i wpuść ich. Ostrzeż ich, że Graham wciąż jest w trakcie rekonwalescencji, a powinni obejść się z nim delikatnie. Pociągnę za parę sznurków i odwiedzę parę osób, żeby przyspieszyć ten proces. Zadzwoń do ciebie, gdy będziesz mogła po niego przyjechać.

— Okej — powtórzyła. I mimo że to wcale nie było okej, zrobiła, jak powiedział. Rozłączyła się i otworzyła drzwi. W grobowym nastroju wpuściła policjantów do środka. Przez lzy obejrzała nakaz aresztowania pod zarzutem spowodowania śmierci i uczestnictwa w nielegalnym wyścigu. Odwróciła wzrok, gdy policjanci skuli jej syna, ale uważnie obserwowała ich, gdy go wyprowadzali do radiowozu. Pilnowała go jak w te noce, gdy chorował na podgłośniowe zapalenie krtani, albo w te dni na placu zabaw, gdy miał niewytłumaczalną skłonność do skakania z dużych wysokości. Ale tym razem nie była w stanie go uchronić. Stała tylko i patrzyła przez okno, aż wszystkie cztery samochody zniknęły jej z oczu.

* * *

Późno w nocy zadzwonił telefon. Było to kilka godzin po zwolnieniu Grahama do domu (co przebiegło dokładnie tak, jak powiedział Terrence, i znacznie wzmocniło zaufanie Darcy do niego) i po tym, jak Tommy przyszedł sprawdzić co u niego i poszedł. (Na szczęście do tego czasu nieco się uspokoiła i była do niego przyjaźnie nastawiona przy Grahamie. Jej syn przeżył wystarczający stres i nie potrzebował teraz widoku walczących rodziców).

Nie знаła tego numeru, ale i tak odebrała, bo nie wiedziała, czy nie dzwoni ktoś w sprawie aresztu. Męski głos po drugiej stronie nie należał do policjanta zainteresowanego dodatkowymi informacjami w sprawie. Był to inny, znany jej głos, ale początkowo nie umiała przypisać go do odpowiedniej osoby.

— Hej, Darcy. Tu Clay. Chessman. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale właśnie dowiedziałem się o Grahamie. — Przerwał na chwilę. — Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. — Westchnął głośno w słuchawkę. — Nie wyobrażam sobie tego. Też mam syna i...

Odruchowo uśmiechnęła się na te słowa. Miło było pomyśleć, że ktoś sprawdza, co u niej słychać.

— Dziękuję za telefon, Clay — odparła. — Jest w porządku. To znaczy, nie był to najlepszy dzień mojego życia i zastanawiam się nad przeprowadzką na Florydę do mamy i cioci, ale... — Zaśmiała się sztucznie.

— Myślę, że w pewnym sensie... rozumiem... — odparł. — Prawdopodobnie jestem jedyną osobą w mieście, która to rozumie.

Nie musiał nic więcej tłumaczyć. Słyszała to i owo o oskarżeniach wobec jego żony. Ale gdy sama trafiła w sam środek plotkarskiego młyna Worthy, nie darzyła go aż takim zaufaniem jak kiedyś.

— Przykro mi — powiedziała — w związku z tym.

— Rozeszliśmy się — stwierdził, mimo że nie prosiła o wyjaśnienie. — Na razie mieszkam z dziećmi u rodziców.

— Sądzisz, że naprawdę zrobiła to, o co ją oskarżają? — spytała. — Wiesz, czy jesteś pewien, że ci chłopcy mówią prawdę? — Znała jednego nastolatka, który kłamał jak najęty, żeby

ocalić swój tyłek, bo tak kazała mu własna matka. Czy zrobiłaby to samo, gdyby jej syn znalazł się w sytuacji tych chłopców? Czy byłaby gotowa zniszczyć innej kobiecie karierę i małżeństwo, żeby ochronić reputację syna? Odpowiedź wcale jej się nie podobała. I wzbudziła w niej wątpliwości co do historii żony Claya. A co jeśli ona mówi prawdę, lecz została pochopnie osądzona?

— Nie znam dokładnie przebiegu zdarzeń i oczywiście zawsze są dwie wersje, ale coś na pewno zaszło. Ona... — Westchnął znowu, długo i głośno. Słyszała toczącą się w nim walkę. — Ona... — Znowu próbował coś wyrzucić. — Cóż, coś jest z nią nie w porządku. I było od momentu, jak się tu przeprowadziliśmy.

— Przykro mi — powtórzyła, mimo że te słowa wydawały się jej bezużyteczne. Podobnie jednak jak pozostali mieszkańcy, którzy po tragedii starali się składać kondolencje, czuła, że musi coś powiedzieć.

— Cóż, nie zadzwoniłem, żeby rozmawiać o Avie. Zadzwoniłem, żeby sprawdzić co u ciebie. Wiem, że to musi być trudne. Nieprzyjemne. Jak się czuje twój syn?

— Jest wycieńczony. To był długi dzień, a on wciąż dochodzi do siebie po wypadku. Sam też o mało nie zginął. — Przez ułamek sekundy w jej głowie pojawiła się myśl czy raczej tylko przebłysk, którego nie dało się jednak zignorować. Może lepiej by było, gdyby zginął. Co za matka ma takie myśli? Darcy dodała to do całej góry wyrzutów sumienia.

— Ciężka sprawa — przyznał Clay. — Cóż, zasadniczo zadzwoniłem, żeby ci powiedzieć, że jestem na bieżąco ze wszystkimi plotkami. Oceniam, w którą stronę skłaniają się rozmowy. — Zachichotał. — W restauracji nie sposób tego uniknąć, jak się domyślasz.

— Nie wątpię — odparła. Ale wcale nie była pewna, czy chce to wszystko usłyszeć. — I co, jest coś, co powinnam wiedzieć? — Próbowała się zaśmiać, ale zabrzmiało to jak zakrztuszenie.

— Owszem, jest. Całkiem sporo osób nie występuje przeciw Grahamowi. Słyszałem głosy, że równie dobrze dziewczyny mogły być winne, że ta, która prowadziła, miała tylko tymczasowe prawo jazdy i nie powinna tamtej nocy siedzieć za kierownicą. Że to był wypadek i tyle.

Przerwał, jakby czekał na jej reakcję, ale nie odezwała się, więc ciągnął dalej.

— Myślę, że łatwo w tej sytuacji wpaść w przekonanie, że wszyscy są przeciw tobie. — Prychnął ironicznie. — Wierz mi, aż za dobrze znam to uczucie. Ale nie wszyscy są przeciwko tobie. — Przerwał znowu. — Na przykład ja.

Zaśmiała się cicho w odpowiedzi, żeby zmniejszyć ciężar jego słów i złagodzić ukrywające się za nimi znaczenie. Brzmiało to, jakby coś jej oferował, nie umiała jednak tak do końca określić co. Clay Chessman był mężczyzną zamieszanym we własny skandal, a nie kimś, z kim można było poczuć więź. Mimo to miał rację. Był jedyną osobą w mieście, która naprawdę rozumiała, przez co Darcy teraz przechodzi.

— Cóż, dziękuję, Clay — odpowiedziała.

— No jakżeby inaczej — stwierdził. — Ale jest coś jeszcze — dodał, jakby czuł, że Darcy zamierza zakończyć rozmowę. To „ale” w jego ustach zabrzmiało, jakby wcale nie zostawił na koniec tego co najlepsze.

— Tak? — dopytała. Zdrętwiała jej noga, więc zmieniła pozycję i poczuła mrowienie w tej nodze, niczym ostrzeżenie.

— Hm, prawdziwy powód mojego telefonu jest taki, że dziś w restauracji było paru futbolistów i... Cóż, dotarły do mnie tylko strzępy ich rozmów, ale sprawiali wrażenie, jakby nie byli tak skorzy do przebaczenia. Mówili coś o zemście na Grahamie. Nie byli zadowoleni, że wyszedł z aresztu, i zamierzają go znaleźć. Żeby wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę.

Uważają, że on zabił ich dziewczyny.

— Och — westchnęła.

— Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć, żeby jakoś go przypilnować.

— Tak, tak, oczywiście. — Rozejrzała się. Czy zamknęła wszystkie drzwi i okna? Kiedyś taka myśl nawet nie przyszłaby jej do głowy, ale teraz wszystko się zmieniło. — Dziękuję — wykrztusiła jeszcze. Przełknęła ślinę. Język miała szorstki jak papier ścierny. Wstała i ruszyła po cichu w stronę kuchni po wodę, oglądając się za siebie, jakby nagle bała się, że za oknami mogą czaić się drapieżcy. Drapieżcy z nazwą miasteczka na koszulkach.

Milczała i Clay także milczał. Wyobraziła sobie, że słucha, jak ona wyciąga szklanke, nalewa sobie wody z kranu i pije. Milczenie stawało się kłopotliwe. Darcy zastanawiała się nad wymyśleniem jakiegoś wykrętu, żeby się rozłączyć, ten jednak pojawił się sam, niczym cudowne zrządzenie losu. Usłyszała coś pomiędzy krzykiem zwierzęcia w potrzasku a płaczem przerażonego dziecka. Dobiegał z pokoju, w którym spał teraz Graham. To jej syn płakał. Rozpaczliwie, jakby pękało mu serce. I może pękało. Znała to miasteczko i wiedziała, że jeśli Clay coś usłyszał, prawdopodobnie dotarło to także do Grahama. Wiedziała, że musi być przerażony.

— Hej, Clay, muszę już kończyć — powiedziała z powracającą siłą. Siłą, która pochodziła z bycia potrzebną i tego, że może komuś pomóc. Zastanawiała się, czy Clay też tak odbierał tę rozmowę. Jeśli tak, to cieszyła się, że może mu to zaoferować.

— Jasne, jasne — zgodził się. — Nie masz nic przeciwko, żebym kiedyś znowu do ciebie zadzwonił? Wiesz, żeby sprawdzić, co u ciebie?

Zdawała sobie sprawę, że powinna odmówić. Wchodzenie z nim w tej chwili w relację nie było najlepszym pomysłem. Czy skandal kiedykolwiek stanowił podstawę dobrej przyjaźni? Czy można zbudować więź na złamanym sercu? Ale to, że inny człowiek — który sprawiał wrażenie, jakby naprawdę się o nią troszczył, a do tego był przystojny — będzie sprawdzał co u niej, wydało się jej dobre i potrzebne w jej aktualnym życiu.

— Nie mam — odparła. Pożegnała się i zakończyła rozmowę. Rzuciła telefon na blat i poszła sprawdzić, co z synem. Bycie potrzebnym i bycie otoczonym opieką: na ile potrafiła powiedzieć, tak wyglądał cykl życia, nieskończona, zawrotna pętla.

23. Ava

Sobota

Idąc za nią do przyczepy, ojciec cały czas oglądał się za siebie, jakby bał się, że ktoś podkradnie się od tyłu i ich zaatakuje. Ale miasteczko dopiekło już Avie w najdotkliwszy możliwy sposób. Na razie. Dzień w areszcie rozciągnął się do blisko dwudziestu czterech godzin, bo policja robiła wszystko, żeby maksymalnie przedłużyć cały proces, znacznie ponad to, co konieczne. W międzyczasie przywieziono i wypuszczono chłopca, który wjechał w dziewczyny. W pewnym momencie czekali w tym samym miejscu i taksowali się spojrzeniami, w których rozbiecie mieszało się ze strachem, ale nie zamienili ze sobą ani słowa. Ava cieszyła się, że nigdy go nie uczyła.

Odłożyła papiery przekazane jej przez adwokata. Z oskarżeniami wydrukowanymi czarno na białym i spisany alfabetem, jakiego używała przez całe życie. Tyle że tym razem tworzył on groteskowe słowa, które nie mogły przecież odnosić się do niej. Równie dobrze mogli wytatuować jej te słowa na czole, bo ludzie do końca życia będą je widzieli, gdy na nią spojrzą.

Ale te papiery nie pasowały jej do kuchennego stołu, przy którym razem z Clayem i dziećmi tworzyła rodzinę i spożywała odpowiednie posiłki. Pozbierała je i schowała z powrotem do torebki. Potem wymyśli dla nich jakieś miejsce.

Usłyszała za sobą ciężkie kroki ojca podchodzącego do lodówki i zamarła. W środku było prawie pusto i nie chciała, żeby to zobaczył. Nie, żeby nie było ją stać na jedzenie (Clay nie mógł odciąć jej dostępu do pieniędzy, chociaż domyślała się, że tak właśnie wolałby zrobić). Po prostu nie wyobrażała sobie spotkania z kimkolwiek w Trout's. Wolała umrzeć z głodu, co stawało się coraz bardziej realną opcją. Usłyszała syknięcie drzwi przy otwieraniu. Ojciec prawdopodobnie szukał wody, coli lub może piwa. W końcu to był naprawdę długi dzień. Odwróciła się do niego.

Praktycznie ani razu nie spojrzała wprost na niego od chwili, gdy wpłacił za nią kaucję po tym, jak Clay otwarcie jej odmówił. Zadzwoiła do Claya z aresztu, lecz on nie odebrał. Po jakimś czasie przekazał jej wiadomość przez prawnika, który grobowym głosem poinformował ją o rozpoczęciu procesu separacji i o tym, że Clay nie zamierza w jakikolwiek sposób pomagać jej w postępowaniu sądowym. Gdy ojciec ją zabrał, w drodze do domu mijali restaurację, w której panował taki ruch jak zawsze. Wyobraziła sobie składane Clayowi kondolencje i to, jak jest w nich przedstawiana — jako pedofilka i rozpustna dziwka. Clay na pewno nie zaprzeczy i nie stanie po jej stronie.

— Myślę, że powinnaś wrócić do domu i zamieszkać z nami — stwierdził ojciec, nie komentując pustej lodówki, a jego usta prawie się nie poruszały, gdy to mówił. Wiedziała, że wcale nie chce zabrać jej ze sobą i że wygłosił po prostu edykt matki, która chorowała na fibromialgię i właśnie miała kolejny atak. Wskazał kciukiem duży dom za swoimi plecami. — On najwyraźniej nie ma zamiaru pozwolić ci zobaczyć się z dziećmi.

Ava wskazała papiery.

— Tato, nie wolno mi nigdzie wyjeżdżać. Nie przed procesem.

— Myślałem, że zamierzasz złożyć formalne przyznanie się do winy. Twoja prawniczka uważa, że tak będzie najlepiej.

Faktycznie tak jej doradzała, przynajmniej na razie. — Miejmy nadzieję, że pojawią się nowe fakty, które potwierdzą twoją wersję — powiedziała do Avy. — Ale jeśli nie, przyznanie się do winy przyspieszy tok postępowania. Boję się, że sprawiedliwość wcale nie jest tak rychła, jak byśmy sobie tego życzyli. — Co oznaczało, że Ava będzie uziemiona w miasteczku, dopóki

opieszały wymiar sprawiedliwości nie przemieli jej sprawy.

— Powiedz mamie, że przyjadę, jak tylko będę mogła — odpowiedziała. Wyciągnęła ręce do ojca, który wysupłał sporą część swoich oszczędności i przejechał ponad sto mil, żeby wykupić ją z aresztu, gdzie trafiła z powodu tego wstydlwego oskarżenia. Musiała mu to wytłumaczyć. Musiała znaleźć sposób na oczyszczenie swojego imienia. Wciągnęła w nozdrza jego zapach, ten jego leśny zapach old spice'a. — Tak bardzo mi przykro — szepnęła. — Udowodnię wam, że nie zrobiłam tego, co mi zarzucają. — Z ukrytą w jego koszuli twarzą nie była pewna, czy w ogóle ją słyszy, ale poczuła, jak zeszywniał. Odsunął się od niej i poklepał ją po ramieniu, ale nie spojrzał jej w oczy.

— Lepiej już pójdę — stwierdził.

Przytaknęła i spuściła wzrok. Nie podniosła go, dopóki nie znalazł się za drzwiami.

— Bezpiecznej drogi — krzyknęła, gdy drzwi się za nim zamknęły. — Dziękuję — dodała cicho i zaczęła płakać, bo było jej przykro z powodu tej sytuacji i dlatego, że jej nie uwierzył. Ojciec, tak jak wszyscy, uważał ją za pedofila.

24. Leah

Poniedziałek

Miała lekcję z Grahamem LaRue. Jego nazwisko po francusku oznaczało „ulica”. Nie uczyła się francuskiego, bo zrezygnowano z niego w Worthy High z powodu cięć budżetowych, ale wyłapywała różne rzeczy z książek. Za czasów nauczania domowego mama pozwalała jej podążać za wszystkim, co ją zainteresuje, pod warunkiem że jest w tym jakiś walor edukacyjny. Leah dość mocno zafascynowała się Paryżem i wszystkim, co z nim związane.

Była gotowa się założyć, że nikt w Worthy nie wiedział o tym odległym mieście więcej niż ona. Może poza Talmadge’em. Tak dużo mówiła wtedy o Paryżu, że na pewno chcąc nie chcąc sporo zapamiętał. Przyszło jej do głowy, że są w Paryżu razem i tańczą o północy pod wieżą Eiffla do utworu bez słów, ale natychmiast odrzuciła tę myśl.

Na matematyce nauczycielka — pani Parry — ogłosiła, że potrzebuje kogoś, kto dostarczy Grahamowi jego zadania. Rozejrzała się nerwowo po klasie z obawą, że nikt się nie zgłosi. Nie było żadną tajemnicą, że futboliści wydali wyrok na Grahama i przysięgli, że dobiorą mu się do skóry, gdy tylko będą mieli okazję, żeby zrealizować własne wypaczone wyobrażenie o zemście za śmierć Keary, Brynne i Mary Claire. A w Worthy High to, co zadeklarowali futboliści, stawało się z automatu obowiązującym prawem. Byli półbogami w tym miasteczku, a ich wpływy rozpościerały się na różne niezwiązane ze sportem obszary.

Leah pomyślała o swoim sekrecie i o tym, jak bardzo ich nienawidzi. Nienawidziła ich znacznie bardziej, niż mogłaby nienawidzić Grahama LaRue, cichego chłopca, który chciał tylko być lubiany. Taki uczeń, który idzie z prądem, bo sądzi, że to poprawi jego status. Był w końcu synem Tommy’ego LaRue, który miał na koncie jakiś głupi rekord i nie pozwalał ludziom o tym zapomnieć. Kręcił się na meczach futbolowych i pozwalał, by wszyscy gratulowali mu czegoś, co zrobił dekadę temu. Graham próbował jakoś temu dorównać. Leah potrafiła sobie wyobrazić, jak musiał się czuć tamtej nocy w nowym samochodzie. Wszyscy patrzyli na niego z zazdrością i zawiścią. Poczul swoją moc — być może pierwszy raz w życiu. Może ta moc ciążyła mu na stopie i zmuszała do coraz mocniejszego dociskania pedału gazu. Może to on spowodował wypadek.

Albo Keary nie powinna była prowadzić samochodu MC. Nawet w swoje najlepsze dni jeździła strasznie nerwowo, a to było w nocy i ze śpiewającymi i śmiejącymi się Brynne i Mary Claire, które prawdopodobnie były już w bardzo wskazującym stanie. Na pewno ją to rozpraszało i wprawiało w jeszcze większą nerwowość. Leah jechała już z Keary za kółkiem i dobrze wiedziała, że wypadek mógł być jej winą. Ale wygłoszenie takiej opinii w tej chwili, po tragedii, było herezją.

Leah podniosła rękę.

— Ja to zrobię, pani Parry — powiedziała.

Nauczycielka zrobiła wielkie oczy.

— Jesteś... jesteś pewna, Leah?

Leah przytaknęła, mimo że słyszała falę zdegustowanych szeptów, która przetoczyła się przez klasę. Głęboki męski głos za jej plecami rzucił jakimś pogrózkami, do których dołączyły się inne głosy, ale Leah się nie odwróciła.

— Nie mieszka zbyt daleko — dodała, pilnując, by jej głos brzmiał silnie i pewnie. — Mogę mu to podrzucić dzisiaj po drodze do domu.

— To świetnie. Przygotuję wszystko i dam ci przed końcem lekcji. Dziękuję, Leah. Pani

Parry uśmiechnęła się do niej, jakby uważała ją za dobrą dziewczynę, zdolną do bezinteresownego aktu dobroci. Nie wiedziała jednak, że motywacje Leah były zupełnie inne. Zanieśenie Grahamowi LaRue zadań było dla niej po prostu małym aktem buntu. Sposobem na postawienie się po tak długim czasie siedzenia cicho.

* * *

Dom Grahama był ciemny i cichy, a matka mówiła szeptem, gdy otworzyła jej drzwi, jakby bała się, że ktoś ich podsłucha. Leah starała się promiennie uśmiechać i emanować radością. Odwoływała się do ukrytej głęboko w środku osoby — dziewczynki, którą była w wieku dziesięciu lat, gdy uśmiech przychodził jej bez trudu. Ta dziewczynka, przynosząca każdemu słońce, dawno zniknęła, ale coś z niej jeszcze pozostało. Leah wciąż potrafiła ją przywołać, gdy pojawiała się taka potrzeba. Pani LaRue — Darcy, jak kazała do siebie mówić, mimo że Leah wpajano, że do wszystkich dorosłych należy zwracać się per „pan” i „pani” — wyglądała na przerażoną. Leah domyślała się dlaczego. Chciała jakoś ją rozluźnić, przekonać, że jest przyjacielem, a nie wrogiem.

— Możesz powtórzyć swoje imię, słonko? — spytała pani LaRue.

— Leah — odparła. A potem dodała: — Bennett.

Pani LaRue zamarła na moment, słysząc to nazwisko, i przyjrzała jej się kątem oka.

— Leah Bennett? — upewniła się.

Leah przytaknęła i poprawiła wypełnioną książkami torbę, którą trzymała. Musiała poprosić Talmadge'a, żeby zabrał ją ze szkoły. Zwykle chodziła pieszo, ale dziś miała zbyt dużo do noszenia, a Talmadge był zawsze gotów gdzieś ją podwieźć swoim przerdzewiałym i starym samochodem. Nie zadawał przy tym miliona pytań, które niewątpliwie by padły, gdyby Leah poprosiła o pomoc mamę.

— Hm, czy ty przyjaźnisz się z... — Pani LaRue zamilkła, jakby nie potrafiła wykrztusić imion zabitych dziewcząt.

— Tak, przyjaźniłam się — odparła Leah. Usłyszała falowanie głosu na słowie *przyjaźniłam*, ale miała nadzieję, że mama Grahama tego nie zauważyła.

Chyba nie zauważyła; wskazała torbę z książkami w rękach Leah. Torbę, która z każdą chwilą robiła się cięższa.

— I robisz... robisz to dla mojego syna? — Cała jej twarz wyrażała powątpiewanie. Jakby podejrzewała, że Leah jest jakąś zwiadowczynią, szpiegiem wysłanym przez chłopaków, którzy chcieli skrzywdzić jej syna.

Leah przytaknęła.

— Tak. — Chciała dodać coś jeszcze, ale zorientowała się, że kobieta nie zwraca na nią uwagi. Patrzyła przez otwarte drzwi za nią, na Talmadge'a, który czekał w zaparkowanym na podjeździe samochodzie. Przyglądała mu się, jakby bała się, że coś knuje.

— Ach, nie zna go pani — wyjaśniła pospiesznie Leah. — Ma nauczanie domowe.

— Nauczanie domowe? — powtórzyła pani LaRue, jakby nigdy nie słyszała o takim pomysle.

— Tak, jego rodzina mieszka na obrzeżach. — Pomachała dłonią mniej więcej w kierunku domu Feathersów, przypominając sobie ich farmę. Ich dom wyglądał niewiele lepiej od szałas. Kiedyś Leah zobaczyła w salonie kozę. Spała na kanapie, jak pies. Tyle że psu Leah nie wolno było spać na kanapach.

Pomachała do Talmadge'a, który odmachał jej z uśmiechem.

— On nawet nie zna pani syna — wyjaśniła Leah. — Po prostu zaoferował się, że może mnie podwieźć. — Wyciągnęła przed siebie torbę z książkami. — Ja też kiedyś miałam

nauczanie domowe.

Pani LaRue wzięła torbę.

— Acha — powiedziała, a jej twarz przestała wyglądać tak mizernie i nerwowo. — W takim razie dziękuję. Wiem, że mogłabym sama podjechać do szkoły i to odebrać, ale nie chcę zostawiać Grahama zbyt długo samego. Jest... — Zawahała się. — No, wciąż jest bardzo słaby. I...

Zapadła cisza. Leah wiedziała, że obie myślą teraz o tym, że Graham nadal żyje, a jej przyjaciółki nie. Miała ochotę stwierdzić: *Nie obwiniam pani syna*. Chciała opowiedzieć pani LaRue o tym, jak któregoś dnia Keary przez piętnaście minut próbowała włączyć się do ruchu z drogi podporządkowanej i że często wjeżdżała na krawężniki. Chciała też wyznać, że nienawidzi tych futbolistów równie mocno, jak oni nienawidzą Grahama. Ale oczywiście nie mogła nic takiego mówić. Głównie dlatego, że nie знаła tej kobiety, ale także dlatego, że nikomu nie mogła o tym powiedzieć.

— Mogłabym tylko wejść i się przywitać? — spytała, zaskakując zarówno siebie, jak i mamę Grahama, która zrobiła krok w tył, a jej twarz na powrót przybrała zatroskany wyraz. — Znaczy, jeśli nie śpi czy coś. W sumie nieważne. — Zaśmiała się krótko. — Po prawdzie to nie znamy się zbyt dobrze. Praktycznie w ogóle się nie znamy. — Machnęła dłonią, odrzucając własny pomysł. — Pójdę już.

Ruszyła z powrotem w stronę wciąż otwartych drzwi. Usłyszała w głowie słowa matki, które słyszała bardzo często. *Zamknij drzwi! Wychowałaś się w stodołę?* Leah śmiała się z tego z Talmadge'em, bo on mógł odpowiedzieć na to pytanie twierdząco. Jego rodzina najpierw zbudowała stodołę i mieszkała w niej w trakcie budowy domu. Który tak naprawdę niewiele się różnił od stodoły.

— Nie, nie odchodź. — Usłyszała głos pani LaRue. — Myślę, że Graham ucieszy się z gościa. Odwróciła się i ruszyła w głąb domu, oczekując, że Leah podąży za nią. Leah odwróciła się do Talmadge'a, który słuchał w samochodzie jednego ze swoich utworów bez słów. Gdy do niego wróci, każe mu zmienić radiostację.

Podniosła palec w geście *Daj mi minutkę*. Wiedziała, że na nią zaczeka. Potem zamknęła drzwi i ruszyła za panią LaRue.

25. Darcy

Wtorek

Szef Grahama zadzwonił cztery dni po aresztowaniu jej syna i dziesięć minut po tym, jak Darcy znalazła pod jego materacem wydrukowane z witryny miasta zdjęcia dziewczyn. Wystawały na tyle, żeby zwrócić jej uwagę. Instynktownie je wyciągnęła i równie szybko wsunęła na miejsce. Oczy wezbrały jej łzami. Pękało jej serce na myśl o ciężarze, jaki musiał dźwigać Graham. Chciała z nim o tym porozmawiać, lecz on unikał jej pytań ze zręcznością godną swojego ojca.

Łzy nie zdążyły jeszcze wyschnąć na jej twarzy, gdy Rick Staley wyjaśnił, że ze względu na mniejszy ruch w biznesie nie będzie na razie potrzebował Grahama. Brzmiał jak nastolatek zapraszający dziewczynę na randkę. Powiedział, że mu przykro, i czym prędzej zakończył rozmowę, rozłączając się ze zszokowaną Darcy, która zamarła z telefonem w dłoni. Dobrze, że u Grahama znowu jest ta koleżanka ze szkoły, bo nie będzie pytał, kto dzwonił. Darcy zyska trochę czasu, żeby wymyślić sposób na przekazanie mu tego kolejnego ciosu. Z pokoju dobiegały ich śmiechy — Grahama i Leah. Darcy chłonęła śmiech syna, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go słyszała.

Znowu zadzwonił telefon. Może szef Grahama się zreflektował. Powie, że coś mu się pomyliło, i przeprosi, że niepotrzebnie ją nastraszył. Nie, to niemożliwe. Graham został wylany, bo miał zły wpływ na interesy. Czas tego nie zmieni, niezależnie od tego, czy minie pięć minut, czy pięć lat.

Mimo wszystko odebrała i uśmiechnęła się, słysząc głos Claya. Dzwonił do niej w miarę regularnie, a ich konwersacje stały się dla niej czymś w rodzaju telefonu zaufania. On ją rozumiał. On jej słuchał. A ona słuchała jego. Jego żona zrobiła coś tak ohydneho, że czasem Darcy bardziej było szkoda jego niż siebie. Pasowali do siebie. Dwóch pariasów.

— Jak się masz? — spytał jak zwykle. Zazwyczaj dzwonił tuż przed wieczornym ruchem lub późno w nocy, gdy wszyscy już wyszli. — Co słychać? — Codziennie przynajmniej u jednego z nich zdarzało się coś nowego. Postępy w toczących się sprawach, plotki, kolejne bolesne zdarzenia.

Darcy poszła w stronę pokoju przy wejściu, żeby oddalić się od Leah i Grahama. Leah wpadła po raz drugi i Darcy miała wrażenie, że przerodzi się to w coś regularnego.

— Wiesz, dziewczyna znowu wpadła — odparła przyciszonym głosem.

— Leah? — upewnił się. Poprzedniego wieczoru powiedział jej wszystko, co o niej wiedział. Znał jej ojca, nieco staroświeckiego, lecz generalnie sympatycznego człowieka. Widywał ją na mieście. Była dość cichą osobką, ładną i słodką. Nieco przytłoczoną pułapkami statusowymi szkoły średniej, ale desperacko pragnącą je rozszyfrować. Widział ją w grupach w restauracji, jak chłonęła wszystko i starała się poznać rządzące nimi mechanizmy. Stwierdził, że zauważył to, bo w młodości był do niej bardzo podobny. Darcy przyznała, że nigdy nie przywiązywała do tego tak dużej wagi. — Dlatego, że ty od zawsze miałaś to rozpracowane — rzucił wtedy prowokacyjnie. — Cóż, nie wyszło mi to na dobre, czyż nie? — odparowała podczas tamtej rozmowy i oboje się roześmiali.

— Tak, Leah — potwierdziła teraz i westchnęła. — Przyniosła mu kolejne materiały i zabierze to, co przerobił dzisiaj. Podejrzewam, że będzie to robić regularnie.

— Hm, to może być dla nich dobre. Oboje sporo przeszli. Może zbudują na tym więź.

— Panie Chessman, czy pan powiedział *zbudują więź*? — Darcy myślała, że takie

sformułowania pasują bardziej do talk-show i książek o macierzyństwie, a nie do mężczyzn w średnim wieku, którzy dorastali w Worthy.

— No co — rzekł defensywnie — zdarza mi się czytać.

Potrząsnęła głową, mimo że jej nie widział.

— Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

— Spadaj — odparował. I oboje się roześmiali, zupełnie jak para nastolatków w pokoju na drugim końcu domu. — Chodzi mi o to, że może to dobrze, że mają możliwość porozmawiania o tym, co się stało, lub bycia razem i nierozmawiania o tym. Ona straciła w wypadku najlepsze przyjaciółki. A on jest oskarżony o doprowadzenie do tego. To sporo... problemów do przetrwania. Wiesz, *coś* ją zmotywowało do tych odwiedzin.

— No — zgodziła się, wdzięczna za możliwość rozmawiania z nim i przetwarzania tego wszystkiego. Z Tommym na pewno nie dałoby się o tym pogadać. Ostatnio mówił tylko o tym, że pokaże Grahamowi, jak strzelać z broni, na wypadek, gdyby ktoś mu groził, co było chyba najgorszym pomysłem świata. A jeśli zdarzało mu się o tym nie paplać, to powtarzał jej słowa adwokata. Czowała, że coraz bardziej się od niej odsuwa, jak ta piłeczka, która odplynęła Tomowi Hanksowi w *Poza światem*. Wkrótce Tommy zniknie na dobre. W międzyczasie Clay pełnił rolę tratwy, dzięki której utrzymywała się na powierzchni fal.

— Przed chwilą dzwonił też Rick Staley. Zwolnił Grahama — powiedziała, sprawdzając, jak czuje się z tymi słowami, gdy nabiorą realności po wypowiedzeniu ich na głos.

— A to skurwiel — wysapał Clay. — Przed chwilą jadł u mnie lunch. Powinienem przyłożyć mu w nos. — Zamilkł na chwilę. — A to skurwiel — powtórzył, tym razem przeciągając każde słowo.

— No — zgodziła się.

— Jezu, tak mi przykro. Biedny chłopiec nie ma nawet chwili wytchnienia, co?

— Tak, a do tego cała drużyna futbolowa dyskutuje o tym, żeby go zabić. Tego też prawdopodobnie nie da się odkręcić. — Poczowała, że zaczyna drzeć. Czasem miała już tego po prostu dość. Rozważała przeniesienie się na Florydę. Skierowałyby samochód na południowy zachód i odjechała najszybciej, jak się da, zupełnie jak jej syn tamtej nocy. Tyle że ona ścigałaby się z samą sobą.

— Może ja dam mu pracę? — spytał Clay, odrywając ją od marzeń o ucieczce. — No wiesz — dodał szybko — kiedy będzie już w stanie się do niej stawić, rzecz jasna.

— Nie musisz tego robić, Clay. Serio. To wykracza poza wszelkie poczucie obowiązku. — Odchyliła się i oparła nogi o ścianę. Spojrzała na swoje uda i na nieznacznie nakrapianą skórę w miejscu, w którym nabrała ciała. Opuściła nogi.

— Pomocnik kelnera zawsze się przyda. Nie jest to jakaś wybitna praca, ale zarobi na tyle, żeby mieć na paliwo. — Złapał się na odniesieniu do samochodu, którego Graham już nie miał. — Czy na cokolwiek, na co potrzebuje pieniędzy — dodał szybko.

— Przekażę to Grahamowi — odpowiedziała i uśmiechnęła się. Był to prawdziwy uśmiech, odruchowy, a nie coś, do czego musiała się zmuszać, żeby kogoś zadowolić. — To miłe z twojej strony, Clay. Naprawdę.

Niemal poczuła, że Clay wzruszył ramionami.

— Żaden problem. W gruncie rzeczy fajnie byłoby mieć go w pobliżu.

Przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć, że *jego* też fajnie byłoby mieć w pobliżu, ale to mogło zostać odebrane jako flirciarskie. Dawna Darcy na pewno by się nie pohamowała. Ale Clay Chessman był żonaty i miał na karku niezły bałagan. W ich relacji nie było miejsca na flirt lub jakiegokolwiek dwuznaczności. Ich relacja sprowadzała się tylko do tego — wzajemnej pomocy i gotowości do zaangażowania się, gdy wszyscy inni się odwracali.

26. Marglyn

Wtorek

Przez okno kuchenne obserwowała, jak Hale i Robert na podwórku z boku domu rzucają piłkę baseballową, która co rusz przecinała powietrze. Niby zmywała naczynia, lecz w rzeczywistości unikała dołączenia do nich. Poczula przypływ macierzyńskich uczuć do dziecka, które jej pozostało. Pomyślała, że dobra matka nie pozwoliłaby, żeby ta tragedia wpłynęła na jej relację z synem.

Ale ona nie była dobrą matką. Ona musiała sobie przypominać, żeby się do niego uśmiechać. Odsłaniała przy tym zęby w nienaturalny sposób, jak wilk. Dzisiaj, gdy chciała poczochrąć mu włosy, odsunął się zdumiony, a ona zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio go dotykała. Musiała coś z tym zrobić.

Zakręciła wodę, wytarła ręce i ruszyła w stronę tylnych drzwi, zanim umysł nakaże stopom się zatrzymać. Wyszła na zewnątrz i pomachała im.

— Mogę zagrać? — spytała z nadzieją, że jej głos brzmi tak radośnie, jak by sobie tego życzyła.

Obaj zwrócili w jej stronę zaskoczone twarze. Spojrzeli na nią, na siebie i z powrotem na nią.

— Mamo. — Robert odezwał się pierwszy. — Nie masz rękawicy. — Pomachał rękawicą w powietrzu, jakby chciał jej pokazać, co to jest rękawica.

Zaśmiała się, ale nie sztucznie i nie dla Roberta. Dzisiaj było naprawdę pięknie — umiarkowana temperatura, śpiewające ptaki i przytłumione światło kończącego się wczesnie dnia. Poczula w środku nabrzmiewającą bańkę szczęścia, niewymuszoną i nieoczekiwaną. Hale podszedł do niej i dał jej swoją rękawicę.

— Masz, mamo — powiedział. Wcisnął jej rękawicę na dłoń, po czym nachylił się i dodał szeptem: — Dziękuję.

Puścił jej oczko, wskazał kciukiem kuchnię i krzyknął do Roberta:

— Pójdę po piwo do kuchni, gdy będziecie grać. — Patrzyła za nim, jak odchodził, i zastanawiała się, czy jego ramiona wyglądają na mniej zwieszane. Nigdy nie przyznał tego wprost, ale wiedziała, że niepokoi go jej zdystansowanie się do Roberta.

Odwróciła się do syna i uniosła uzbrojoną w rękawicę dłoń.

— Dobra, dawaj! — zawołała, starając się nie myśleć o tym, jak Mary Claire jeszcze niedawno wypowiedziała dokładnie te same słowa, gdy rzucała piłkę z młodszym bratem. Obserwowanie interakcji rodzeństwa zawsze utwierdzało Marglyn, że mimo różnic i sprzeczek tworzyli szczęśliwą rodzinę. Coś udawało im się robić dobrze. Teraz ona robiła coś dobrze, coś kojącego. Wystarczyło pożyczyć rękawicę i poświęcić kilka minut. Pławiła się w śmiechu Roberta, gdy upuszczala piłkę, drwiła z niego, gdy rzucała, a on nie złapał, i puszczała Hale'owi oczko, gdy do nich wrócił.

— Czas! — zawołał Robert. — Muszę iść do łazienki.

— Na pewno dlatego stąd idziesz? Czy może po prostu rozłożyłam cię na łopatki? — Czuła jak pulsuje jej krew, a policzki bolały ją od śmiechu.

Robert zaśmiał się i potrząsnął głową, po czym zniknął w drzwiach, zostawiając Hale'a i ją samych. Ze swojego miejsca Marglyn widziała ich długi, zwirowany podjazd przed domem, na którym brakowało skasowanego samochodu Mary Claire. Za nią wisiała pusta huśtawka, którą kupili jej na piątę urodziny. Poruszała się, jakby huśtało się na niej niewidzialne dziecko. Ich

córka pozostanie z nimi na zawsze. Ale może nie jest to nic złego.

— Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe — powiedział Hale.

Wzruszyła ramionami.

— Musiałam to zrobić.

Hale podszedł bliżej, objął ją ramieniem i pocałował w czubek głowy.

— Dobrze mu to zrobiło. Normalność.

Przytaknęła.

— Mnie też.

Przez chwilę stali w milczeniu. Marglyn poczuła wiatr i wypełniła nim płuca, biorąc głęboki wdech. Hale patrzył na podjazd i wiedziała, że także myśli o Mary Claire.

— One piły tamtego wieczoru — stwierdził.

Przytaknęła; widziała nieudolnie ukrytą w pokoju MC torbę z pustymi puszkami po piwie. Wyrzuciła je czym prędzej, przysięgając, że nigdy nikomu o tym nie wspomni, żeby nie sugerować winy dziewcząt i nie brukać ich pamięci. Jej córka myślała, że pozbędzie się dowodu po powrocie, wyrzucając puszki do dużego kontenera na zewnątrz. Myślała, że jak zwykle ujdzie jej to płazem. Czerpała z życia pełnymi garściami, dopóki nie zostało jej zabrane.

Chęć krzyczenia, zawodzenia i rozpaczliwego miotania się wróciła z podwójną siłą i Marglyn wypuściła całe to świeże i czyste powietrze, wchłonięte zaledwie kilka chwil temu.

— Widziałem je — wyznał. — Wyglupiałem się z nimi tamtego wieczoru i widziałem puszki piwa. Widziałem je i... — Urwał i zamknął oczy, żeby opanować łzy. — Dałem im spokój. Zapewniły mnie, że Keary jest ich trzeźwym kierowcą i że wszystko będzie w porządku. Uwierzyłem im, bo zawsze tak było.

Marglyn ostrożnie zaczerpnęła powietrza, starając się przywołać to uczucie, gdy śmiała się z Robertem, żeby zapomnieć o rozpacz, którą nosiła niczym swędzący pokutniczy wór. Była zbyt wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, żeby gniewać się na Hale'a po tych słowach i żeby go obwiniać, bo spędziła zbyt dużo czasu na obwinianiu siebie. Nie pozwoli, by to wyznanie na nich wpłynęło i jeszcze bardziej ich pognębiło. Bo jakie to miało znaczenie? Co by to zmieniło? Gniew na niego nie zmieni ani jego przeszłych decyzji, ani jej. Dlatego powiedziała jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

— Naprawdę tak myślałeś?

Oderwał wzrok od podjazdu, odwrócił się od miejsca, z którego córka odjechała po raz ostatni, i skierował zaczerwienione oczy na Marglyn.

— Co czy naprawdę myślałem?

— Że wszystko zawsze było w porządku?

Uśmiechnął się do niej smutno i ścisnął jej ramiona.

— Jasne, że tak. Bo było.

— Ale my tak często się kłóciłyśmy i ona uciekała do przyjaciółek i zachowywała się, jakby była zbyt dobra jak na nas. Jakbyśmy byli... — Urwała i poprawiła się. — Jakbym *ja* przynosiła jej wstyd. — Objęła się, odwróciła do Hale'a i położyła głowę na jego ramieniu.

Tylne drzwi się otwarły i wypadł przez nie Robert. Nałożył rękawicę i z zapalem zawołał:

— Mamo! Teraz kolej taty!

Zaśmiała się cicho z jego słów. To była kolej taty na obwinianie się o to, co się stało. Ściągnęła rękawicę, która pachniała skórą, potem i kurzem. Hale wziął ją od niej i założył.

— Nie byłam jej warta — powiedziała.

Uśmiechnął się do niej smutno.

— Nikt z nas nie był — odparł. — Była zbyt dobra jak na ten świat.

— Tak to widzisz? — spytała zaskoczona.

— Inaczej nie potrafię. — Wskazał podbródkiem czekającego syna i ze skruszonym spojrzeniem zostawił ją wpatrzoną w podjazd, wypatrującą samochodu, który już nigdy nie wróci.

* * *

Ktoś zadzwonił do drzwi, gdy Hale i Robert wciąż bawili się na zewnątrz, korzystając z ostatnich promieni słońca. Marglyn przerażona poszła otworzyć. Nie była w nastroju do towarzystwa, nie po tym burzliwym popołudniu. Miała nadzieję, że to nie jej teściowa z wyrazami współczucia. Szarpnęła drzwi, które odsłoniły znajomą twarz, lecz nie taką, jakiej oczekiwała. Ginny.

Patrzyły przez chwilę na siebie jak dwie osoby, które kiedyś łączyła jakaś zażyłość, lecz teraz się tego wstydzą. Marglyn zwróciła uwagę na wygląd dziewczyny. Zbyt obcisłe dżinsy, biały top, tak bardzo sprany, że bliżej mu było do szarości, i nieszczęsna nowa fryzura. Marglyn ostrzegła Ginny przed pozwalaniem starszej siostrze (która rzuciła szkołę kosmetyczną) na zbliżanie się do jej włosów z nożyczkami. Ale Ginny pragnęła wszystkich zadowolić, więc łatwo było ją przekonać do robienia rzeczy, których nie powinna robić. Kto wie, co się z nią stanie bez Marglyn, która miała jej pomagać.

Marglyn wbiła paznokcie w dłonie, żeby otrzeźwić się bólem. Nie mogła dać się wciągnąć z powrotem w świat tej dziewczyny. Troszczenie się o nią nie było jej obowiązkiem. To nastawienie doprowadziło je do sytuacji, w której właśnie się znalazły: Ginny stała przed jej drzwiami, przestępując nerwowo z nogi na nogę, z torbą na zakupy w ręce. Promienie słoneczne odbijały się od pomalowanych na opalizujący kolor paznokci i padały na kardigan Marglyn, gdy Ginny uniosła torbę wyżej.

— Przyniosłam ci je — powiedziała. Torba dyndała między nimi przez kilka sekund. Marglyn zauważyła nazwę sklepu na boku i przypomniała sobie, jak kasjerka spakowała ciuchy i wsunęła je do środka, a Ginny, wręcz drżąc z ekscytacji, czekała na zakończenie transakcji. Marglyn była skłonna się założyć, że od tamtej nocy ciuchy nawet nie zostały dotknięte.

— Ginny, kupiłam te ciuchy dla ciebie — odparła. — Nie musisz... — przerwała. — Nie musisz mi ich oddawać — dokończyła.

— Nie chcę ich — wyznała Ginny. Wbiła wzrok w ziemię, nieoczekiwanie zainteresowana układem cegieł na werandzie. — Prawdopodobnie da się je jeszcze zwrócić. I odzyskać pieniądze — dodała, kreśląc linię palcem w klapkach. Były to zwykłe, tanie klapki, sprzedawane za trzy dolary w Dollar General, jakie Marglyn nosiła w jej wieku. Dobrze pamiętała pęcherze, jakie robiły jej się między palcami. Było zbyt zimno na takie obuwie.

Ginny podniosła wzrok.

— Mam mnóstwo ciuchów — stwierdziła. W jej głosie pobrzmiwały upór i duma. Jakby zamierzała dodać: *Nie potrzebuję pomocy charytatywnej*. A Marglyn musiałaby się powstrzymać przed wyjaśnieniem, że nie chodzi o pomoc charytatywną tylko o styl. Czego swojej córce w ogóle nie musiała wyjaśniać.

Znowu wbiła paznokcie w dłonie. Tym razem jednak ból tylko wskrzesił wspomnienie Ginny idącej w deszczu wzdłuż ulicy, na której zginęła Mary Claire. Marglyn zatrzymała się i spytała przemoczoną dziewczynę, czy potrzebuje podwiezienia, mimo że nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nikt o zdrowych zmysłach nie spacerowałby dobrowolnie w takim deszczu. Tak to się zaczęło. A skończyło w noc wypadku.

Nagle ktoś zatrąbił przed domem. Obie się wzdrygnęły i odwróciły. Marglyn była tak zaabsorbowana obecnością Ginny, że nie zauważyła starej wypłowiałej półciężarówki. Skrzyżowała spojrzenia z kierowcą, posępnie wyglądającym młodym człowiekiem o równie

tlustych włosach jak jej. Pojedyncze kosmyki opadały mu na oczy, przez co wyglądał jeszcze bardziej podejrzanie. Zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek przez otwarte okno. Na jego twarzy malował się ten sam wyraz buntu, który właśnie zobaczyła u Ginny. Marglyn patrzyła, jak z leżącego na jej podjeździe niedopałka unosi się dym. *Oj, Ginny, tylko nie ten chłopak.*

Znała go. Poznała wielu takich chłopców przed ukończeniem szkoły średniej. Nie dała sobie jednak założyć kamienia młyńskiego na szyję i trafiła tutaj, do tego domu i tego życia, unikając losu, do jakiego Ginny zmierzała z godnym podziwu zacięciem. Marglyn widziała to wszystko bardzo wyraźnie: Ginny z kilkoma brudnymi dziećmiakami w zbyt dużych lub zbyt małych ubraniach, mieszkająca w przyczepie, borykająca się z problemami finansowymi, realizująca ten sam schemat życia w nieskończonym cyklu zdesperowanego człowieczeństwa. Marglyn chciała to zmienić, przerwać ten zamknięty i nieunikniony ciąg menelskiego życia.

— Tak bardzo chcesz uszczęśliwić ludzi na siłę, mamó — powiedziała jej Mary Claire kilka dni przed śmiercią. Nie miało to zabrzmieć jak komplement. To było po tej koszarnej kolacji. Czy to faktycznie były beznadziejne przypadki i tylko Marglyn tego nie dostrzegała? Nawet Ginny zdawała się to wiedzieć.

— Muszę iść — stwierdziła Ginny, wskazując kciukiem na czekającego za nią chłopaka. Nie przedstawiła go, ale nie było takiej potrzeby. Potrząsnęła nieznacznie torbą. — Proszę.

— Ja... ja nie potrzebuję tych ciuchów — wykrztusiła bezradnie Marglyn. Pomyślała o powrocie do sklepu i odpowiadaniu na nudne pytania kasjerki. *Powód zwrotu? Cóż, moja córka zginęła tego samego wieczoru, gdy je kupowałam, być może nawet zderzyła się dokładnie w tej samej chwili, gdy przeciągała pani moją kartę, a dziewczyna, z którą byłam, z oczywistych powodów uznała, że nie może przyjąć tych ciuchów.* Uprzejmy uśmiech. Czekanie, aż bank zaakceptuje zwrot, żeby można było czym prędzej wyjść. Nie, jeśli Ginny nie chce tych ciuchów, Marglyn odda je do kościoła. Na pewno jest jakaś misja, której się przydadzą.

— Chciałabym, żebyś je zatrzymała — powiedziała. — Naprawdę. To było...

Ginny uniosła dłoń.

— Wiem, pani Miner. To był prezent dla mnie. Bardzo miły prezent. Tyle że... nie mogę ich nosić. Są piękne i w ogóle. Tylko... — Głos jej się załamał. — Obie wiemy, że nie powinna pani być tamtego wieczoru ze mną. Powinna pani być z nią. I może gdyby pani była z nią, wciąż... — Spojrzała na Marglyn z desperacją w oczach i upuściła torbę na ziemię. — Wciąż by żyła — dodała. — Przepraszam.

Obróciła się na pięcie i uciekła po żwirze do półciężarówki, która nie była ani brązowa, ani złota, chociaż kiedyś na pewno musiała mieć jakiś konkretny kolor. Wszystko jest początkowo urocze i warte zachowania, lecz upływ czasu sprawia, że stają się zbyt zużyte, by to podziwiać.

Chłopak zawrócił z piskiem opon, które wyrzuciły spod siebie żwir i zostawiły niewielkie koleiny. Marglyn powie potem Robertowi, żeby wyrównał te ślady i wymazał dowód ich obecności w tym miejscu. Gdyby to tylko było tak proste. Otuliła się mocniej kardiganem, mimo że nie czuła chłodu.

Obserwowała odjeżdżający samochód, który włączył się do ruchu w tym samym miejscu, co dziewczyny tamtej felernej nocy. Tym razem nie rozległ się pisk opon ani odgłos uderzenia. Słyszał tylko ryk silnika, który rozpędzał auto coraz szybciej i szybciej. Marglyn wzięła przyniesioną przez Ginny torbę, zaniósła ją do pokoju córki i położyła ją na jej łóżku jak prezent.

27. Leah

Środa

Na szkolnych korytarzach wszystko wróciło do normalności. Nie żeby ludzie zapomnieli o Brynne, Mary Claire i Keary. (One nigdy nie zostaną zapomniane. Stały się legendami, unieśmiertelnionymi przez własną śmiertelność). Uczniowie po prostu wrócili do normalnego życia i zajęli się ocenami, podaniami do koledżów i miłośkami, zamiast myśleć o śmierci, tragedii i skandalu.

Leah to pasowało. Chciała wrócić do normalności lub znaleźć nową normalność. Tamtej nocy jej życie przewróciło się do góry nogami pod tak wieloma względami i w stopniu tak bardzo dla nikogo niewyobrażalnym, że nagle zorientowała się, iż jest w szkole, ale w niej nie jest, bo czuje się jakaś obca. Po raz pierwszy od długiego czasu zaczęła rozważać powrót do nauczania domowego. W domu przynajmniej nie miała wrażenia, że nie pasuje. Co nie do końca było prawdą. Przypomniała sobie mamę i jej badawcze spojrzenie dziś rano, szukające prawdy o tamtej nocy. Mama wciąż nie potrafiła się zdobyć na pytanie, ale widać było, że się do tego przymierza, i pod tym względem szkoła była dla Leah schronieniem.

W porze lunchu, zamiast podejść ukradkiem do stolika cheerleaderek, czego w sumie od niej oczekiwano, znalazła pusty stolik z tyłu niedaleko kosza i zatopiła się w lekturze wierszy Emily Dickinson. Książka odciągała jej uwagę od zapachu gnijącej żywności i kwaśnego mleka, który do niej dobiegał. Tomik stał się ostatnio jej stałym towarzyszem, talizmanem, który utrzymywał ciekawskie koleżanki i kolegów w ryzach.

Jeśli spotka jeszcze panią Chessman, podziękuje jej i zaoferuje zapłacenie za ten tomik. Nie mogła jej go oddać. Robiła w nim notatki i zaznaczała ulubione wersy i ukryte w zwrotkach prawdy o człowieczeństwie. Tomik stał się dla niej czymś równie osobistym jak pamiętnik.

Sprawdzała w internecie i to samo wydanie kosztowało około trzydziestu dolarów. Miała odłożone pieniądze na tę chwilę. Chociaż czasem się zastanawiała, czy ta chwila w ogóle nadejdzie, czy pani Chessman jeszcze wróci i czy będzie pamiętała o tomiku, który zostawiła w prawdopodobnie najgorszym dniu swojego życia. Leah miała coś do powiedzenia o najgorszych dniach życia. Wiedziała, jak łatwo odrzucić to, co kiedyś było dla nas cenne.

Wyczuła zbliżającego się Webba Harta. Nie musiała go widzieć ani słyszeć. Atmosfera wokół niego się zmieniła. Zawsze się zmieniła, także przed wypadkiem. Lecz teraz wydawała się napięta za każdym razem, gdy znajdował się bliżej niż dziesięć stóp od niej. Leah niemal widziała migoczące w powietrzu fale prawdy i kłamstw, które przeplatały się ze sobą i mieszały, zapierając jej dech w piersi dopóki nie odzyskiwała panowania nad sobą. Pocieszała się myślą, że po jakimś czasie na pewno będzie jej łatwiej. Czyż nie słyszała tego niezliczoną ilość razy od życzliwych ludzi w kontekście utraty przyjaciółek? To musiało obowiązywać także w odniesieniu do innego rodzaju strat.

Poczula zapach jego wody kolońskiej, gdy przechodził obok z tacą, półbóg zdegradowany do ludzkiej codzienności. Nie podniosła wzroku. Nie ośmieliła się zaryzykować kontaktu wzrokowego. Raz, na jednym z pogrzebów, próbował to wymusić, przybierając maskę współczucia, jakby był prawdziwą, czującą osobą z duszą. Czowała, jak jego oczy próbują skłonić ją do spojrzenia w jego stronę, ale odwróciła się i odeszła. Stojący obok niego Ian i Seth szturchnęli go łokciami i wydrwili. — Spławiła cię, stary. — Zalała ją nienawiść do całej trójki, a krew została wyparta przez roztopioną lawę.

Podniosła wzrok, dopiero gdy ją minął i można było bezpiecznie wyściubić nos z książki.

Zerknęła na olbrzymi zegar na przeciwległej ścianie, który odmierzał czas lunchu. Miała jeszcze kilka minut do odniesienia tacy i powrotu na zajęcia modowe, o których jej mama powiedziała, że poza wymyślną nazwą niczym się nie różnią od pobieranych niegdyś przez nią lekcji szycia. Leah nie łudziła się, że zostanie szwaczką — była w tym beznadziejna. Po prostu musiała wybrać jakieś zajęcia opcjonalne, a robienie czegoś, czego da się dotknąć, wydało się jej bardziej interesujące od prowadzenia kroniki szkolnej. To drugie oznaczałoby spędzanie czasu na wychwalaniu cnót szkoły, która coraz mniej i mniej się jej podobała.

Już miała wrócić do lektury, gdy jej spojrzenie przykuła osobliwa scena: Webb Hart przyparty do muru przez dziewczynę, pierwszoklasistkę, którą Leah pamiętała z rekrutacji do juniorskiej grupy cheerleaderek. Leah dostała się do tej grupy, ale Brynne i Mary Claire zabrały ją i Keary do starszej. Leah dowiedziała się później, że awansowanie w drugiej klasie do starszej grupy było czymś równie wyjątkowym jak koronacja Diane Riggle na Miss Georgii. Poczula się wtedy szczęściarą, urodzoną w czepku, wybraną. Wartościową. Ale ta niewidzialna korona, umieszczona na jej głowie przez Brynne i MC, postawiła Leah na celowniku.

Leah patrzyła na rozmowę dziewczyny z Webbem z ciekawością pomieszaną z przerażeniem. Zastanawiała się, czy ktokolwiek dostrzeże to, co ona. Dziewczyna najwyraźniej celowo wybrała miejsce z tyłu sali, z dala od ciekawskich oczu, żeby przyłapać go samego, bez otaczającego go zwykle grona pochlebców i popleczników. Wtedy uderzyła. Leah obserwowała, jak dziewczyna przechodzi od łez do gniewu, w jednej chwili wymachując palcem, a w drugiej ocierając oczy. Webb kurczył się coraz bardziej z każdą minutą i rozpaczliwie wypatrywał kogoś, kto mógłby go uratować. Ale nikogo nie było w pobliżu i właśnie dlatego oglądanie tej sceny sprawiało Leah przyjemność.

Oczywiście w końcu pojawił się Ian Stone, objął dziewczynę i odprowadził ją, a Seth Bishop nachylił się do Webba i zaczął mu szeptać do ucha. Coś takiego, po czym obydwaj wybuchnęli gromkim śmiechem. Ale w trakcie śmiechu Seth odwrócił się i zauważył, że Leah ich obserwuje. Przestał się śmiać i kiwnął na Webba, żeby ten wyszedł z nim z bufetu.

Z odrodzoną pewnością siebie zamknęła książkę i schowała ją do plecaka. Szybko pozbierała śmieci i wyrzuciła je, a potem ruszyła w tę samą stronę, w którą Ian odprowadził dziewczynę. Wyszła na chodnik łączący dwa budynki. Oczywiście zobaczyła ich razem, stojących nieco na uboczu. Ian nachylał się nad nią władczo i wyglądał przy niej jak olbrzym. Leah schowała się w cieniu i zaczęła, aż poklepał dziewczynę po plecach w geście typu „grzeczna dziewczynka” i odszedł. Poszukała w pamięci jej imienia, po czym niepewnie wyszła z cienia. Zawołała, ale jej głos był słaby z powodu czegoś, co uznała za strach. W końcu zamierzała się zaangażować, mimo że nigdy nie planowała tego robić.

Zadzwoił dzwonek. Dziewczyna jej nie usłyszała; zaczęła odchodzić ze spuszczoną głową.

— Sidney — zawołała znowu Leah, tym razem mocniejszym głosem.

Sidney Riggle — na swój sposób równie śliczna jak jej kuzynka Diane Riggle — odwróciła się, żeby sprawdzić, kto ją woła. Leah przyjrzała się jej truskawkowoblond włosom, prostym i grubym, które wisiały jak zasłony po obu stronach jej nieskazitelnej twarzy. Jasnoniebieskie oczy były napuchnięte i zaczerwienione, bo łzy wygrały z gniewem emocjonalny wyścig, który właśnie się zakończył. Mimo to wciąż była oszałamiająca, gdy patrzyła z ciekawością na Leah.

Za kilka lat zdobędzie status Brynne i Mary Claire. Fale uczniów będą się rozstępować na jej widok. Wystarczy, że kiwnie palcem, a ludzie będą gotowi iść na ustępstwa. Ale ona jeszcze tego nie wiedziała. Webb Hart musiał to jednak przeczuwać. Był jak łowca talentów wśród niedocenianych, lecz obiecujących pierwszoklasistek i miał dryg do dobierania się do nich przed

wszystkimi.

Leah pomachała do Sidney, zapraszając ją gestem do siebie, w miejsce, w którym znalazła schronienie, z dala od hord uczniów spieszących się do klas i poza zasięgiem wzroku jakichkolwiek pracowników administracyjnych. Chociaż przypuszczalnie spóźnienie albo nawet absencja na lekcjach uszłaby jej dzisiaj na sucho. Utrata przyjaciółek była jej dziką kartą, której zamierzała używać do końca roku.

Sidney spojrzała w stronę, w którą powinna się wybrać, gdyby chciała zdążyć na lekcje. Westchnęła, odrzuciła pół kurtyny włosów za ramię i ruszyła do Leah. Wyglądała jak skazaniec idący na szubienicę. *Ona myśli, że zamierzam ją wypytać o Webba*, pomyślała Leah. *To w sumie smutne, że w ogóle do mnie podchodzi*. Sidney chciała być popularna, co oznaczało, że opanowała już reguły. Wezwanie przez kogoś ze starszej klasy, cieszącego się nawet szczątkową popularnością, było ważniejsze niż zdążenie na lekcje.

Dzielił je tylko rok, ale Leah należała do grupy starszych cheer-leaderek, a w tym miasteczku miało to określone znaczenie. Chociażby takie, że gdy do kogoś machasz, ten ktoś do ciebie przychodzi. Nawet jeśli poprzednie kilka tygodni unikałaś wszelkich kontaktów społecznych, a w czasie lunchu czytałaś wiersze. Nawet jeśli każdego popołudnia odwiedzasz znieawidzonego przez wszystkich ucznia i z każdą wizytą zostajesz nieco dłużej. Nawet jeśli rok temu nikt w szkole nie miał pojęcia o twoim istnieniu. Brynne i Mary Claire zmieniły jej życie jednym kiwnięciem wymyślnie uczesanych głów.

Pamiętała pierwszy raz, gdy się do niej odezwały. Zeszłego lata, późnym popołudniem na miejskim basenie. Leah wybrała się tam z Keary po treningu cheerleaderek, żeby się ochłodzić, posiedzieć z nową przyjaciółką i porozmawiać o innych dziewczynach, najmodniejszych stylach, najlepszej muzyce i wszystkim, o czym rozmawiają dzieciaki w tym wieku. Uczyla się. Spławiła Talmadge'a, okłamując go, że mama nie pozwoliła jej wyjść po treningu. Ale on przyjechał pod basen i chodził na zewnątrz tak długo, aż zobaczyła, że ją tam widział.

W końcu odjechał i wtedy pojawiły się Mary Claire i Brynne. Zmaterializowały się znikąd, jak matki chrzestne, które są wróżkami. Leah, podobnie jak Keary, nie zauważyła ich wejścia na basen, co było dziwne. Bo ludzie zauważali ich obecność. Mimo to stały przed nimi w najbardziej skąpych bikini, jakie Leah kiedykolwiek widziała. Zamieniły się górami od strojów, przez co wyglądały jak dwie połówki jednej całości. Zresztą Leah zawsze tak o nich myślała.

— Gorąco dzisiaj — powiedziała jedna z nich. Keary twierdziła, że Brynne, a Leah upierała się, że Mary Claire, ale zgadzały się, że nie ma to większego znaczenia.

— No — odparły głupkowato Keary i Leah, kiwając głowami jak nakręcane lalki. Leah czuła, że słońce siada na jej ramionach i zaczyna przypalać skórę, ale nie chciała się smarować. Pomyślała, że zrobi to, gdy Brynne i Mary Claire już sobie pójda. Ale one sobie nie poszły.

Stały i rozmawiały z nimi, jakby Leah i Keary były dla nich interesujące, jakby były zabawne, jakby się liczyły. Leah bała się, że czar pryśnie, gdy się poruszy, więc się nie poruszała. W końcu przeniosły się do stolika, a Keary przyniosła dla wszystkich gazowane napoje z automatu. Piły i rozmawiały, aż zawiązało się coś na kształt przyjaźni, o jakiej Leah tylko marzyła, gdy myślała o chodzeniu do szkoły średniej. Brynne i Mary Claire nosiły lustrzane okulary i Leah przyglądała się swojemu odbiciu w szklach. Nie dostrzegała w sobie niczego wyjątkowego i zastanawiała się, co one w niej widzą. Nim się zorientowały, przyjechała po nie mama Keary.

Gdy się zbierały, Brynne wyciągnęła dłoń w stronę Leah, czym ją przestraszyła. Ale Brynne chciała tylko dotknąć jej ramienia. Przypieczona skóra zbieleła pod wpływem nacisku palca, lecz natychmiast przybrała z powrotem okropnie różowy kolor. — Ałć — powiedziała

Brynne i pomachała palcami na pożegnanie. Leah zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze się do niej odezwą.

Potem dostała wykład na temat nieodpowiedzialności. Drżała z bólu spalonej skóry, krzywiła się pod prysznicem i łykała ibuprofen, żeby wytrzymać na treningu. Mama trwała jej o zagrożeniu rakiem skóry, ale Leah to nie interesowało. Rak skóry był jedną z tych rzeczy z odległej przyszłości. Przyszłości, w której przecież nic nie było pewne.

Może dorośnie, zestarzeje się i będzie musiała walczyć z czerniakiem na plecach, który zaczął się tego dnia na basenie, gdy miała piętnaście lat i spaliła się na słońcu, żeby nie zaprzepaścić swojej szansy na bycie popularną. A może zabije ją coś innego, tak jak zabiło trzy dziewczyny, które siedziały wtedy z nią przy stoliku i piły dra peppera, nie przejmując się światem, w przekonaniu, że mają jeszcze przed sobą całe życie.

Teraz, wiele miesięcy po tym znaczącym letnim dniu, przesunęła się głębiej pod osłonę drzew. Był tam stół piknikowy, przy którym nieszkodliwi lamerzy czasem jedli lunch, gdy zdarzało im się wytrwać do tej pory.

— Tak? — spytała Sidney, gdy zbliżyła się do Leah. Głos jej lekko drżał. Chrząknęła. Leah nie potrafiła określić, czy dziewczyna jeszcze się nie pozbierała po konfrontacji z Webbem i Ianem, czy też Leah tak ją onieśmiela. — Potrzebujesz czegoś?

Sidney kopnęła kępę trawy czubkiem czerwonych kowbojek, które podobno zostały kupione w Teksasie. Gdyby życie potoczyło się inaczej i Leah nie trafiłaby do grupy starszych cheerleaderek, być może zaprzyjaźniłaby się z Sidney. Być może umówiłyby się dzisiaj po szkole, żeby poplotkować o tym, w kim się kochają, i powymieniać ciuchami. Być może Leah poznałaby prawdę o pochodzeniu tych butów. Może nawet pożyczylaby je od niej od czasu do czasu.

Miała ochotę wymyślić coś innego do powiedzenia Sidney, coś mniej konfrontacyjnego. Nie musiała tego robić. Mogła dopytać ją, skąd ma te buty, zaproponować jej pomoc w projekcie lub spytać, czy miałyby ochotę czasem razem gdzieś wyjść. Przypomniała sobie jednak wers Emili Dickinson, który przeczytała w trakcie lunchu. *Jeśli uchronię jedno serce przed złamaniem, Nie żyłam na próżno.* Jej przyjaciółki zniknęły, zdmuchnięte z powierzchni ziemi jednym krótkim wybuchem. Ona została wśród żywych, mimo że mogła być z nimi. To musiało coś znaczyć. Mimo że planowała własny pogrzeb, była w każdym calu żywa.

— Widziałam cię przed chwilą z Webbem Hartem — powiedziała.

Sidney odstąpiła o krok, a na jej twarzy pojawił się wyraz szoku.

— Przepraszam — wykrztusiła odruchowo. Najpierw przeproś, a potem zastanów się, co zrobić później. — Czy on jest twoim... chłopakiem? — Widać było po niej, że próbuje rozgryźć nastawienie Leah. Jest przyjacielem czy wrogiem? Czy uważa, że Sidney przekroczyła jakieś granice, o których istnieniu nie miała pojęcia? W tej szkole było tyle granic, co linii na papierze milimetrowym. Cały teren powinien mieć naniesioną siatkę.

— Nie — zaprzeczyła Leah. Zaśmiała się ironicznie. — Nawet w najmniejszym stopniu.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu, a Leah zastanawiała się nad porzuceniem sprawy. Mogła powiedzieć coś lekkiego, lecz znaczącego. Na przykład: *Uważaj na niego.* A potem by odeszła, żeby Sidney mogła to sobie przetrwać i wyciągnąć z tego to, co będzie w stanie.

— Odnoszę wrażenie, że wiem, o czym z nim rozmawiałas. — Wyprostowała kręgosłup, wmawiając sobie, że jest ze stali, mimo że bardziej przypominał jej teraz spaghetti. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Po tej rozmowie zadzwoni do mamy i powie, że chce wrócić wcześniej. Przypomniała sobie jednak o Grahamie, czekającym na nią na swojej kanapie. Grahamie, który zawsze obdarzał ją uśmiechem, mimo że wiedziała, że uśmiechanie się wciąż

jest dla niego bolesne. Graham był jej przyjacielem, co było bez sensu, zważywszy na to, co się stało. Ale był. Poza Talmadge'em był najlepszym przyjacielem, jakiego miała.

— Niczego nie wiesz — odparła Sidney, zmuszając się do wykrzesania z siebie tego samego nastawienia, co w konfrontacji z Webbem. Wydobyła je na powierzchnię jak zmęczony sportowiec, który liczył na chwilę oddechu na ławce.

— Chyba jednak wiem — upierała się Leah. Starła się wyglądać miło. Brynne powiedziała jej kiedyś, że ma syndrom wrogiej twarzy i że powinna się częściej uśmiechać. Ale uśmiech w tej sytuacji wydawał się niestosowny. Przychodziło jej do głowy jedno słowo, gdy patrzyła na Sidney, na biedną małą Sidney, która marzyła o poczuciu przynależności.

Próbowała wymyślić coś, czego Sidney najbardziej potrzebowała. Coś, czego sama Leah potrzebowała. Myślała o tym słowie, gdy patrzyła na Sidney, starała się nim emanować i poczuć, jak z niej promieniuje. Liczyła na to, że Sidney też to poczuje. Miała nadzieję, że otacza ją miłość i że Sidney odczuje ją tak wyraźnie, jak chłodny listopadowy wiatr, który właśnie przybrał na sile i zaczął mierzwić urocze włosy dziewczyny.

— Znam plany Webba i mam wrażenie, że byłaś ich częścią. — Wyciągnęła dłoń, żeby położyć ją na ramieniu Sidney w geście pocieszenia, ale ta zrobiła unik, jakby Leah próbowała pchnąć ją nożem.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — stwierdziła Sidney. Rozejrzała się, jakby bała się, czy ktoś ich nie obserwuje. — Byłam rozeźlona czymś, co Webb powiedział o jednej z moich przyjaciółek, więc skonfrontowałam się z nim w jej imieniu. — Zmusiła się do parsknięcia. — Sama wiesz, jacy potrafią być nieprzyjemni wobec innych.

Leah przyjrzała się jej badawczo, jakby potrafiła stwierdzić na podstawie samego wyglądu, czy dziewczyna mówi prawdę. Uznała, że nie potrafi. Być może Sidney mówi prawdę o Webbie, a Leah przeinterpretowuje to, co zobaczyła. I widzi to, co chce widzieć.

— Przepraszam — powiedziała w końcu. — W takim razie chyba byłam w błędzie. — Schyliła się po leżący na stoliku plecak. Liczyła na to, że Sidney po prostu odwróci się i odejdzie.

— Tak czy owak, nie twój interes — dodała Sidney, stojąc bez ruchu, mimo że mogła już pójść.

Leah kiwnęła głową. Głupio jej było, że się zaangażowała. Nie należało wtykać nosa w tę sprawę. Mogła wyciągnąć wnioski. Cóż ją obchodziło złamane serce Sidney Riggle, skoro sama ma z tym problem? Co w ogóle Emily Dickinson wie o życiu?

— Przepraszam — powtórzyła.

Ale Sidney to nie wystarczyło. Splotła ręce na klatce piersiowej.

— Wiesz, wszyscy o tobie mówią. Że trochę ześwirowałaś po wypadku. Uważałam, że przesadzają, ale teraz już sama nie wiem. — Im silniejsza czuła się Sidney, tym bardziej Leah słabła. Pochyliła się z powrotem nad stolikiem, tuż nad napisem wydrapanym przez jakiegoś inteligentnego idiotę: *DZIEWCZYNY Z WORTHY = NIE WARTHÓ*.

— Może ześwirowałam — wymamrotała. Wpatrywała się w oszpecający blat wydrapany napis, jakby miała mieć z niego sprawdzian. Pomyślała, że być może przegapia właśnie jakiś sprawdzian. Nie umiała sobie przypomnieć, na kiedy był zapowiedziany. Miała w głowie zbyt wiele myśli.

— To lepiej nie rozpowszechniaj tych swoich szalonych teorii na mój temat, okej? Moja sprawa, co mam z Webbem. Moja. — Uderzyła się mocno w pierś. Uniosła podbródek, a mięśnie szyi napięły się, jakby chciały oderwać się od gardła. Jej nieskazitelna kremowa skóra upstrzyła się czerwonymi plamkami. Leah wyobraziła sobie, że to właśnie miał przed oczami Webb, gdy Sidney się z nim konfrontowała. — Lepiej, żebym nie usłyszała, że wplatasz moją osobę do tych szalonych pomysłów, które rodzą się w twojej głowie. — Mrugnęła kilka razy i przełknęła ślinę.

Leah postanowiła, że pójdzie do Grahama, gdy to się skończy. Albo zadzwoni do Talmadge'a, żeby ją odebrał. Nie zostanie na terenie szkoły ani sekundy dłużej.

Kiwnęła głową, pragnąc jak najszybciej pozbyć się Sidney.

— Dobrze, Sidney — powiedziała. — Byłam w błędzie.

Sidney szarpnęła za ramiączka plecaka, napinając je bardziej niż trzeba.

— No pewnie, że byłaś w błędzie. — Jej głos załamał się na *błędzie*. Odwróciła głowę, ale Leah widziała, jak ociera łzę. — Byłaś w błędzie we wszystkim — dodała. Spojrzała z powrotem na Leah. W jej twarzy było coś... coś znajomego. Patrzyły tak na siebie krócej niż sekundę, po czym Sidney zerwała kontakt wzrokowy i odeszła. Leah stała tam jeszcze długo, zastanawiając się nad tym, kogo przypominała jej Sidney. Dopiero po kilku minutach doznała olśnienia. Chodziło o tę dziewczynę, którą dziś rano widziała w lustrze. Tę o przerażonym spojrzeniu, próbującą za wszelką cenę ukryć prawdę.

28. Darcy

Wtorek

Usłyszała odgłosy rodem z horroru: trzask gałązki, a potem ciężkie kroki zbliżające się w stronę jej okna. Usiadła na łóżku i zaczęła na ślepo szukać telefonu na nocnym stoliku. Czuła się samotna i bezbronna bez mężczyzny w łóżku. Po odejściu Tommy'ego nie bała się być sama w domu, doskwierała jej tylko samotność. Worthy to w końcu bezpieczna miejscina — a przynajmniej taką do niedawna była. Noc wypadku doprowadziła do pewnej zmiany. Nieokreślonej, lecz trwałej, jakby ktoś otworzył drzwi miasta i wpuścił przez nie diabła.

Wzdrygnęła się i zadzwoniła pod ostatnio wybierany numer. Mężczyzna odpowiedział po pierwszym sygnale, mimo że było grubo po północy, dawno po porze ich zwyczajowych późnowieczornych pogawędek.

— Darcy? — spytał. — Co się stało?

Wbrew sobie ucieszyła się z jego troski. Ale gdy chciała wyrazić swój strach słowami, poczuła się głupio. Nasłuchiwała przez chwilę dalszych odgłosów za oknem.

— Darcy — powtórzył pytanie. — Jesteś tam?

— Tak, przepraszam. Chyba miałam jakiś dziwny sen, który mnie przestraszył, obudziłam się, wydawało mi się, że słyszę hałasy i... po tych groźbach futbolistów i tym wszystkim, co dzieje się z Grahamem, spanikowałam. Przepraszam. — Zaśmiała się, żeby nieco rozluźnić atmosferę. Ale ciemność na zewnątrz była inwazyjna; wdzierła się przez szczeliny i wypełniała dom.

— Chcesz, żebym przyjechał? — zaproponował. Usłyszała jego przemieszczanie, jakby wstał, zakładał spodnie lub przeczesywał włosy. Podobało jej się, że ma nieco dłuższą czuprynę niż pozostali mężczyźni w mieście, którzy uwielbiali strzyc się maszynką. Te włosy były symbolem, trwałym przypomnieniem, że stąd wyjechał i został ukształtowany nie tylko przez Worthy. Czasem musiała się hamować przed chęcią przeczesania ich dłonią.

— Nie — odparła. Jednocześnie jednak wydało jej się, że znowu usłyszała hałas, nie do końca zagłuszony przez jej głos. — Chwileczkę — dodała i zaczęła nasłuchiwać.

— Zaraz będę — powiedział i rozłączył się. Wygramoliła się z pościeli i postawiła stopy na zimnej podłodze. Spała tylko w T-shircie, więc po cichu wyciągnęła z szuflady sportowy biustonosz i spodnie dresowe. Chodziła po pokoju na palcach, nie zaświecając żadnego światła. Liczyła na to, że ten ktoś na zewnątrz — jeśli w ogóle ktoś tam był — nie zorientuje się, że obudziła się i wstała. Gdy się ubrała, umyła zęby i przeczesła włosy w skąnym świetle lampki nocnej, którą zostawiała zapaloną w łazience. Dopiero potem poszła sprawdzić, co u Grahama.

Znalazła go na kanapie, pochylonego nad telefonem. Przesuwał palce po niewielkiej klawiaturze, esemesując Bóg wie z kim o tej porze. Spojrzał na nią, gdy weszła.

— Słyszałem hałasy, mam — stwierdził i wskazał duże przesuwne szklane drzwi w głębi domu. — Ktoś był na tarasie z tyłu domu. — Miał głębszy głos i starał się z całych sił opanować strach, ale Darcy wyraźnie usłyszała ukrytego pod powierzchnią małego, przerażonego chłopca. Podeszła i usiadła obok niego. Poklepała go po nodze. Już miała mu powiedzieć, że zadzwoniła po pomoc, gdy dodał: — Napisałem do taty i jeszcze nie spał. Powiedział, że zaraz przyjedzie.

Oniemiała spojrzała na syna, który miał takie same oczy jak ona. Ludzie zawsze powtarzali, że jest ślicznym dzieckiem. Tommy'ego niemiłosiernie to irytowało. — Mój syn nie jest śliczny — zaprzeczał, wzbudzając w Darcy niewytłumaczalne poczucie zranienia, jakby

rozumiał przez to, że ona także nie jest śliczna.

— Dzwoniłeś do taty? — spytała, gdy w końcu dotarło do niej, co powiedział. — I on... przyjedzie? Teraz?

Graham przytaknął. — Bał się, mamó. Powiedział, że ci goście nie żartują. Że nie jesteśmy bezpieczni. Właśnie miałem po ciebie iść, ale ty już wstałaś... — Wzruszył ramionami. — W takim razie możemy poczekać na niego razem. — Nie odpowiedziała. Przytaknęła tylko, poklepała go po nodze i odchyliła się na kanapie, czekając, aż Tommy i Clay przybędą jej na ratunek w środku nocy, prawdopodobnie w tym samym czasie.

* * *

Clay przyjechał pierwszy. Darcy starała się nie nadawać temu symbolicznego znaczenia. Zaparkował samochód, obszedł cały ogródek, po czym zbliżył się do domu. Darcy zobaczyła poruszającą się w ciemnościach jego białą koszulkę i wstrzymała oddech.

— Czy to... tata? — spytał Graham zza niej.

— Nie — odparła. — To Clay.

— Ten koleś, który zaproponował, że mogę pracować w Chessmanie, gdy mi się polepszy?

Jak typowy nastolatek przefiltrował informacje pod kątem ich przydatności w swoim świecie, ignorując to, że ludzie mają w życiu różne zajęcia i są w różny sposób ważni dla innych.

— Tak, ten koleś — odparła, a przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. — Zadzwońłam do niego, gdy usłyszałam hałasy.

Graham spojrzał na nią, jakby go zdradziła.

— Ty też je słyszałaś? — dopytał. — Nic nie mówiłaś. — Zaczął nerwowo poruszać nogą. Darcy położyła na niej dłoń, żeby ją uspokoić.

— Nie chciałam cię jeszcze bardziej niepokoić.

— Wiesz, co to oznacza, prawda? — Darcy czuła pod dłonią bezwiedne wierzganie nogi, której mięśnie wciąż drgały, mimo że starał się je rozluźnić i opanować swój strach.

— Nic się nie stanie — wyjaśniła. — Jesteśmy tu bezpieczni. Clay jest tu z nami, a tata zaraz przyjedzie. Ktokolwiek to był, jeśli w ogóle ktokolwiek tu był — poprawiła się szybko — z pewnością już uciekł.

Wymamrotał coś, czego nie zrozumiała.

— Co, kochanie? — spytała.

Potrząsnął głową.

— Nic.

Wstała i podeszła do szklanych przesuwanych drzwi, żeby je otworzyć i zawołać Claya.

— Nie, kotku, powtórz, co powiedziałeś.

Graham przez chwilę milczał, lecz w końcu odparł:

— Powiedziałem: „Ale oni wrócą”.

Darcy nie otworzyła drzwi. Puściła klamkę i instynktownie wróciła do syna. Chciała go wesprzeć, dodać mu otuchy, zapewnić, że jest bezpieczny, ale w tej samej chwili usłyszała za sobą męski krzyk, odpowiedź innego mężczyzny i charakterystyczny odgłos wystrzału z broni palnej.

Odwróciła się i rzuciła się w stronę wyjścia, zapominając o tym, że nie otworzyła drzwi. Uderzyła w szybę całym ciałem i odbiła się od niej do tyłu. Graham poderwał się z kanapy, jakby wcale nie był uziemiony przez kontuzję. Widok syna ruszającego jej na pomoc przyniósł jej dziwne ukojenie. Jej oszołomiony umysł zaciął się na myśli: *Tylko spójrzcie, jak on się rusza.* Złapał ją i spytał:

— Mamo? Mamo? Nic ci nie jest?

Ale ona nie miała teraz na to czasu. Wyrwała mu się i ruszyła z powrotem w stronę drzwi. Tym razem je otworzyła. Poczowała strużkę krwi z boku twarzy, więc starła ją dłonią. Głowa pulsowała jej od uderzenia w szybę. Wyszła na zewnątrz i zawołała:

— Clay! Tommy! Clay! Tommy!

Krew dudniła jej w uszach, gdy schodziła po schodach na podwórko. Żałowała, że oczy tak powoli dostosowują się do ciemności.

— Tutaj — odparł jeden z nich.

Zauważyła ruch dwóch postaci na obrzeżach podwórka, niedaleko zadrzewionej części ich posiadłości. Jeden chyba klęczał, a drugi stał. Ruszyła w ich stronę i wyteęzała wzrok, żeby dostrzec czerwoną plamę krwi na którymś z białych podkoszulków, nic takiego jednak nie zobaczyła.

Graham zawołał z tarasu:

— Mamo? Tato? Nic wam nie jest?

Tommy nie odpowiedział, więc ona to zrobiła. Otarła kolejną strużkę krwi, a potem wytarła dłoń w spodnie dresowe. W ciemnościach na szarym materiale krew wyglądała na czarną. Darcy miała nadzieję, że to się spierze. To był jej najwygodniejszy dres, który nosiła od lat i chciała, żeby nigdy się nie zużył. Kiedyś należał do Tommy'ego, więc był dla niej luźny i swobodny, otulając ją swym materiałem.

— Wracaj do środka, Graham — odrzyknęła. — Wszystko jest w porządku — dodała, chociaż wcale nie była tego pewna.

Podeszła do sapiących i dyszących mężczyzn. Nadal się prężyli, trzymając się wizerunku twardzieli, którzy przybyli na ratunek. Obaj tu biegli. Ale czy obaj biegli dla niej? Clay tak. Ale Tommy? On prawdopodobnie zjawił się tu dla Grahama.

— Wszystko jest w porządku — powtórzył za nią Clay. To on stał.

— Łatwo ci powiedzieć — stwierdził Tommy. To on klęczał, ale gdy Darcy się zbliżała, spróbował wstać. Nie był to dla niego łatwy manewr, bo oba kolana miał poważnie uszkodzone przez lata futbolu. Usłyszała odgłos przeskakujących kości, gdy się podniósł i stanął na nogi. Spojrzał na nią i wskazał Claya. — On do mnie strzelił. — Wyglądał zupełnie jak skrzywdzony chłopiec na placu zabaw, który donosi na kolegę, i Darcy z trudem stłumiła śmiech.

Clay uniósł dłoń, w której wciąż trzymał broń.

— Wpadłeś na mnie, nie mówiąc, kim jesteś, gdy szukałem intruzów.

Tommy cały się napompował. Wyglądał jak jedna z tych jaszczurek, które kiedyś fascynowały Grahama. Stanął szerzej i spojrzał na Claya z góry.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego szukasz czegokolwiek w *moim* domu. — Spojrzał na Darcy, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku. Ale jakim uczynku? Wyprowadził się ponad rok temu. Żył na kocią łapę z Angie Woodall. Jego dom? Co za tupet.

— Poprosiłam go o to — odparła, ciesząc się tym w duchu. Niech Tommy myśli, że coś między nimi było, i niech myśli, że Clay był w jej łóżku, gdy usłyszała hałasy. Niech się męczy, jeśli to w ogóle jest dla niego udawką.

— Zadzwoń do mnie — wyjaśnił nieco zbyt szybko Clay. Planowała nieco bardziej rozjuszyć Tommy'ego. — Gdy usłyszała hałasy.

— Cóż, *nasz syn* zadzwonił do mnie — odparował Tommy.

— Miło, że obaj przyjechaliście — odpowiedziała. Znowu poczuła krew, więc starła ją dłonią. Widząc to Clay wyciągnął do niej rękę, zapominając o tym, że wciąż trzyma broń.

Tommy podszedł do niego.

— Ostrożnie, stary — rzucił, odpychając jego rękę. Skarcony Clay odsunął się i podniósł

dłonie w geście poddania się. Wtedy Tommy przejął inicjatywę.

— Co się stało, kochanie? — spytał. Znała to jego oblicze i potrafiła ocenić jego szczerłość po uniesionych brwiach i wdechu. Do tego to słowo. *Kochanie*. Mówił tak do niej na początku ich związku, gdy trzymał jej życie w swoich dłoniach, a ona jeszcze nie wiedziała, że może je zdmuchnąć i schować dłonie. To słowo cofnęło ją do czasów miłości, pożądania, zaufania i niewinności, do wszystkich pozytywnych aspektów ich niegdysiejszej relacji.

— Ja... uderzyłam się w głowę — wyjaśniła. Machnęła dłonią lekceważąco. — To tylko otarcie. — Ale wiedziała, że otarcia tak nie krwawią. Czowała zimne powietrze w miejscu tuż nad okiem, gdzie musiała rozciąć sobie skórę przy uderzeniu. Miała w domu specjalne opatrunki. Wychowując chłopca, opanowała do perfekcji opatrywanie ran. Ta przypuszczalnie pozostawi po sobie bliznę. I dobrze.

Z tyłu dobiegł ją głos Claya.

— Powinniśmy wejść do środka i sprawdzić tę ranę.

Przytaknęła i ruszyła w stronę domu. Mężczyźni podążyli za nią. Darcy zwróciła uwagę na dziwność tej sytuacji.

— Dobrze, że nikt nie został postrzelony — stwierdziła w ramach uprzejmej konwersacji. — Byłam pewna, że znajdę kogoś leżącego w kałuży krwi.

Obaj zaśmiali się słabo w odpowiedzi. Był to nerwowy śmiech ludzi, którzy znaleźli się w niezręcznej sytuacji i chcieliby jak najszybciej się ewakuować. Gdy po całym zdarzeniu Darcy przykładała do rany wacik z wodą utlenioną i otwierała zębami opatrunek, zastanowiło ją to, że ze wszystkich osób tylko ona krwawiła.

29. Marglyn

Czwartek

Rozłączyła się i wyjrzała przez okno. Pogoda idealnie pasowała do jej nastroju. Było zimno i deszczowo, a to w nieunikniony sposób przypominało jej o Ginny. O tym, jak zobaczyła ją po raz pierwszy. Ginny szła główną ulicą — tą samą, na której kilka miesięcy później zginęła córka Marglyn — w workowatych spodniach, podkoszulce na ramiączkach i bez butów, mimo że było zimno i padał rześisty deszcz. Przyklepione do czaszki włosy zasłaniały jej twarz. Powłóczyła nogami blisko krawężnika w taki sposób, jakby balansowała na niewidzialnej linii, żeby nie spaść. Dlaczego dziewczyna nie miała na sobie butów, tego Marglyn nigdy się nie dowiedziała.

Wracała wtedy skądś do domu i szukała czegoś w radio. W ostatnim momencie zauważyła, że ktoś idzie poboczem. Niemal potrafiła wtedy tę osobę. Ciekawe, czy to, że wtedy uniknęła zabicia nastolatki, w jakiś sposób doprowadziło później do śmierci jej córki? To był efekt motyla, myślenie o czymś na okrągło tak długo, że zaczyna się od tego wariować. Mimo to Marglyn nie potrafiła powstrzymać się przed wnioskiem, że to wszystko było jakoś powiązane z osobą Ginny. Że ich życia zostały nieodwracalnie zmienione tego dnia, gdy zatrzymała się przy poboczu, otworzyła okno w rześistym deszczu i zadała jedno proste pytanie: podwieźć cię gdzieś?

Ginny zajrzała podejrzliwie do środka, jakby mógł się tam ukrywać ktoś niebezpieczny i jakby to była jakaś pułapka. Miała przestraszone spojrzenie kogoś, kto w najlepszym wypadku jest zapomniany przez świat, a w najgorszym — jest ofiarą. Marglyn dobrze знаła to spojrzenie i wiedziała, że ona z przeszłości i Ginny z teraźniejszości są pod tym względem bliźniaczo podobne. Z tego powodu była pewna, że jest w stanie pomóc tej dziewczynie. Nie wiedziała tylko jeszcze wtedy, jak to zrobić.

Gdy Ginny zorientowała się, że ma do czynienia z mamą w średnim wieku w pustym samochodzie, wyraźnie się rozluźniła, a na jej twarzy pojawiła się ulga. Przytaknęła, że owszem, potrzebuje podwiezienia. Wsiadła do auta, przemaczając cały fotel. Ze wzrokiem wbitym w stopy wymamrotała przeprosiny, ledwie otwierając usta. Otoczyła się ramionami, co także wydało się Marglyn znajome: obejmowanie się, gdy nie miało się nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Żałowała, że nie ma ręcznika, koca czy czegokolwiek, co mogłaby dać tej przemarzniętej i przemoczonej dziewczynie na siedzeniu pasażera.

— Gdzie mogę cię podwieźć? — zapytała zamiast tego. Podkręciła ogrzewanie, mimo że w środku było wystarczająco ciepło. Samochód wypełnił się gorącym powietrzem i Marglyn poczuła mdłości, lecz dziewczyna nachyliła się do przodu, chłepcąc ciepło niczym spragniony pies wodę. Wzdrygnęła się i nie spozjrzała Marglyn w oczy.

— Zatrzasnęłam drzwi do swojego domu — powiedziała. Marglyn musiała wyęźać słuch, żeby ją usłyszeć. Minął ich kolejny samochód i zatrąbił na nią, że stoi na poboczu, mimo że zjechała z drogi tak bardzo, że praktycznie w ogóle nie tamowała ruchu. Niektórzy ludzie byli strasznie niecierpliwi i przez cały czas wściekli bez żadnego wyraźnego powodu. Marglyn pomyślała o swoim ojcu, jego wybuchach, tyradach i tej czerwonej jak burak twarzy. W tamtym czasie też nieraz zdarzało jej się nie mieć dokąd pójść i przebywać na zimnie. Dopóki nie poznała Hale'a, nie miała żadnego miejsca, które uważałyby za swój dom.

— To może zabiorę cię do domu? — spytała pod wpływem impulsu, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy. — Do mojego domu — dodała. Dziewczyna nie miała butów i była przemoczona do suchej nitki. Marglyn nie wyobrażała sobie podrzucenia jej do niewielkiej

biblioteki miejskiej, zabrania do restauracji na posiłek lub zostawienia przy sklepie spożywcym. Bo co jeśli porwaliby ją handlarze kobietami? Marglyn tamtego ranka oglądała o tym program w telewizji. Reporter twierdził, że to ogólnokrajowa epidemia.

Nie, najlepszym rozwiązaniem było zabrać tę dziewczynę do siebie, znaleźć dla niej jakieś suche i ciepłe ubrania, pozwolić jej wziąć prysznic, nakarmić i zaoferować telefon, żeby mogła zadzwonić do kogoś, kto zabierze ją do domu. Marglyn postanowiła postąpić tak, jak należy, bo potem poczuje się z tym dobrze, jak zawsze, gdy spełniała jakiś dobry uczynek. Może nawet wciągnie w to swoje dzieci, gdy wrócą ze szkoły, co wkrótce miało nastąpić. Może Mary Claire będzie w dobrym nastroju i zaoferuje dziewczynie zrobienie warkocza i zaprosi ją do swojego pokoju. Może dziewczyna zostanie na kolację, pogadają w piątkę przy stole i pokażą jej inne życie niż to, które miała na co dzień.

Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Robert od razu spytał: — Kim *ona* jest? — Zrobił to tak nieuprzejmie, że Marglyn zabrała mu telefon na tydzień (w tym wieku w ogóle nie powinien mieć telefonu, ale Hale się upierał). Mary Claire wróciła wściekła po kłótni ze swoim chłopakiem, Ianem. Zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała się nawet przywitać z biedną Ginny, która siedziała zakłopotana na krawędzi kanapy w dresie i bluzie Marglyn oraz w jej skarpetkach antypoślizgowych, które dostała w prezencie od dzieci. Marglyn nigdy więcej nie zobaczyła już tych ciuchów i czasem zastanawiała się nad tym, co się z nimi stało — czy Ginny je zatrzymała, czy wyrzuciła.

W końcu, gdy się ściemniło, odwiozła Ginny do domu, czyli do zaniedbanej przyczepy. Spóźniła się przez to z kolacją i jej rodzina stała się jeszcze bardziej zrzędliva. Nie do końca był to więc wymarzony scenariusz, który wyobrażała sobie, gdy ratowała Ginny przed deszczem, zimnem i czającymi się handlarzami kobietami. Marglyn była marzycielką, romantyczną idealistką, która miała nieskończone pokłady nadziei. Nawet teraz, po śmierci córki, z rodziną w rozsypce i w pogrążonym w chaosie miasteczku, czuła to — tę małą iskierkę nadziei. Był to raczej przygasający żar, ale był. Po tym, jak Ginny przyszła oddać jej ciuchy, rozważała wszystko dogłębnie, próbując zrozumieć to, co się stało, ale zastanawiała się nie nad tym, co można było zrobić inaczej, lecz co powinna zrobić teraz.

* * *

Przez chwilę po przebudzeniu zdawało się jej, że naprawdę rozmawiała z Mary Claire. Rozejrzała się. Była we własnej sypialni z weselną kołdrą zrobioną przez jej babcię, fotelem bujanym w kącie, w którym kołysała dzieci, i mężem śpiącym obok niej. Wiedziała jednak, że na końcu korytarza nie ma jej córki. To był tylko sen.

Taki sen zdarzał się jej co kilka dni. Nie mogła się powstrzymać przed myślą, że Mary Claire naprawdę odwiedzała ją w jedyny sposób, jaki jej pozostał — poprzez ostatni dostępny portal, czyli podświadomość Marglyn.

Było to wbrew wszystkiemu, czego nauczyła się w kościele o życiu pozagrobowym, ale i tak wierzyła, że to prawda. Cieszyła się z możliwości zobaczenia córki niezależnie od sposobu, w jaki się to odbywało. W końcu miała jej jeszcze tyle do powiedzenia. Za każdym razem, gdy miała ten sen, liczyła na to, że w końcu to powie. Ale Mary Claire po śmierci była bardzo podobna do Mary Claire za życia — zawsze w biegu, nigdzie nie zagrzewała miejsca.

Marglyn zerknęła na Hale'a, żeby sprawdzić, czy śpi. Jakby w odpowiedzi westchnął i przewrócił się na drugi bok, wchodząc w zupełnie inną fazę snu, co przypominało jej o tym, jak bardzo się od siebie różnili. On spał jak kamień, a ona nie spała, targana niepokojami. Wstała z łóżka i ruszyła korytarzem, opuszczając ciepło owej kołdry, która zgodnie z obietnicami babci miała jej zapewnić szczęście do końca życia.

W pokoju Mary Claire paliło się światło. Ale to nie Marglyn je zostawiła. To także zdarzało się dość regularnie. Jutro spyta Hale'a i Roberta, czy byli w pokoju MC, a oni spojrzą na nią dziwnie, jakby uważali, że to ostatnie miejsce, w które chcieliby pójść. Zadrzała i pomyślała, że mogła wziąć szlafrok. Zbliżająca się zima coraz odważniej wypierała jesień. Marglyn pchnęła drzwi i jej wzrok spoczął na niewielkiej tabliczce, która była przywiązana na ich podwórku przed domem po narodzinach Mary Claire do wielkiego, absurdalnie wyglądającego bociana.

TO DZIEWCZYNIKA!

MARY CLAIRE MINER

18-05-99

8 funtów 3 uncje

19,5''

Zawsze dziwiło ją, że Mary Claire zostawiła sobie tę tabliczkę, obwieszczającą po wsze czasy jej przybycie na świat. A teraz nad jeziorem stał nagrobek, który po wsze czasy obwieszczał zejście Mary Claire z tego świata i zakończenie zbyt krótkiego życia. Pomyślała o tym nagrobku i wczorajszym telefonie. Pozostałe matki, jak zaczęła nazywać je w myślach, żądały, by spotkała się z nimi za dwa dni.

Nie widziała się z nimi od pogrzebów, ale one najwyraźniej utrzymywały ze sobą kontakt i zagroziły wytoczeniem procesu rodzinie Grahama LaRue. — Skoro wymiar sprawiedliwości nie ma zamiaru wymierzyć sprawiedliwości, poszukamy jej na własną rękę — stwierdziła Cynthia Ellison.

Marglyn słyszała, jak Cynthia pociąga spory łyk swojego napoju, czekając, aż rozmówczyni wskoczy na pokład ich pociągu zemsty. Ale Marglyn potrafiła powiedzieć tylko, że to był wypadek, słabym i niepewnym głosem, jak dziecko w szkole, które nie jest pewne odpowiedzi.

Nie powiedziała nikomu o puszkach z piwem i o smutnym wyznaniu Hale'a, że widział, jak dziewczyny piją, ale dał im spokój, gdy stwierdziły, że Keary prowadzi i że wszystko będzie w porządku. Uznali z Hale'em, że nie będą brukać pamięci dziewcząt tym szczegółem, ale Marglyn nie mogła się pohamować przed refleksją, że być może dziewczyny w jakiś sposób przyczyniły się do wypadku. Męczyło ją to jak skórka przy paznokciu, która wręcz prosi się o oderwanie, chociaż wiadomo, że nie obędzie się bez bólu.

Odmówiła przyjscia na spotkanie i poczuła, że Cynthia zagotowała się z wściekłości.

— Nie sądzę, żeby proces dał nam cokolwiek poza pogorszeniem złej sytuacji — próbowała grzecznie wyjaśnić. — Wiesz, znamy Darcy i Tommy'ego. Byli naszymi... — Przerwała, bo zorientowała się, że nikt jej nie słucha. Cynthia się rozłączyła.

A teraz stała w pustym pokoju zmarłej córki i żałowała, że jej tu nie ma. Oddałaby wszystko, żeby móc zobaczyć, jak Mary Claire czyta na łóżku jakąś książkę ze szkoły lub męczy się z zadaniem z matmy. Albo żeby móc ją skarcić za pisanie wiadomości tekstowych w czasie nauki lub poprosić o pomoc przy nakryciu do stołu i wysłuchać jej wyjaśnień, dlaczego nie może tego zrobić. Było jednak po północy i jedyna szansa na rozmowę z Mary Claire przepadła, gdy Marglyn otwarła oczy.

We śnie, który zapamiętała z wyjątkową szczegółowością, przysła do tego pokoju i zobaczyła, jak Mary Claire wyrzuca z szafy ubrania, które przelatowały jej przez ramię i

łądowały bezładnie na środku pokoju. Po prostu wyciągała kolejne ubrania i rzucała je za siebie, nie patrząc, gdzie spadają. Marglyn stała w drzwiach i patrzyła na tył głowy córki i jej perfekcyjnie pokręcone długie blond włosy — efekt całych godzin cierpliwej pracy z lokówką.

Mary Claire miała włosy proste jak patyki, ale codziennie z uporem je kręciła i lakierem zmuszała do uległości. Marglyn zwykła oglądać, jak odbijają się od ramion córki, gdy wychodziła z domu. Nie potrafiła powiedzieć, kiedy normą stało się to, że częściej widziała córkę z tyłu niż z przodu, ale tak było. Wiecznie w biegu, zdeterminowana, by zostawić matkę za sobą.

Mary Claire odwróciła się i spojrzała na matkę swoimi zielonymi oczami. Mrugnęła raz, drugi i trzeci, po czym wróciła do swojego zajęcia. Marglyn zobaczyła wzbijający się w powietrze niebieski sweter. Przypomniała sobie, jak go kupowała i jak zaniosiła do pralni chemicznej, bo nie chciała ryzykować zniszczenia go w pralce.

— Hej! — zawołała. — To fajny sweterek! Dałam za niego kupę pieniędzy!

Mary Claire zamarła, odwróciła głowę i rzuciła jej beznamiętne spojrzenie. Patrzyła na nią, jakby coś rozważała, ale Marglyn nie potrafiła powiedzieć co. Nigdy nie potrafiła tego określić. W końcu Mary Claire się odezwała, a jej głos zabrzmiał tak swojsko, że chociaż to był sen, Marglyn zaczęła płakać.

— To daj to Leah.

I odwróciła się do szafy, znowu pokazując Marglyn te swoje blond loki. Kiedyś wsunęła palec w jeden z nich i okręcała go tak długo, aż Mary Claire się jej wyrwała.

— Co przez to rozumiesz? — spytała plecy córki. W powietrze wzbiła się biała koszula, potem T-shirt z obozu kościelnego. Mary Claire nie reagowała. — Mary Claire! — zawołała nieco głośniejszym głosem. I chociaż śniła, rozejrzała się wokoło, jakby bała się, że kogoś obudzi, po czym nieco ciszej powtórzyła swoje pytanie. — Co rozumiesz przez to, że mam to dać Leah?

Mary Claire odwróciła się tak, że Marglyn widziała jej profil. Uroczo zadarty nosek, długie rzęsy spoczywające na policzkach, wydęte usteczka. Tak wiele cech nie uległo zmianie od czasu, gdy była dzieckiem.

— Daj te ciuchy Leah — odparła. Jej głos nie brzmiał ani smutno, ani szczęśliwie. Był zdecydowany. Stanowczy. — Ona ich potrzebuje.

Marglyn stała jak wmurowana w drzwiach. Czowała, że to swego rodzaju pożegnanie i swoista próba naprawienia czegoś. Dlaczego wybrała Leah? Marglyn pomyślała o dziewczynie, z którą Mary Claire i Brynne zaprzyjaźniły się z niezrozumiałych powodów latem przed rozpoczęciem roku szkolnego. Leah i Keary były ich pupilkami, uczyły się od swoich mistrzyń, jak się ubierać i zachowywać, a w zamian mogły wszędzie z nimi chodzić, desperacko próbując im dorównać.

Marglyn zrobiło się trochę przykro, pomyślała jednak, że niezależnie od powodu młodsze dziewczyny uznały Mary Claire i jej przyjaciółkę za warte naśladowania. Keary posunęła się w tym tak daleko, że dała się namówić na prowadzenie samochodu tamtej nocy. Wszystko, byle je zadowolić. Ale Leah nie było wtedy z nimi. Spekulacje na temat jej nieobecności szybko jednak przeradzały się w omawianie jej niebywałego szczęścia i tego, że „to jeszcze nie był jej czas”.

Słyszając te słowa, Marglyn miała ochotę wyrwać sobie włosy. Tak jakby na jej śliczną córkę przyszedł już czas, bo przeżyła wszystko, co miała przeżyć, podczas gdy Leah miała jeszcze sporo do zrobienia. To wcale nie było takie proste. Widziała Leah na pogrzebie, ale przykro było patrzeć, jak snuje się wokoło smutna i zagubiona. Marglyn czuła niejasną złość na dziewczynę. Tak jakby sprawiedliwiej było, gdyby odbywał się jeszcze czwarty pogrzeb.

— Dlaczego Leah? — dopytała. Mary Claire przestała wyrzucać ciuchy. Tym razem nie odwróciła głowy do Marglyn.

— Bo ją zostawiłyśmy — odpowiedziała cicho. — Zostawiłyśmy ją samą.

Marglyn obudziła się, zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, które dręczyło ją do teraz i które brzmiało: *A nie masz czegoś dla mnie?*

30. Ava

Piątek

Ze względu na to, że Ava została oskarżona o seksualne wykorzystanie nieletniego, uważano, że Clay ma prawo trzymać dzieci z dala od niej „dla ich bezpieczeństwa”. Zupełnie jakby Ava z dnia na dzień zmieniła się w odrażającego potwora zdolnego do bestialstw wobec własnych dzieci. Jej prawniczka powiedziała, że Ava powinna mieć prawo do nadzorowanych odwiedzin Savannah i Claytona, ale Clay i jego rodzice ukrywali dzieci w dużym domu, a wychodzili i wracali z nimi o nietypowych godzinach. Więc nie mogła się z nimi zobaczyć, jakby nagle zapadły się pod ziemię. Chessmanowie byli magikami, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

Potrzebowała pomocy, ale nie potrafiła żadnej znaleźć. W większym mieście miałyby sprzymierzeńców; ludzi, którzy nie stawaliby od razu w kolejce do rzucania kamieniami, ale tutaj wszyscy sprzyśli się przeciwko niej. Tęskniła nawet za zabraniami dzieci do Trout's, co jeszcze kilka tygodni temu było czymś prozaicznym, na co narzekała. Ale ostatnio, gdy wybrała się do tego sklepu, doświadczyła modelowego publicznego upokorzenia. Ludzie gapili się na nią bez ogródek i szeptali na tyle głośno, że zdawała sobie z tego sprawę, lecz nie była w stanie rozróżnić słów. Niespecjalnie paliła się do powtórzenia tego przeżycia.

Jedynym miejscem, które odwiedzała teraz z pewną regularnością i w którym po raz pierwszy poczuła, że w tym miasteczku życie rządzi się innymi prawami, był sklep monopolowy. Nie musiała się już przejmować tym, że ktoś ją zobaczy, bo w środku spotykała ludzi, którzy także przestali przejmować się opinią reszty miasta. Sklep stał się jej oazą: chodziła do niego, bo tam przynajmniej czuła się mile widziana.

Polubiła zaopatrywanie się w ostre brązowe trunki, które piła bez rozcieńczania, jak mężczyźni. Spacerowała alejkami ze swobodą, jaką do niedawna cieszyła się w każdym sklepie. Czytała etykiety i nie żałowała czasu na dokonanie wyboru, bo nigdzie nie musiała iść i z nikim nie była umówiona. Podziwiała wyszukane kształty butelek i barwy niektórych trunków niczym płynną biżuterię. Koniec końców wracała jednak do domu z bourbonem lub szkocką. Czymś, co paliło przy przełykaniu i przy każdym łyku przypominało jej o goryczy życia.

Dzisiejszego wieczoru raczyła się szklanką odwagi w płynie i obserwowała duży dom ze strategicznego punktu w przyczepie. Wodziła wzrokiem za trwałą pani Chessman, gdy ta przemieszczała się po kuchni, przygotowując kolację. Avie zaburczało w żołądku. To kuchnia pani Chessman skłoniła rodzinę do założenia restauracji kilka dekad temu. Ava nigdy nie jadła u nich niedobrego posiłku. Teraz żywiła się krakersami z masłem orzechowym i poczerńiałymi bananami, które kupowała na stacji benzynowej na skraju miasta, gdzie także nie była nękana ani nawet zauważana.

Dokończyła drinka i odłożyła szklankę na stolik kawowy, gdzie przypuszczalnie spędzi kilka dni, dopóki Avie nie skończą się czyste szklanki. Wtedy weźmie pierwszą lepszą i zmyje z niej brązowy nalot i ślady szminki. Jej standardy czystości znacząco się obniżyły, gdyż nie miała już rodziny, o którą musiałaby dbać. Z trudem przypominała sobie kobietę, jaką była w Atlancie. Kobietę, która robiła dla przedszkolank podarunki w uroczych koszykach ozdobionych tiulem i kokardami, która gromadziła tyle przepisów na Pinterescie, jakby za dużą liczbę przyznawano jakieś wyróżnienia, i która całe godziny poświęcała na zorganizowanie przyjęcia urodzinowego dla dzieci z tematami i podarkami. I po co? Wszystko przepadło, a jej mąż odszedł bez zastanowienia, jakby była zbyteczna.

Nabrała powietrza w płuca i wstrzymała oddech na kilka sekund, po czym westchnęła głęboko. Gdzieś czytała, że taki oddech dodaje sił, ale poczuła tylko brak powietrza. Nerwowo spojrzała na duży dom, jakby miał się zmienić w hotel z *Lśnienia*, dom z *Amityville* lub... coś równie straszego.

Ale duży dom wyglądał jak zawsze — budynek z cegieł stojący na kilkuakrowej działce z końmi pasącymi się na łące z boku, a pies teściów, Chopper, plątał się im między nogami, ryzykując kopnięcie. Rozumiała tego psa. Sama też ryzykowała kopnięcie. Ale musiała zobaczyć się z dziećmi, musiała je przytulić, spojrzeć im w oczy (niebieskie, odziedziczone po Clayu, z czego się cieszyła) i poczuć ich unikalny zapach. Musiała usłyszeć, jak mówią do niej: „Mamo”.

Błyskawicznie pokonała dystans dzielący przyczepę od domu i znalazła się na bocznym ganku. Podniosła dłoń, by zapukać, lecz tylne drzwi otworzyły się i stanęła w nich jej teściowa, która zmierzyła ją posępnym i pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Ava przypomniała sobie, jak poznała Elaine Chessman. Natychmiast przypadły sobie do serca, jak powiedziała później komuś teściowa w obecności Avy. Ciekawe, czy tylko udawała wtedy sympatię. W każdym razie teraz na pewno nie udawała.

— Ava, myślę, że nie powinno cię tu być — oznajmiła. — Clay wyszedł, czego z pewnością masz świadomość. — Spojrzała przez ramię, żeby upewnić się, że dzieci nie ma w pobliżu, i pchnęła drzwi, żeby je trochę przymknąć. Teraz Ava widziała tylko połowę teściowej i jej jedno pełne dezaprobaty oko.

— Przyszłam zobaczyć się z dziećmi — odparła z determinacją, której wcale nie czuła. Wszelka płynna odwaga spłynęła bezpowrotnie w ziemię na widok niewrażliwej Elaine w drzwiach. Przełknęła ślinę. — Mam prawo przynajmniej się z nimi przywitać. — Przełknęła znowu. — Możesz przy tym być.

Elaine oparła głowę o drzwi, jakby utrzymywanie ich w stanie otwarcia było zbyt trudne i musiała sobie pomóc.

— Przekażę Clayowi, że wpadłaś i że chcesz zobaczyć się z dziećmi. Jestem pewna, że spełni twoją prośbę najszybciej, jak tylko będzie mógł. — Zaczęła zamykać drzwi, lecz Ava wsunęła stopę w kurczącą się szparę. Dostrzegła w tym swoją szansę. Pchnęła drzwi łokciem i przedarła się obok oszołomionej Elaine, która odskoczyła na bok, żeby nie zostać potrącona.

Ava zaczęła krzyczeć:

— Clayton! Savannah! Clayton! Savannah! — W odpowiedzi usłyszała tupot stóp instynktownie biegnących w stronę jej głosu. Poczuła, że coś ją wypełnia. Nie powietrze, lecz coś zupełnie innego, coś pierwotnego. Coś, co było dla niej równie niezbędne do życia, jak powietrze. Dzieci. Bez nich czuła się na wpół martwa.

Savannah wypadła zza rogu z szerokim uśmiechem na twarzy. Ava usłyszała, jak Elaine woła Donalda, ojca Claya, który chyba był w stodole. Miała niewiele czasu. Wiedziała, że zadzwonią do Claya, który wróci do domu i będzie prychał jak wściekły byk. Wyciągnęła rękę do córki, która czym prędzej w nie wpadła.

— Mamusiu — powiedziała i obie zaczęły płakać. Przytuliła córkę najmocniej jak potrafiła i poczuła wilgoć jej łez na piersiach. — Tęskniłam za tobą — wymamrotała Savannah z twarzą ukrytą w T-shircie mamy.

Ava pocałowała córkę w czubek głowy, na który kapały jej łzy.

— Ja też za tobą tęskniłam. — Podniosła głowę i rozejrzała się. — Gdzie Clayton?

Savannah wsunęła kciuk w usta. Wykorzenili ten nawyk kilka miesięcy temu, ale najwyraźniej powrócił pod nieobecność Avy. Z kciukiem w ustach Savannah wybełkotała:

— Jest z dziadkiem. — Objęła Avę mocniej, jakby zamierzała jej nigdy nie wypuścić. — Chcę do domu, mamusiu — dodała.

— Wiem, kotku — odpowiedziała Ava. — Pracuję nad tym, wierz mi. — Usłyszała za plecami nadchodzących teściów. Nie zamierzali umożliwić jej odwiedzin. Ta sytuacja nie rozwijała się zgodnie z jej oczekiwaniami. — Naprawię to — powiedziała bardziej do siebie niż do córki. — Zebyśmy znowu mogli być razem. — Wyciągnęła mały palec. Jak Savannah, gdy Ava obiecała jej dolara za pomoc w obowiązkach domowych lub kusila wyprawą do lodziarni. Proste obietnice, z jakimi powinny mieć do czynienia dzieci. Ale to była przeszłość. Ava zakrzywiła mały palec i pomachała nim. — Paluszkowa obietnica — oznajmiła.

Savannah odwróciła się, gdy Donald wszedł do pokoju. Nie było z nim Elaine, która prawdopodobnie ukryła się gdzieś z Claytonem, żeby trzymać go z dala od niej.

— Avo — powiedział Donald groźnym tonem — myślę, że powinnaś już iść.

Nawet nie drgnęła, w pełni skupiona na córce. Po raz drugi pomachała przed nią małym palcem.

— Paluszkowa obietnica? — spytała.

Savannah przytaknęła, wyciągnęła swój mały palec i złączyła go z palcem Avo. Ava przytuliła córkę po raz ostatni i pocałowała ją w głowę, powstrzymując łzy z determinacją, o jaką nawet się nie podejrzewała i którą z pewnością wykorzysta. Potem odwróciła się i wyszła z budynku, który kiedyś uważała za swój drugi dom. Wróciła do przyczepy, która stała się jej samotnym więzieniem.

* * *

Jechała do restauracji niemal w stanie fugi dysocjacyjnej. Przestała słuchać piosenki w radiu i widzieć krajobraz za oknem. Jechała szybko, a potem jeszcze szybciej, nie przejmując się konsekwencjami ewentualnego zatrzymania. Mogliby nawet wsadzić ją do więzienia. I tak żyła jak w więzieniu, więc znalezienie się za prawdziwymi kratami było czystą formalnością. Pomyślała o Clayu i oczy jej się zaszklily. Przycisnęła mocniej pedał gazu. Samochód kierował się w stronę Chessmana, jakby potrafił tam trafić bez jej pomocy.

W ostatniej chwili zahamowała i zatrzymała się przy sklepie spożywczym. Weszła do środka, położyła na kontuarze dziesięciodolarowy banknot i wskazała paczkę marlboro lightów. Potem wyciągnęła zapalniczkę z wystawy przy kasie i dorzuciła ją do zestawu. Wiedziała, że Clay po kryjomu popała, a w tej sytuacji zrobienie tego samego wydało jej się dobrym pomysłem.

Wróciła do samochodu i zabrała się za otwieranie paczki. Zrywany celofan wydał odgłos marszczącej folii. Wyciągnęła papierosa, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio paliła. Włożyła go do ust i usłyszała szcęk zapalniczki, w której iskra i płyn połączyły swe siły, by stworzyć ogień. Zapaliła papierosa i wypełniła płuca dymem. Poczula się jak zwycięzca, jakby dym pracował w jej ciele, zmieniając ją w kogoś innego, bliższego dziewczynie, jaką niegdyś była. Dziewczynie, która nie bała się nosić tego, co chciała, i mówić tego, co myślała. Dziewczynie, która wskoczyła na stół i tańczyła na nim tamtego wieczoru, gdy poznała Claya. W ten sposób ją zauważył. A potem zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby już nikt więcej nigdy jej nie zauważył.

Gdy dotarła do restauracji, nie było w niej już klientów. Zostali tylko kelnerzy, którzy sprząтали i robili rozliczenia. Wsiadła z samochodu i zwróciła uwagę na panujący chłód. Jesień coraz bardziej ustępowała przed zimą. Pozwoliła, by zimne powietrze wyparło z niej dym. Uniosła podbródek i wzięła głęboki oddech, jakby świeże powietrze mogło zniwelować zapach papierosów. Jej oczy spoczęły na zacienionej postaci przy pobliskim samochodzie. Gdy jej oczy przystosowały się do ciemności, zauważyła, że są to tak naprawdę dwie zacienione postaci, które stoją bardzo blisko siebie. Przeniknęło ją uczucie, które początkowo uznała za lęk. Dopiero

później zrozumiała, że poczuła coś zupełnie innego. To była świadomość. Świadomość na poziomie, który uprzedzał jej oczy i umysł. Świadomość, która brała się z serca.

Zawołała go po imieniu, a on odsunął się od osoby, którą trzymał tak blisko siebie, i dwie zacięte postacie stały się odrębnymi konturami. Odwrócił się i wyciągnął głowę w jej stronę, jakby w ten sposób mógł lepiej ją dostrzec w mroku nocy.

— Kto tam jest? — spytał. Nie rozpoznawał już jej głosu.

— To ja, Ava — odparła i ruszyła w jego stronę.

On też ruszył w jej stronę, zostawiając osobę, z którą stał, przy samochodzie.

— Ava? — odrzyknął. — Co ty tu robisz?

Pohamowała się przed stwierdzeniem: *Mogłabym cię spytać o to samo*. Zamiast tego odrzekła:

— Szukałam cię.

Spotkali się w połowie drogi. Spojrzała za niego na osobę, z którą stał, ta jednak była ukryta w cieniu. Clay przesunął się, żeby zablokować jej widok.

— Nie powiesz mi, z kim się spotykasz? — spytała i obdarzyła go kpiącym uśmiechem.

Clay obejrzał się przez ramię i poczuła, jak w powietrzu między nimi coś pękło.

— Wiesz, wciąż jesteśmy małżeństwem — dodała.

Parsknął i odwrócił się z powrotem do niej.

— To nie tak, jak myślisz. — Potrząsnął głową. — Zresztą sama o tym zapomniałaś kilka tygodni temu, więc nie masz prawa tak mówić. — Splunął na ziemię między nimi. Clay, którego znała kiedyś, nie był tak niewychowany, nie mówił z takim zaśpiewem i nie spluwał tylko po to, żeby podkreślić swoje słowa. — Co tutaj robisz? — powtórzył pytanie, splatając ręce na torsie.

— Byłam... poszłam...

— Rodzice już mi przekazali, że przysłaś do ich domu. Stwierdzili, że porządnie nastraszyłaś Savannah. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

Osoba za nim wsiadła do samochodu, w którym zapaliło się oświetlenie wewnętrzne. Oboje na nią spojrzeli. Teraz bez trudu można było ją rozpoznać. Była to osoba, z którą Ava do niedawna czuła niewytłumaczalne pokrewieństwo. Jedyna osoba, która mogła zrozumieć, jak to jest być w takiej sytuacji, druga najbardziej nienawidzona kobieta w mieście: Darcy LaRue. Dziwne, że pociesza ją mąż Avy.

Ava zamilkła, bo dotarło do niej, że nie powinna — i nie może — ufać Clayowi. Nie może ufać nikomu. Przyjechała tu z zamiarem poproszenia go, by pojechał z nią gdzieś, gdzie prawdopodobnie nie powinna wybierać się samotnie, i zobaczył coś, co miało być jej odkupieniem. Ale jej błagania spływałyby po nim jak po kaczce. Objęła się. Im dłużej stali na zewnątrz, tym było zimniej.

— W takim razie wracaj do... Darcy — powiedziała.

Spojrzała w jej stronę. Próbowwała złapać jej spojrzenie, ale lampka w środku zgasła i Darcy na powrót zniknęła w mroku.

— To nie tak jak myślisz. — Usłyszała głos Claya. — To tylko przyjaciółka.

— Powiedział każdy mężczyzna przyłapany w takiej sytuacji — stwierdziła z kąśliwym uśmiechem.

Odwróciła się i ruszyła w stronę swojego auta, ignorując jego wołanie. Zaczekała chwilę, żeby sprawdzić, czy do niej podejdzie, ale gdy wsiadła i zamykała drzwi, zobaczyła, jak odchodzi w przeciwną stronę, do Darcy, jakby wołał hańbę innej osoby niż swojej żony. Zaciśnęła dłonie na kierownicy tak mocno, że zaczęły pulsować. A potem odjechała ze świadomością, że tylko ona sama może zmasać swoją hańbę.

31. Leah

Piątek

Grahama nie było w domu, gdy przyjechała do niego po szkole. Drzwi otworzyła jego matka. Sprawiała wrażenie zmęczonej i zmizerniałej. Bez makijażu, z nieumytymi włosami. Zazwyczaj wyglądała tak pięknie. Nie dlatego, że się starała, lecz dlatego, że taka była. Ale dzisiaj nie była piękna. Raczej zmarnowana. Powiedziała, że ktoś kręcił się koło ich domu i rozsmarował czerwoną farbę (która miała wyglądać jak krew — *doprawdy* oryginalny pomysł) na drzwiach wejściowych, co zauważyli dopiero rano, gdy zrobiło się jasno.

Leah starała się nie patrzeć na drzwi, gdy rozmawiały. Czerwona farba wciąż na nich była i wyglądała jak test plam atramentowych, o którym dowiedziała się, gdy interesowała się psychologią. Marzyła wtedy, by zostać analitykiem kryminalnym, jak prawdopodobnie większość dzieci, które oglądały *CSI* lub *Zabójcze umysły*. Teraz wiedziała więcej niż wtedy i nie miała już ochoty na dalsze zagłębianie się w zdeprawowane umysły ludzi. Nie miała pojęcia, kim zostanie, gdy dorośnie. Dorastanie wydawało się jej znacznie mniej zabawne, niż gdy była młodsza.

W pewnym momencie przyszedł mężczyzna, żeby pomalować drzwi, więc przenieśli się do środka. Mama Grahama obejrzała się z zaniepokojeniem przez ramię na czekającego w samochodzie Talmadge'a, po czym wróciła spojrzeniem do Leah.

— Nie musisz być na meczu? To chyba dzisiaj?

Zabawne, że nawet po tym wszystkim, co się stało, matka Grahama nadal знаła rozkład meczów i oczekiwała, że wszyscy w mieście będą tym żyli, tak jak przedtem.

— Ja, hm, zrobiłam sobie przerwę w cheerleadingu. Powiedzieli mi, że mogę.

— A, tak. Całkiem sensownie.

Leah poprawiła przyniesione przez siebie materiały, nie wiedząc, co z nimi zrobić, skoro nie zastała Grahama.

— Czyli Graham się wyprowadził? — spytała, co zabrzmiało głupio, ale czuła się zdezorientowana.

Pani LaRue (Leah jakoś nie umiała mówić do niej per „Darcy”) przytaknęła.

— Jego ojciec uznał, że najlepiej dla wszystkich będzie, gdy Graham na jakiś czas zamieszka z nim. Aż to ucichnie. Grahamowi... grożono. Niektórzy uczniowie są na niego wściekli. A ponieważ mieszkaliśmy tu tylko we dwójkę, przypuszczalnie uznali, że nie jesteśmy w stanie się obronić, więc mogą zrobić, co zechcą. — Matka Grahama zaczęła płakać i zakryła usta, jakby próbowała się pohamować. — Przepraszam — dodała. — Mam po prostu wrażenie, że to nigdy nie ucichnie. I że do końca życia będę „matką tego chłopca, który zabił trzy dziewczyny”.

Leah przytaknęła, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Przykro mi — szepnęła.

Zerknęła w stronę drzwi do małego pokoiku, w którym Graham zawsze siedział na brązowej skórzanej kanapie i oglądał filmy lub grał w gry wideo. Z każdymi odwiedzinami była bliżej powiedzenia mu tego, co chciała powiedzieć, gdy podniosła dłoń w klasie i zgodziła się przynieść mu materiały. Była to myśl, która przychodziła jej do głowy przynajmniej pięćdziesiąt razy dziennie od dnia wypadku: *Żałuję, że mnie też nie zabiłeś.*

— Nie, w sumie to przepraszam. — Pani LaRue otarła oczy wierzchem dłoni. — Że rozmawiam o tym z tobą, podczas gdy ty straciłaś przyjaciółki. — Wyciągnęła dłonie i Leah

spanikowała, bo pomyślała, że pani LaRue ma zamiar ją przytulić. Uświadomiła sobie jednak, że chodzi o materiały. — Cóż, chyba będą musieli wymyślić inny sposób na przekazywanie mu materiałów — dodała.

— No — przyznała Leah. — W każdym razie, proszę go ode mnie pozdrowić i powiedzieć, że mam nadzieję, że czuje się lepiej i... — Matka Grahama sprawiała wrażenie, jakby miała znowu wybuchnąć płaczem. Leah musiała się stąd wydostać. Zaczęła się wycofywać. — I że mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Pomachała i odwróciła się do drzwi. W pośpiechu zupełnie zapomniała o malarzu po drugiej stronie. Na szczęście ten ją zauważył i w porę się odsunął. Obdarzył ją uśmiechem, który wyglądał dość lubieżnie.

— Wiesz, lepiej, żebym nie upaął cię tą farbą, co? — spytał. Gdy szła w stronę samochodu Talmadge'a, pomyślała, że niektórzy ludzie potrafią każdej wypowiedzi nadać podtekst seksualny.

Była niemal przy samochodzie, gdy usłyszała swoje imię. Odwróciła się i zobaczyła mamę Grahama na ganku. Malarz wrócił do malowania, a ona stała na schodach pochylona i ciasno owijała się kurtką. Leah pomachała do Talmadge'a, żeby zaczekał jeszcze chwilę i podeszła do niej. Czasem, gdy rozczuła się nad sobą, myślała o innych mieszkańcach, którym także nie było najlepiej. Pani LaRue. Pani Chessman. Rodzice Keary, Mary Claire i Brynne. Przynosiło jej to dziwną ulgę, ta świadomość, że nie jest sama w swojej biedzie.

— Wybacz — przeprosiła mama Grahama i wskazała Talmadge'a. — To twój chłopak?

Leah zaśmiała się i potrząsnęła głową.

— Nie, on mnie tylko podwozi. — Poczula nieznacznym skurcz serca, gdy to mówiła, ale nie potrafiła określić, czy to sumienie, które sygnalizowało, że być może Leah mija się z prawdą, czy raczej poczucie winy wynikające ze świadomości, że Talmadge'a zabolowałyby te słowa, gdyby je usłyszał. Talmadge był dla niej dobry — znacznie lepszy niż ktokolwiek inny na tym podłym świecie. Pomyślała, że może *powinien* być jej chłopakiem. Może było to równie sensowne, jak wszystko inne.

Spojrzała przez ramię na niego, na jego profil, gdy cierpliwie na nią czekał. Słyszała muzykę z jego radia, jazzową, zupełnie inną niż to, co wybraliby wszyscy inni chłopcy z miasteczka. Talmadge nie był jak wszyscy inni chłopcy. Dlatego lubiła jego towarzystwo. A po zniknięciu Keary, Brynne i MC mogła z nim przebywać bez żadnych społecznych reperkusji. Nikt nie zwracał już uwagi na to, z kim się spotyka, jak się ubiera i gdzie chodzi. Była okropną osobą, że czuła w związku z tym ulgę. Była okropną osobą, bo żyła, a one nie.

— Leah? — Matka Grahama patrzyła na nią wyczekująco, lecz Leah nie słyszała jej pytania. Słońce niemal już zaszło. Mama Leah na pewno będzie się zastanawiała nad tym, gdzie jest córka. Będzie się martwiła i wyrazi to na głos. Ale Leah przestała się tym przejmować. Bo niezależnie od tego, co stanie się na zewnątrz, mama nie uchroni jej przed wszystkimi nieszczęściami. Jej reguły i kazania nie zapewnią córce bezpieczeństwa. I nigdy nie zapewniały, co Leah właśnie sobie uświadomiła. Ta myśl przepełniła ją dwiema sprzecznymi emocjami — strachem i rozradowaniem.

— Przepraszam — odparła Leah i potrząsnęła głową, jakby chciała oczyścić się z tych myśli. Musi zapytać o coś Talmadge'a, gdy już wróci do samochodu. O coś, co być może będzie mógł dla niej zrobić. O coś, co kiedyś zasugerował, lecz ona nie była wtedy zainteresowana. — Co pani mówiła? — spytała i uśmiechnęła się.

— Zastanawiałam się, czy mogłabym od teraz przyjeżdżać do ciebie do domu? Brałabym od ciebie materiały i przekazywałabym je Grahamowi. — Wzruszyła ramionami i także się uśmiechnęła. — W ten sposób miałabym pretekst, by codziennie go odwiedzać.

— Jeśli nie mieszka zbyt daleko ode mnie, mogę sama mu je dostarczać — zaoferowała się Leah, bo chciała być na tyle pomocna, na ile umiała. Lubiła Grahama i lubiła jego matkę. Ciekawe, co Keary, Brynne i Mary Claire by na to powiedziały. Czy zaprzyjaźnienie się z chłopakiem, który w nie wjechał, było zdradą?

— Nie... ja chcę to robić... Tęsknię za nim. — Wskazała dom, mężczyznę na ganku, który zamalowywał czerwoną farbę szerokimi maźnięciami czerni, i ciemne, puste okna ze zgaszonymi światłami w środku. — Nie lubię tu przebywać sama.

— Okej — zgodziła się Leah. Zrobiło się jej szkoda tej kobiety i po raz kolejny pomyślała, że nie tylko ona w tym miasteczku cierpi. Nie tylko dla niej zachód słońca oznaczał kolejną noc dziwnych cieni i złych snów. Ale nie dzisiaj, nie jeśli uda jej się zrobić to, co zamierzała. Kiwnęła głową. — Może tak być.

Matka Grahama rozpromieniła się.

— W takim razie do zobaczenia! — powiedziała. Nachyliła się do niej i dodała konspiracyjnym szeptem: — Ten chłopak w samochodzie? Ten, co nie jest twoim chłopakiem?

Leah kiwnęła głową i ucieszyła się, że zapadający zmrok ukrywa rumieńce wpełzające na jej policzki.

— Jest fajny. I ma wyjątkowo dobry gust muzyczny. — Leah była prawie pewna, że matka Grahama puściła jej oczko, zanim odwróciła się i zniknęła w swoim domu.

* * *

Talmadge wrócił do samochodu z torbą, co było dobrym znakiem.

— Masz? — spytała.

Kiwnął głową z uśmiechem i położył torbę na siedzeniu między nimi. Leah piła już piwo, które wykradł z lodówki ojca. W akcie szarmanckości pozwolił jej się nim poczęstować, gdy sam poszedł do przyczepy wujka po porządne zapasy. To właśnie sugerował kiedyś, gdy próbował odciągnąć ją od nowych przyjaciół zapewnieniami o własnej fajności i obietnicami tego, co mogliby zrobić. Ale ona nie chciała, żeby był kimś innym, niż był. Tego Talmadge nie wiedział.

Nachylił się, wyciągnął jej puszkę spomiędzy nóg i podniósł do ust. Miało być na spółkę, lecz Leah wypila więcej niż pół podczas jego nieobecności. Talmadge przełknął i się skrzywił.

— Wypiłaś prawie całe! — powiedział. — I jest ciepłe.

— Za długo cię nie było! — odparła. Flirtowali, lecz po raz pierwszy jej to nie przeszkadzało i się tego nie bała. Sięgnęła do torby i wyciągnęła kolejną, zimną puszkę. Otworzyła ją, pociągnęła długi łyk i uśmiechnęła się.

— Nie wierzę, że to robimy — stwierdził i sam także trochę się napił. Zauważyła, że dopija jej ciepłe piwo. Nie skomentowała tego i pociągnęła kolejny łyk swojego, zimnego.

— A jakże, robimy — przyznała. — Gdzie chcesz pojechać?

Wypił piwo do końca i zgniół puszkę.

— Znam jedno miejsce, w którym możemy wypić to wszystko — odpowiedział, podrzucając puszkę. — Co ty na to, żeby potem skoczyć do Stooges pograć w bilard?

Zmierzyła go wzrokiem.

— Ty? Do Stooges? — Stooges było speluną na obrzeżach miasteczka, do której próbowali się dostać tylko najodważniejsi i najbezpieczniejsi uczniowie. Nie chodziło o to, żeby mieli tam karty wstępu czy chociażby bramkarza. Chodziło o Ziga, właściciela, który sprabły cię na kwaśne jabłko, gdyby przyłapał cię na picciu alkoholu w jego lokalu. A potem powiedziałby ci, żebyś tylko spróbował komuś powiedzieć, od kogo dostałeś. I zagroziłby jeszcze większym laniem, jeśli cię tu znowu spotka.

Talmadge uśmiechnął się, jakby chciał zasugerować, że być może Leah nie wszystko o

nim wie. Że może na własną rękę się zmieniał, gdy ona była zajęta spławianiem go.

— Zig to kumpel — wyjaśnił. — Można powiedzieć, że jest mecenasem sztuki.

Odwrócił się w stronę przedniej szyby, oferując jej zdumionemu spojrzeniu swój profil.

* * *

Przywarła do rękawa płaszcza Talmadge'a, gdy wchodzili do Stooges. Częściowo dlatego, że nie czuła się pewnie na nogach po wypitych piwach, a częściowo dlatego, że bała się tego miejsca. Nie była pewna, czy powinni to robić, ale Talmadge brnął naprzód, dzierżąc przed sobą skrzypce niczym kartę przetargową. Kilku klientów zwróciło na nich uwagę, ale od razu odwrócili się z powrotem do baru lub stołów bilardowych, wyraźnie nieporuszeni. Rozluźniła się nieco, lecz przeszkodził jej w tym głos barmana.

— Hej! — zawołał do nich.

Talmadge odwrócił głowę w jego stronę. Leah żałowała, że ze swojego punktu widzenia za jego plecami nie widzi jego twarzy i nie czuje bicia jego serca, bo wtedy wiedziałyby, czy on się boi i czy ona także powinna się bać.

— Hej? — Głos Talmadge'a brzmiał niemal drwiąco. Nigdy nie doświadczyła tego jego oblicza, tej twardszej i ostrzejszej strony. Odrzucił nieznacznie głowę, a włosy, miękkie i nieco pofalowane, spoczęły z powrotem na kołnierzu koszuli. Zauważyła łysego mężczyznę, który przyglądał się z nieukrywaną zazdrością.

— Szukasz Ziga? — spytał barman.

— Taa — odparł Talmadge, pokazując skrzypce.

— Jest z tyłu — wyjaśnił barman. — Kazał cię przysłać, gdy przyjdiesz. — Talmadge skinął i ruszył dalej, przedzierając się przez ludzi, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza, jakby robił to wcześniej, i to niejednym razem. Chwyciła się mocniej jego płaszcza i próbowała dotrzymać mu kroku.

Przez ułamek sekundy zapomniała, że Keary, Brynne i MC już nie ma, i pomyślała, że szkoda, iż jej teraz nie widzą. Chciałyby, żeby zobaczyły, jaki Talmadge jest hardcorowy. Wyobraziła sobie, co by powiedziały, gdyby się tu znalazły, ich miliony jednocześnie zadawanych pytań, na które nie potrafiłaby odpowiedzieć, ich obawy, że będą molestowane przez mężczyzn lub że zostaną wyrzucone, oraz ich ekscytację z robienia czegoś niezwykłego, czegoś tak bardzo wykraczającego poza ich normalną egzystencję, że z trudem łapałyby oddech. To było życie, powiedziała sobie Leah. Gdy jednocześnie czujesz strach i podniecenie, kręci ci się w głowie od piwa i nie wiesz, co będzie dalej. Leah żyła.

Przeszli ciemnym korytarzem na tyły budynku i stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Talmadge zapukał, a z wnętrza dobiegło do nich stłumione „proszę”.

Odwrócił się do niej.

— Zachowuj się normalnie. Nie mów za dużo. — Przymrużył powieki. — I nie bój się. — Błysnął uśmiechem, a Leah usłyszała w głowie słowa matki Grahama. Czy Talmadge zawsze był taki przystojny, czy stał się taki, gdy ona była zajęta innymi ludźmi? Weszła za nim do środka ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— No, no, któż to, jak nie mój wirtuoz? — Usłyszała głęboki niski głos. Podniosła oczy na tyle, żeby zobaczyć potężnego mężczyznę na fotelu biurowym na kółkach. Mężczyzna miał wojskową fryzurę i brzuch wylewający się przez pasek spodni. Spojrzał na nią, a ona natychmiast wbiła wzrok z powrotem w podłogę. — Kogo my tu mamy? — spytał z podobną dwuznacznością w głosie, jaką wychwyciła wcześniej w głosie malarza. — Nie mówiłeś, że masz dziewczynę. — Wstał i z aprobatą klepnął Talmadge'a po plecach.

Talmadge szturchnął ją, więc znowu podniosła wzrok.

— To moja przyjaciółka, Leah — powiedział. — Leah, to jest Zig. — Leah wyciągnęła do niego dłoń, chociaż nie była pewna, czy ma ochotę go dotykać.

Zig zachichotał, uścisnął jej dłoń i potrząsnął nią w górę i w dół, po czym ją zostawił. Puścił jej oczko.

— Cóż za dobre wychowanie! Możesz przekazać rodzicom, że świetnie się spisali. — Zaśmiał się. — Chociaż założę się, że nie powiesz im, że mnie poznałaś. — Przez chwilę spoglądał to na Talmadge'a, to na nią. W końcu zaśmiał się i potrząsnął głową. — Przyjaciółka, jasne — stwierdził. Usiadł i wskazał jej składane krzesło naprzeciw siebie. Potem wskazał Talmadge'a. — No to posłuchajmy.

Usiadła, a Talmadge wyciągnął skrzypce z futerału. Przeciągnął kilka razy smyczkiem po strunach, żeby się rozgrzać. Rękaw nieco mu się podwinął i Leah zauważyła fragment litery. Zapomniała o jego tatuażu. Talmadge zaczął grać i Zig zamknął oczy. Po kilku minutach uniósł podbródek tak, że jego twarz była skierowana w sufit. Żałośnie zawodząca pieśń wypełniła pomieszczenie. Leah słuchała i obserwowała, a serce ścisnęło się z bólu, który nie był bólem.

Jej emocje podążały za ruchami smyczka, najpierw wolnymi, potem szybszymi. Oderwała wzrok od twarzy Ziga i spojrzała na Talmadge'a. Obaj mieli zamknięte oczy i obaj sprawiali wrażenie, jakby mentalnie byli gdzieś indziej. Nie miała pojęcia gdzie, ale było to ich prywatne miejsce. Znała tego rodzaju odpłynięcie; też jej się zdarzało, ale nie w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Gdy Talmadge skończył, miała łzy w oczach i wiedziała, że powie mu prawdę o nocy wypadku. Był jedyną osobą, której mogła to powiedzieć.

Talmadge opuścił skrzypce, a Zig otarł oczy, potrząsnął głową i zaśmiał się z zażenowaniem.

— Za każdym razem mnie bierze — stwierdził. Wskazał Leah. — Masz utalentowanego chłopca. — Wstał i wyciągnął dłoń do Talmadge'a, a Leah nie upierała się, że to nie jej chłopiec.

Talmadge włożył skrzypce pod pachę i uścisnął podawaną mu dłoń.

— Dziękuję, sir — powiedział.

— Sir! — Zig odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. — Nie jestem żaden sir. — Wskazał drzwi. — Zabierać mi się stąd — dodał.

Wziął z biurka zwitek banknotów, wyciągnął z niego kilka i wepchnął je Talmadge'owi, który wsunął je do kieszeni z zażenowaniem „dziękuję”.

— Weźcie sobie coś na barze i zagrajcie parę razy w bilard na moje konto. — Zig machnęła dłonią w geście „idźcie już”. Zaczęli wychodzić, lecz zawołał za nimi. — Wrócisz jeszcze, prawda? — spytał. Brzmiał na znacznie mniejszego, niż był, znacznie mniej surowo. Leah pomyślała, że później wypyta Talmadge'a o to, jak poznał Ziga i o co chodzi w tym ich układzie. Później będzie miała do powiedzenia mnóstwo rzeczy.

Talmadge błysnął tym uśmiechem, którego musiał się nauczyć, gdy ona patrzyła w inną stronę.

— No pewnie — odparł. Otworzył jej drzwi i ruszyli razem korytarzem. Futerał ze skrzypcami kołysał się w jednej z jego dłoni, a drugą wziął ją za rękę.

32. Darcy

Piątek

Gdy Leah poszła, malarz skończył swą pracę i zapadły kompletne ciemności, pojawił się strach. Czerwona plama została zamalowana, ale Darcy wciąż ją czuła. Farba była niczym palce stukające w drzwi ze słowami *wpuść mnie*. Świętość jej domu, jej przestrzeni życiowej przepadła wraz ze wszystkim, czego się wcześniej trzymała. Znowu chodziła tam i z powrotem przy oknie, chociaż w ten piątek nie było słycać syren. Droga była pusta i Darcy czuła się, jakby była ostatnią osobą na ziemi.

W końcu wsiadła do samochodu i chociaż wmawiała sobie, że chce się tylko przejechać, trafiła prosto do Chessmana. Usiadła przy stoliku w rogu i zamówiła kawę i ciastko czekoladowe. W rzeczywistości wolałaby piwo. Podczas jednej z nocnych pogawędek powiedziała Clayowi, że powinien wprowadzić do menu alkohol.

— Nie póki żyją rodzice — odparł. — Nie chcą o tym słyszeć. Mówią, że Chessman to rodzinne miejsce.

— No cóż, pomyślałam, że przydałaby się jakaś konkurencja dla Stooges. — Zaśmiali się oboje z tego. Stooges i Chessman były zupełnie innymi miejscami i praktycznie wszystko je różniło. Ale skoro o tym mowa, jej eks i jego puszczańska dziewczyna przesiadywali w Stooges. Darcy miała podstawy, by sądzić, że tam właśnie zaczął się ich romans.

Clay opadł ciężko na krzesło naprzeciw niej. Przestraszona oderwała wzrok od ciasta, a on wskazał na nie i spytał:

— Mogę gryza?

Uśmiechnęła się i zaczęła kroić ciasto widelcem. Tymczasem on uniósł dłoń.

— Nie, tylko żartowałem.

Spojrzała na niego z kawałkiem ciasta na widelcu.

— Podzielę się z tobą — zaoferowała.

Uśmiechnął się.

— No wiem. — Pokazał dłonią, żeby opuściła widelec. — Ale mi już wystarczy.

Zjadła kawałek z widelca, ale czuła się głupio, gdy patrzył na nią, jak je. Szczególnie, że jadła ciasto, absolutnie sobie folgując. Przez większość życia odmawiała deserów i zostawiała jedzenie na talerzu, twierdząc, że nie jest głodna, chociaż była. Po odejściu Tommy'ego stwierdziła, że to chrzani. Ale gdy siedziała naprzeciw obserwującego ją Claya, stare schematy myślenia zaczęły wracać. Przełknęła i odłożyła widelec.

— Hej, nie dokończyłaś! — powiedział.

— Bo gapisz się na mnie jak jakiś dziwak — odparła żartobliwie.

W odpowiedzi przysunął sobie jej talerzyk. Kolejna z wielu różnic między kobietami i mężczyznami: mężczyźni nie mieli problemu z jedzeniem tego, czego chcą i kiedy chcą, niezależnie od tego, czy ktoś ich obserwuje czy nie. Przypomniało jej się, jak Tommy wgrzyzał się w nóżkę kurczaka, którą wyciągnął z lodówki. Był tylko w bokserkach, a na głowie miał prawdziwie artystyczny nieład. Powiedziała mu, że wygląda jak jaskiniowiec, ale on tylko wzruszył ramionami i jadł dalej. Ona nie pozwoliłaby sobie na coś takiego za żadne skarby świata.

Clay dokończył jej ciasto i z brzękiem rzucił widelec na talerzyk. Natychmiast podeszła kelnerka, żeby go zabrać, i spytała Darcy, czy życzy sobie coś jeszcze. Darcy potrząsnęła głową i dziewczyna poszła, ale po drodze do kuchni obejrzała się jeszcze na nich. Pracownicy na pewno

zaczną plotkować. Jak najbardziej żonaty szef zadaje się z jak najbardziej rozwiedzioną i pogardzaną kobietą. Niech sobie plotkują. Niech całe miasteczko sobie plotkuje.

— No więc — powiedział Clay i nachylił się do niej. — Wszystko w porządku?

Samo to pytanie sprawiło, że w oczach Darcy znowu wezbrały łzy. Zamrugowała szybko i kiwnęła głową.

— Musiałam po prostu wyjść z domu. Tak tam pusto. — Opowiadała już dziś Clayowi o farbie na drzwiach i decyzji Tommy'ego, żeby Graham przeprowadził się do jego domu.

— To zarówno dla twojego bezpieczeństwa, jak i jego — wyjaśnił, gdy przyjechał po syna. — Gdy ludzie dowiedzą się, że jest u mnie, to się skończy. Wiedzieli, że jesteś z nim sama w tym domu. Ze mną nie będą próbowali takich numerów. — Wiedziała, że ma rację. Prawdopodobnie. Nie rozumiała jednak, dlaczego musi tracić kolejną osobę w swoim życiu. Dlaczego wszystkie te zdarzenia sprawiają, że jest coraz bardziej i bardziej samotna.

— Przyjeżdż na Florydę — powtórzyła jej po południu matka przez telefon. — Będiesz siedzieć przed oceanem, grać w karty ze mną i z ciocią Lou i jeść owoce morza. Dobrze ci to robi. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. — Ale ona nie potrafiła zostawić Grahama, dopóki ciążyły na nim te zarzuty. Mimo że nienawidziła całego Worthy, nie wyobrażała sobie, że miałyby wyjechać.

Spojrzała na Claya i przyszło jej do głowy coś jeszcze. Jego też nie potrafiła zostawić z tym wszystkim, z czym musiał się mierzyć. Wspierali się nawzajem. Był jej jedynym prawdziwym przyjacielem, jedynym człowiekiem, który ją rozumiał. Nawet przyjaciółki, które zostały przy niej po rozwodzie, odeszły po wypadku Grahama. Zdystansowały się, żeby przypadkiem nie skalać sobie rąk jej brudem. Nie obwiniała ich, bo przypuszczalnie poczułaby to samo, gdyby była na ich miejscu.

Clay wstał.

— Cóż, myślę, że najlepiej będzie, gdy zajmę się zamknięciem.

— No pewnie — odparła. Sięgnęła po portfel i wręczyła mu kartę kredytową.

Machnął dłonią.

— Schowaj to. — Uśmiechnął się do niej, jakby była uroczym psiakiem w oknie, błagającym o wpuszczenie do środka. — Ciasto było na mój koszt.

Uśmiechnęła się niepewnie w odpowiedzi. Wrzuciła portfel do torebki, dopiła kawę i także wstała. Clay wyciągnął ramiona. Weszła w nie, a on przytulił ją mocno, lecz krótko. On też wiedział, że są obserwowani, oceniani i obmawiani. Ale zanim ją puścił, szepnął jej do ucha:

— Zaczekasz na mnie na zewnątrz?

Odsunęła się, spojrzała mu w oczy i przytaknęła.

Puścił jej oczko i oddalił się, a ona wyszła z restauracji i wsiadła do samochodu. Zapaliła silnik, lecz nie odjechała. Włączyła radio. Leciła jakaś piosenka miłosna i Darcy po raz pierwszy od kilku miesięcy nie zmieniała stacji.

* * *

Tylko się przytulali, gdy pojawiła się jego była żona. Owszem, było to przytulanie się całym ciałem bez milimetra odstępów między nimi, ale tylko przytulanie. Darcy przeszła przez głowę myśl o pocałowaniu go, zanim omiotły ich światła nadjeżdżającego samochodu. Była niemal pewna, że on także o tym pomyślał, ale ten samochód im przeszkodził, bo oboje odwrócili głowy w jego stronę.

Chociaż było to niestosowne, tej nocy coś się zmieniło. Clay był jej przyjacielem, powiernikiem, sprzymierzeńcem. Ale był też przystojnym mężczyzną, którego małżeństwo zasadniczo się skończyło. Mężczyzną, który bez zastanowienia ruszył jej na ratunek. Który

pachniał przyprawami i ogniem i patrzył na nią tak, jakby uważał ją za definicję piękna. I który puszczał jej oczka i pytał, jak się czuje. Wszystko to doprowadziło do tej sytuacji, którą zobaczyła jego żona.

— Czy to...? — spytała, gdy przyglądał się autu i przymrużał powieki, by dostrzec kierowcę.

Przytaknął z ponurym wyrazem twarzy.

Po wszystkim Darcy zastanawiała się, co by było, gdyby Ava nie przyjechała w tamtej chwili. Żałowała, że tak się stało. Przeklinała w myślach Avę, która najwyraźniej miała talent do niszczenia innym życia. Ale wtedy, gdy Ava przyjechała, Darcy pragnęła jedynie jak najszybciej stamtąd zniknąć. Clay odstąpił od niej o krok, a jego twarz została oświetlona przez reflektory samochodowe. Darcy zauważyła zmarszczki między jego oczami, które mogły wynikać z... no właśnie, zatroskania? Strachu? Poczucia winy? Nie знаła go na tyle, żeby wiedzieć, jaką reakcję wywołało w nim pojawienie się Avy.

— Powinienem z nią porozmawiać — wyznał skruszonym tonem.

— Jasne — zgodziła się. — Pójdę już. — O niczym innym nie myślała, potrzebowała tylko jego potwierdzenia.

Ale on zamiast tego rzekł:

— Nie, nie idź. Tylko... — Uniósł dłoń. — Zaczekaj.

Po tych słowach ruszył przez parking w stronę kobiety, która nadal była jego żoną. Darcy wyrobiła sobie pogląd na jej temat i gardziła nią, opierając się na tym, co usłyszała. Zasadniczo zachowała się tak jak mieszkańcy miasta wobec niej i jej syna. Wzdrygnęła się i wsiadła do samochodu. Przekręciła kluczyk i włączyła ogrzewanie, żeby poczuć uderzenie gorącego powietrza. A potem skupiła się na radiu i szukaniu stacji, żeby nie patrzeć na rozwijającą się przed nią scenę. Co Clay mówił do Avy? To koniec? Nie kocham cię? Jesteś podła i wstyd mi za ciebie? Tak wyrażał się o Avie przy Darcy, ale czy będzie na tyle odważny, by powiedzieć jej to w oczy?

Podniosła wzrok i trafiła prosto w spojrzenie Avy. Mimo dość sporej odległości poczuła coś, ale bynajmniej nie była to wrogość. Spojrzenie Avy nie mówiło: *Nie zasługujesz na niego, jesteś złą kobietą*. Mówiło raczej: *Spójrz na nas. Tutaj. Na ten cały syf. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Ani jak z tego wyjdziemy. Ale wyjdziemy. Muszę wierzyć, że z tego wyjdziemy*. Darcy pierwsza odwróciła wzrok.

Nieco później jej uwagę zwrócił ruch. Znowu podniosła wzrok i zobaczyła idącego w jej stronę Claya. Otworzył drzwi i poczuła powiew chłodu. Usiadł na fotelu pasażera i zamknął drzwi. Światła Avy prześlizgnęły się po nich po raz kolejny, gdy odjeżdżała.

— Przepraszam cię za to — powiedział.

— Nie musisz przeproszać — odparła. Wbiła wzrok w wyświetlacz radia, który pokazywał tytuły kolejnych piosenek, mimo że wyciszyła głośniki. — Wczoraj była moja zwariowana noc, dziś jest twoja.

Zachichotał i poczuła, że się rozluźnił.

— Oboje przeżyliśmy co niemiara — zgodził się i poszturchnął ją na żarty palcem w udo. — Niezła z nas para.

Uśmiechnęła się do niego. Czowała się objęta troską i akceptowana.

— Powiedziałeś do rymu — zauważyła.

Mrugnął kilka razy powiekami i Darcy wyczuła, że to, co było między nimi przed przyjazdem Avy, zaczyna znowu przeblyskiwać w powietrzu.

— Najwyższy czas — odparł niejednoznacznie. Przysunął się, wziął ją w ramiona i potwierdził jej domysły, dotykając jej ust swoimi, znacznie cieplejszymi, niż myślała.

33. Ava

Sobota

Zjawiła się pod Stooges w porze, w jakiej większość ludzi wtula się w kołdry w swoim łóżku i śni. Nawet ta knajpa powoli dogasała, sądząc po liczbie samochodów na parkingu. Ludzie na pewno dokańczają ostatnie gry i zamawiają ostatnie napitki przed zapłaceniem rachunku i powrotem do domu w ramiona osób, w których powinni lub nie powinni być. Jeśli Ian tu będzie, to jest najlepsza pora, by go dopaść.

Ian przychodził tu z kolegami, gdy klienci mieli już na tyle w czubie, żeby ich ignorować. Tak jak kumple, zależało mu na tym, by po prostu pograć w bilard, poplirtować z kelnerkami i napić się nielegalnie alkoholu. Żaden z nich nie chciał być tu bohaterem miasta i słuchać opinii ludzi na temat aktualnego sezonu. A coś takiego w Worthy mogło się zdarzyć wyłącznie w Stooges o pierwszej w nocy z piątku na sobotę. Ava planowała przyłapać go z opuszczoną gardą i zadać mu jedno czterowyrazowe pytanie: *Dlaczego nie powiesz prawdy?* Przebywanie w jego pobliżu było ryzykowne, ale musiała przynajmniej spróbować.

Weszła do środka i ucieszyła się z gęstej, mrocznej atmosfery, w której mogła zostać niezauważona. Stooges było oazą niepożądanych osób. Pojawiali się tu także czasem najwięksi biznesmeni miasteczka w poszukiwaniu odrobiny spokoju. Tutaj nie był ani baptystą, ani metodystą, ani demokratą, ani republikaninem, ani białym, ani czarnym. Stooges było odpowiednikiem Szwajcarii w skali miasteczka. Uśmiechnęła się na tę myśl i natychmiast zaczepił ją siwiejący mężczyzna.

— Chciałbym wiedzieć, co cię tak rozradowało — powiedział.

Uśmiech zniknął z jej twarzy i próbowała umknąć, lecz mężczyzna złapał ją potężną dłonią za przedramię.

— Nie uciekaj mi i nie zabieraj ze sobą tego pięknego uśmiechu — poprosił. Została złapana jak ryba na wędkę.

Clay przyszedł tu z nią jednej nocy, żeby pokazać jej jedyne miejsce w mieście, w którym serwuje się alkohol, i „gniazdo rozpusty”, jak nazywała je jego matka. Zagrali kilka razy w bilard i wypili kilka piw. W sumie bardzo miło spędzili czas. Co więcej, były to jedne z najmilszych chwil w jej życiu od przyjazdu do Worthy. Ale gdy wychodzili, ostrzegł ją, by nigdy nie przychodziła tu sama. Dlatego chciała go poprosić, żeby przyszedł tu z nią. Był jedynym mężczyzną w mieście, którego znała na tyle dobrze, żeby o coś takiego spytać, lecz on kazał jej wracać do domu. Nie umiała wyrzucić sprzed oczu tego obrazu, jak się oddala i wsiada do auta Darcy LaRue. Jego zachowanie utwierdziło ją w konieczności zrealizowania planu znalezienia tych chłopców poza szkołą i wyprostowania wszystkiego.

Teraz żałowała podjętego ryzyka, rozglądając się po pomieszczeniu, ale już nie za Ianem, lecz kimkolwiek, kto mógłby przyjść jej na ratunek. Mężczyzna zacieśnił uścisk i przyciągnął ją bliżej. Miał na sobie biały T-shirt i czarną skórzaną kurtkę. Dłoń, którą ją trzymał, była tak gęsto wytatuowana, że nie było widać pierwotnego koloru skóry. Pachniał papierosami, zwietrzałym piwem i potem. Gdy się do niej uśmiechnął, odsłonił żółtobrązowe zęby.

— Wiem, czego potrzebujesz — powiedział. — Piwa. — Sięgnął dłonią do stojącego na stoliku dzbanka, żeby jej nalać, i wypuścił jej rękę, a ona wykorzystała okazję, żeby uciec. — Hej! — Usłyszała za sobą. — Zostawiłaś swoje piwo!

Biegła przed siebie z sercem łomoczącym w uszach i rozglądała się za drzwiami, ale była zdezorientowana przez panujący półmrok i własną panikę. Nie zatrzymywała się jednak, o włos

minęła kelnerkę z tacą pełną napojów i wpadła na innego mężczyznę, oblewając go jego piwem.

— Przepraszam! — wykrzyknęła, żeby przebić się przez głośnie muzykę country. W Stooges zazwyczaj była muzyka na żywo, ale jeśli ktoś dzisiaj grał, na pewno dawno się pozbiarał i poszedł do domu. Wskazała na kelnerkę, która kilka kroków dalej rozdawała drinki. — Próbowałam na nią nie wpaść i zamiast tego wpadłam na ciebie.

W przeciwieństwie do pierwszego faceta, ten był przystojny i wyglądał na kogoś w jej wieku. Miał na sobie zwykłą flanelową koszulę, szary — teraz przemoczony — T-shirt i znoszone dżinsy. Na szczęście brakowało w tym stroju kowbojskich butów, które były nieodłączną częścią męskiego uniformu w Worthy. Nawet Clay kupił sobie kowbojki po paru tygodniach od przewodniczki, a potem kupił je także Claytonowi.

— Spoko — odparł mężczyzna. W przeciwieństwie do tego pierwszego nie przerażał jej. Zwróciła uwagę na zmarszczki w kącikach oczu i dołeczek na policzku, gdy się do niej uśmiechnął. Miał dość duże zakola, ale był przystojny i zadbany. W innych okolicznościach może nawet by się jej spodobał. Zbliżyła się nieco, żeby wyglądali, jakby przyszli razem i żeby żadna inna szumowina nie próbowała do niej podbijać.

Sprawdzi się jako osoba, w której pobliżu Ava będzie stać, rozglądając się w poszukiwaniu Iana, chociaż obawiała się, że Ian już się stąd zmył wraz z kolegami albo w ogóle go tu nie było. Czasem nie oblewali meczu. Nienawidziła tego, że to wszystko wiedziała, bo sam jej o tym powiedział.

Mężczyzna pokazał swój nieszczęśliwie opróżniony kufel.

— Pójdę po dolewkę, zanim przestaną sprzedawać — powiedział. — Wziąć ci też?

— Ja kupię! — stwierdziła. — Przynajmniej tyle mogę zrobić. — Zaczęła szukać portfela w torebce, ale on położył dłoń na jej dłoni. Delikatny nacisk, a nie żelazny uścisk z wcześniej.

— Nie trzeba. — Uśmiechnął się. — Zaraz wracam. — Kiwnęła głową. Stała nerwowo sama, starając się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z nikim innym, gdy rozglądała się po pomieszczeniu. Wyłowiła spojrzeniem dwóch uczniów, ale nie tych, których szukała.

Chłopca w ogóle nie знаła, ale dziewczyny nie sposób było pomylić. Była to uczennica z jej klasy, przyjaciółka trzech zabitych dziewcząt. Ava dobrze pamiętała wyraz jej twarzy, gdy czytała im na głos wiersz Emily Dickinson. Reszta klasy wbijała nieobecny wzrok w biurka lub w okna, lecz ona słuchała uważnie, a jej twarz wyrażała smutek pomieszany z ekscytacją.

Avie było jej szkoda z powodu straty przyjaciółek. Miała poczucie winy z powodu mieszanych emocji dotyczących śmierci Keary Malone do tego stopnia, że momentami wydawało jej się, że powinna przeprosić tę, która przeżyła. Przypomniała sobie ten ostatni ranek w szkole i bezbrzesne poniżenie, jakiego potem doświadczyła. Tak ją to wytrąciło z równowagi, że zapomniała o tomiku wierszy Dickinson — prezencie od byłego chłopaka, którego kiedyś uważała za swojego przyszłego męża.

Jej nowy znajomy wrócił i wręczył jej piwo. Pociągnęła długi, przynoszący ulgę łyk, chociaż żałowała, że nie jest to czysta whisky, która paliłaby ją w przełyku, do czego ostatnio przywykła. Ale darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby.

— Jesteś stąd? — spytał, co było równie dobrym zagajeniem rozmowy, jak każde inne.

Spojrzała na niego znad butelki.

— Nie — odparła. — Jestem z Atlanty. — Rozkoszowała się nazwą lokalizacji jej prawdziwego domu. — A ty? — spytała. — Stąd?

— W pewnym sensie.

— Jak można być w pewnym sensie skądś? — zaśmiała się.

On także się uśmiechnął i pociągnął łyk piwa.

— Dorastałem tu, ale wyniosłem się stąd najszybciej jak się dało. Przyjechałem tu tylko

w odwiedzinie do starych. — Wskazał kobietę na stołku barowym, która prowadziła żywą dysputę z mężczyzną z wąsami w kowbojskim kapeluszu. — To moja siostra. Zaciągnęła mnie tu dzisiaj. — Potrząsnął głową i wbił wzrok w swoje piwo. — Ona nie wyjechała.

— Biedna dziewczyna — skwitowała Ava.

Spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem.

— Niektórym ludziom się tu podoba.

— Ale z ciebie adwokat diabła — stwierdziła flirciarskim tonem. To był jej domyślny tryb rozmawiania z mężczyznami, jak przełącznik w ciele i umyśle, który w jakiś niewyjaśniony sposób uruchamiał się w niej od czasu dojrzewania.

— Może po prostu jestem diabłem — odpowiedział. Uniósł brwi i przechylił butelkę w jej stronę. Wszyscy mężczyźni reagowali tak samo. To była waluta, którą obracała od tak dawna, że nie była pewna, czy jest w stanie w ogóle z niej zrezygnować. Dzięki niej była silna, dominująca, pożądana. Czuła się dobrze, bo niezależnie od wszystkiego mogła na niej polegać.

— Za chwilę zamkną — dodał z twarzą tak blisko niej, że czuła jego oddech na policzku.

— Zmywamy się stąd? — Wskazał siostrę. — Przyszedłem z nią, ale... jeśli masz samochód...

Słowo *samochód* przypomniało jej o mężu wsiadającym do samochodu innej kobiety i o tym, jak szybko i łatwo uwierzył w najgorsze i odrzucił własną żonę. Pomyślała, że mogłaby przystać na propozycję tego faceta, wyjść z baru i zabrać go do domu, zaprosić do przyczepy męża i pieprzyć się z nim w ich łóżku. Nie miał pojęcia, kim była, więc jej nie oceniał. A rano wróci tam, skąd przybył, i noc się skończy jak wszystkie inne. Tęskniła za doznawaniem czyjejs skóry na swojej skórze, za ciepłem pocałunków i za tym, by poczuć się kochaną i uwielbianą, choćby tylko przez tę resztkę nocy.

— Jasne — odparła.

— Serio? — Wypuścił głośno powietrze, zaskoczony, że jego propozycja naprawdę wypaliła. — Okej, powiem tylko siostrze, że wychodzimy. — Odszedł pospiesznie, jakby bał się, że Ava zmieni zdanie, gdy zbyt długo go nie będzie.

Znowu została sama. Napiła się jeszcze piwa i rozejrzała po pomieszczeniu na wypadek, gdyby jakimś cudem przegapiła chłopców. Ale tłum przerzedził się na tyle, że trudno byłoby ich przegapić. To był strzał na ślepo, który zapunktował z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Odstawiła pusty kufel na kontuar i poczuła, że ktoś stuka ją w ramię. Odwróciła się, myśląc, że to nowy znajomy. Uświadomiła sobie, że nawet nie zna jego imienia. Ale zamiast niego zobaczyła dziewczynę, Leah. Stała niepewnie i patrzyła na nią rozmytym spojrzeniem. Trzymała książkę, którą pokiwała, podobnie jak przed chwilą mężczyzna swoim piwem.

— Zostawiła to pani — oznajmiła bełkotliwie dziewczyna.

Ava przyjrzała się książce i zorientowała się, że jest to oprawiony w skórę tomik wierszy Emily Dickinson. Zdezorientowana wróciła spojrzeniem do dziewczyny. Przyjrzała się jej uważnie, ale z jej twarzy nie dało się nic wyczytać.

— To mój tomik? — spytała, mimo że знаła odpowiedź. Chwyciła książkę, żeby ją zabrać, ale Leah jej ją wyszarpała.

— Odkupię ją — powiedziała. — Szukałam już. Na Amazonie. Zapłacę za nią. — Przytuliła tomik do piersi jak lalkę. — Potrzebuję go. Robiłam w nim zapiski. — Podniosła wzrok i spojrzała Avie w oczy najlepiej jak potrafiła. Stojący za nią chłopak obserwował ostrożnie sytuację, spoglądając to na Leah, to na Avę.

— Okej — zgodziła się Ava takim samym tonem, jakiego używała wobec swoich dzieci w wieku przedszkolnym. — Jasne. Zatrzymaj go. — Kątem oka zauważyła, że nowo poznany towarzysz ruszył w jej stronę, lecz zatrzymał się, gdy dostrzegł uczennicę.

— Więc nie masz nic przeciwko, żebym go sobie wzięła? — upewniła się Leah z nutką

nadziei w głosie.

— Jest twój — potwierdziła Ava, starając się zabrzmieć swobodnie. Chłopak, z którym była Leah, zbliżył się o krok, jakby chciał zaznaczyć, że są razem. Ava kiwnęła do niego głową, więc podszedł jeszcze bliżej. Jego spojrzenie było bez wątpienia równie ostrożne i niepewne, jak spojrzenie Avy w tej chwili. — Miło cię było spotkać, Leah.

Odwróciła się, żeby jak najszybciej odejść, bo nie miała ochoty na kontakt z jakimkolwiek uczniem z Worthy High. W sumie to czuła ulgę, że nie znalazła tych chłopców, których szukała. Prawdopodobnie uchroniła się przed straszliwą wpadką. Już obecność Leah wprawiała ją w zdenerwowanie, jakby ktoś mógł ją o coś oskarżyć za samo rozmawianie z tą uczennicą. Spojrzała swojemu nowo poznanemu towarzyszkowi w oczy i zdecydowała, że nie chce znać jego imienia. Pragnęła chociaż odrobiny anonimowości.

— Zaczekaj! — zawołała Leah nieco zbyt głośno. Ava po raz drugi tej nocy poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię. Tym razem jednak uścisk nie był groźny, lecz rozpaczliwy. Pokazała czekającemu na nią mężczyźnie palec, prosząc go o jeszcze jedną sekundkę. Odwróciła się z powrotem do Leah, której twarz znalazła się zaskakująco blisko jej twarzy. Czuła w jej oddechu piwo, sporo piwa. Jutro rano Leah przypuszczalnie będzie żałowała tej nocy. Ava pomyślała o swoim nowym znajomym. Jeśli zabierze go do domu, także może rano żałować tej nocy.

— Przykro mi z powodu tego, co ci zrobili — powiedziała Leah.

Ava mrugnęła.

— Kto mi zrobił i co? — spytała, chociaż domyślała się odpowiedzi.

Leah kiwnęła głową, jakby zgadzała się ze sobą, postukała palcami w tomik poezji i zacytowała znany Avie wers:

— Lepiej być młotkiem niż kowadłem. Prawda?

Ava przytaknęła powoli, zastanawiając się, do czego dziewczyna zmierza.

— Wszyscy myślą, że ci chłopcy są tacy dobrzy. Ale oni są źli. — Przymrużyła oczy, patrząc na Avę. — My o tym wiemy, prawda? — Znowu kiwnęła głową i uśmiechnęła, ale jej uśmiech był raczej chłodny niż pocieszający. — Tylko my o tym wiemy.

Leah przechyliła się do przodu i upadłaby, gdyby Ava odruchowo jej nie złapała. Z zatroskanym wyrazem twarzy przekazała ją chłopcu i puściła dopiero wtedy, gdy miała pewność, że on ją trzyma.

Objął ją, a ona uśmiechnęła się do niego.

— Kocham cię, Talmadge — powiedziała, a on zbladł. Lecz Leah tego nie zauważyła, bo odwróciła się z powrotem do Avy. — Pani Chessman, to jest Talmadge. Nie zna go pani, bo nie chodzi do naszej szkoły. — Ava widziała, że Leah przetwarza coś w swoim spowolnionym przez alkohol umyśle. — Oczywiście pani teraz już też nie chodzi. — Nachyliła się i kiwnęła palcem, żeby Ava też się zbliżyła. — To nie pani wina. Tylko ich. To wszystko ich wina. Nie zapomni pani o tym, prawda?

— Chodź już, Leah — powiedział Talmadge, jej wybawiciel, i delikatnie pociągnął ją do siebie. — Lepiej zawiozę cię do domu. — Spojrzał na Avę. — Przepraszam — wymamrotał. — Ona... sporo ostatnio przeszła. Myślałem, że ta noc... pomoże.

Ava położyła mu dłoń na ramieniu.

— Rozumiem — powiedziała.

Talmadge ruszył z Leah, ale nie szło mu zbyt dobrze, gdyż dziewczyna walczyła z nim ze wzrokiem wbitym w Avę, jakby była bliska wyznania czegoś, co nie do końca potrafiła wyrazić. Ava żałowała, że dziewczyna jest tak pijana i niezdolna do sensownej rozmowy. Chłopców w Stooges nie było, ale znalazła tu coś innego. A raczej kogoś. Kogoś, kto potrzebował pomocy, prawdopodobnie bardziej niż ona. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób dowiedzieć się, czego

dziewczyna nie potrafiła powiedzieć.

34. Leah

Sobota

Obudziła się zziębnięta w samochodzie Talmadge'a, z głową opartą o szybę samochodową. Była przykryta jego kurtką, lecz on zniknął. Usiadła w panice i rozglądnęła się, żeby sprawdzić, gdzie się znalazła. Talmadge spał na tylnym siedzeniu zwinięty w kłębek na tyle, na ile pozwalało jego patykowate ciało. Miał na sobie tylko cienki T-shirt i dżinsy. Bez kurtki musiało mu być diabelnie zimno. Potarła zaparowaną szybę, żeby zobaczyć, gdzie byli.

Próbowała przypomnieć sobie wydarzenia z wczorajszej nocy. Okłamała rodziców, że będzie spać u Sidney Riggle. Rodzice byli tak zachwyceni, że „znalazła nową miłą przyjaciółkę”, że nie zadawali jej zbyt wielu pytań. Potem razem z Talmadge'em jeździli po okolicy, aż wreszcie, ku jej zaskoczeniu, trafili do Stooges. Talmadge zagrał dla Ziga i zdobył dla nich piwa. Reszta nocy była zasnutą mgłą.

Znalazła torebkę przy stopach i wyciągnęła telefon z nadzieją, że rodzice nie próbowali się z nią skontaktować. Ale nie było żadnych nieodebranych połączeń i esemesów.

Sprawdziła godzinę: 7:28. Musiała się wysikać. Otworzyła drzwi od strony pasażera i spojrzała przez ramię na Talmadge'a. Spał dalej, więc wyskoczyła z samochodu, podbiegła do kępy krzewów, kucnęła za nimi i wysikała się. Naciągnęła dżinsy i poczuła wilgoć na majtkach. Przez głowę przemknęła jej myśl: czy między nią i Talmadge'em doszło *do czegoś*? Drżąc z zimna pospiesznie wróciła do samochodu na fotel pasażera. Zamknęła drzwi nieco zbyt mocno, żeby obudzić Talmadge'a, ale on nawet nie drgnął.

Obserwowała go przez moment, starając się przypomnieć sobie więcej szczegółów z nocy. Coś ją dręczyło. Zrobiła coś żenującego. Coś nietypowego. Coś, czego nie powinna była zrobić. Czuła się źle. Ale nie tylko z powodu przesadzenia z piciem. Wyłuskała z torebki dwie aspiryny, wyciągnęła butelkę wody, którą Talmadge miał zawsze w schowku, i popiła tabletki.

Odchyliła się i zamknęła oczy z nadzieją, że aspiryna zacznie działać. Próbowała wyobrazić sobie kotłowanie z Talmadge'em na tylnym siedzeniu, żeby określić, czy faktycznie do tego doszło. Co dziwne, ta myśl w ogóle jej nie przerażała. Wręcz przeciwnie, czuła się z tym nawet miło. Sięgnęła do torebki po gumę. Nie chciała przywitać go kacowym oddechem, gdy się obudzi. Zamknęła oczy i żuła gumę.

Minęła chyba cała wieczność, więc spojrzała znowu na telefon. 7:42. Westchnęła głośno i wrzuciła telefon do torebki, a potem zajrzała do tyłu, żeby sprawdzić, czy jej hałasowanie obudziło Talmadge'a. Spał dalej. Nie mając innego wyjścia, przeszła na tylną kanapę, skuliła się obok niego i złożyła głowę na jego piersi, żeby posłuchać równomiernego bicia jego serca.

— Talmadge? — szepnęła. — Nie śpisz już? — W odpowiedzi poczuła, jak jego serce przyspiesza. Podniosła głowę i zobaczyła, że patrzy na nią, mrugając z dezorientacją.

Podparł się na łokciu.

— Hej — powiedział. Pachniał inaczej niż zazwyczaj. Ale nie w negatywnym znaczeniu. To był jego prawdziwy zapach. Prywatny, intymny. I ona miała przywilej go poznać. Przysunęła się bliżej, próbując zniwelować dystans, który pojawił się między nimi, gdy Talmadge się podniósł. Przyciągnęła go bliżej i jego twarz znalazła się niebezpiecznie blisko jej twarzy. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu, lecz on potrząsnął głową i podniósł się. Usiadł jak najbliżej okna, żeby maksymalnie się od niej oddalić bez wychodzenia z samochodu.

— Koniec — powiedział.

Jej serce przyspieszyło.

— Koniec? Koniec czego?

Odwrócił się do okna, mimo że nie było zbyt wiele widać przez parę wodną.

— Koniec gier — dokończył.

Leah także podniosła się i usiadła. Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła je. Przepelniało ją poczucie wstydu. Pojawiało się odruchowo od nocy wypadku i stało się domyślnym trybem funkcjonowania jej ciała. Nie zawsze tak reagowała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, jak było kiedyś. Tak jakby jej czyny tamtej nocy zmieniły ją na zawsze, przekształciły strukturę i budowę chemiczną ciała. Coś ją męczyło. Miała wrażenie, że Ian i Seth byli częścią tego, co zaszło wczoraj w nocy, że byli z tym powiązani. Zawsze tak było.

Schowała twarz w kolanach.

— Opowiadałam ci coś wczoraj w nocy? — spytała.

— Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz — odparł. — Byłaś pijana. Sporo przeszłaś. Wszyscy to rozumiemy.

Poderwała głowę.

— Wszyscy? — Zrobiła wielkie oczy. — Jacy wszyscy?

— Nie no, nie o to chodziło. To wyolbrzymienie. Powinienem powiedzieć „oboje”. Pani Chessman i ja. — Odwrócił głowę w stronę okna i zaczął rysować palcem linię.

Poczuła, że coś do niej wraca, i utwierdziła się w przekonaniu, że wczorajszej nocy faktycznie wydarzyło się coś złego. Ale nie w takim znaczeniu, że rzuciła się na Talmadge'a, chociaż była prawie pewna, że zastanawiała się nad tym w stanie najwyższego upojenia alkoholowego. Ale potem coś się zmieniło. Coś zaszło. Teraz wiedziała, że tym czymś było spotkanie pani Chessman.

— Co jej powiedziałam? — spytała.

— Zapalę silnik — odparł. — Żeby trochę tu nagrzać. — Nie czekając na jej potwierdzenie, niezręcznie przeczołgał się nad przednim fotelem, usiadł na miejscu kierowcy i odpalił samochód. Potem włączył ogrzewanie i poklepał fotel pasażera, zachęcając ją do dołączenia do niego. — Jak się zagrzeje, odwiozę cię do domu.

Przeszła na fotel obok niego i nachyliła się nad nawiewem, żeby poczuć podmuch coraz cieplejszego powietrza.

— Co jej powiedziałam? — powtórzyła.

— W sumie moglibyśmy trochę pojeździć — odpowiedział. — Szybciej się zagrzeje.

— Powiedz mi, Talmadge.

Zabębnił palcami o kierownicę.

— Niespecjalnie cokolwiek słyszałem — stwierdził. — Rozmawiałaś z nią, a ja nie stałem zbyt blisko.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Kłamiesz. — Odchyliła się demonstracyjnie na fotelu, skrzyżowała ręce na piersiach i zmierzyła go wzrokiem. — Powiedz mi, Talmadge. Jesteś mi winien prawdę.

Odwrócił się do niej, a w jego oczach płonął gniew.

— Jestem ci winien? Prawdę? — Zaśmiał się gorzko. — Proszę, wyjaśnij mi, skąd taki wniosek.

— Bo coś się wczoraj stało. Coś, o czym ty wiesz, a ja nie wiem. Jako przyjaciel powinieneś mi to powiedzieć.

Wcisnął przycisk zwiększania temperatury ogrzewania, ale było już ustawione na maksimum. Opuścił dłoń na kolano.

— Więc teraz jesteście przyjaciółmi? Taka jest nasza relacja?

Przełknęła ślinę. Guma zupełnie straciła smak.

— Tak. No bo dlaczego mielibyśmy nie być?

Nie podniósł wzroku. Nie odpowiedział, chociaż wpatrywała się w niego intensywnie, a serce łomotało jej z niepewności, co od niego usłyszy. Miała pewne przebliski i poczuła, jak wraca wstyd.

— Tak? — ponagliła go. Nie chciała tego słuchać, ale musiała. Niewiedza doprowadziłaby ją do jeszcze większego szaleństwa.

— Wczoraj poniekąd... nie zachowywałaś się jak moja *przyjaciółka*. — Zamilkł na chwilę, ważąc słowa. — Zachowywałaś się jak... ktoś więcej. — Przełknął ślinę ze zbolałym wyrazem twarzy. — Ktoś więcej niż przyjaciel.

Kiwnęła głową. Pamiętała, że go pragnęła. Pamiętała, że trzymała go za rękę. Myślała, że spotkanie z panią Chessman ją od tego odwiodło, ale najwyraźniej nie. W stanie upojenia alkoholowego zdobyła się na odwagę do działania. Spojrzała na niego i przypomniała sobie jego dłonie na smyczku, którym z taką pasją grał na skrzypcach. Chciała, żeby na niej też zagrał.

— Przepraszam — powiedziała, mimo że jej aktualnych emocji nie można było nazwać poczuciem winy.

Spojrzał na nią.

— Nic nie pamiętasz? — Jego twarz nie wyrażała gniewu, lecz ból.

— Czy my... — Tym razem to ona odwróciła wzrok. Z włączonym odmrażaniem szyba się oczyściła. Leah dostrzegła wiewiórkę, która susami przebiegła po ziemi i wspięła się na drzewo.

— My... — próbował powiedzieć, ale głos go zawiódł. Przełknął znowu, jabłko Adama poruszyło się wydatnie w górę i w dół. — Masz więcej gum?

Z radością, że ma coś do zrobienia, sięgnęła do torebki, znalazła gumę i podała mu. Zwróciła uwagę na to, że nie dopuścił, by ich palce się zetknęły. Odwinął listek, zmiażdżył go w ustach i zaczął żuć mocniej niż to konieczne.

Zmiał papierek i rzucił przez ramię na tylną kanapę. To powiedziało jej wszystko, co potrzebowała wiedzieć. Talmadge był bardzo pedantyczny w kwestii swego auta. Nie był to tak superfajny samochód, jakie mieli niektórzy uczniowie, ale Talmadge był z niego dumny, reperował go, rozgryzał jego działanie i opowiadał o nim ze szczegółami. W innych okolicznościach on i Graham mogliby być przyjaciółmi.

— Powiedz mi to — poprosiła. — Muszę to wiedzieć.

— Daj mi chwilę — odparł. — Myślę. — Otworzył drzwi i wysiadł, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza, od którego przeszły ją dreszcze. Podszedł do tych samych krzaków, za które wybrała się, gdy spał. Listowie prawie zupełnie go ukrywało, ale widziała po jego ruchach, że chodziło mu nie tylko o chwilę do namysłu. Potrzebował chwili, żeby się wysikać.

Wrócił do samochodu, wsiadł do środka i zamknął drzwi, nie nawiązując z nią kontaktu wzrokowego. Załączył radio i z głośników ryknęła jakaś jazzowa stacja. Szybko zmniejszył głośność i zaczął mówić do pokręteł zamiast do niej.

— Całowaliśmy się, okej? — stwierdził ledwie słyszalnym głosem. — Całowaliśmy się i... ty nawet tego nie pamiętasz. — Znowu zaśmiał się gorzko. — Nie wiem, dlaczego łudziłem się, że będzie inaczej. Całe życie czekałem na to, by cię pocałować, i teraz... jest tak, jakby to w ogóle się nie wydarzyło. — Chwycił drążek skrzyni biegów, by włączyć wsteczny, ale położyła dłoń na jego dłoni, by go zatrzymać.

— Nie, Talmadge. Jeszcze nie. Musimy porozmawiać o tym, co zaszło. Wciąż tego nie rozumiem.

Spojrzał na nią, jakby oszalała. I jakby przestało mu na czymkolwiek zależeć.

— Upiłaś się. Podeszłaś do tej nauczycielki i gadałaś jej jakieś szalone rzeczy. Potem chciałem cię odwiedzić do domu, ale ześwirowałaś i powiedziałaś, że nie możesz wrócić w takim stanie, więc przyjechaliśmy tutaj, bo nie miałem pojęcia, dokąd pojechać. — Spojrzał na nią, przymrużając powieki. — Nic z tego nie pamiętasz?

Potrząsnęła głową i wbiła wzrok w ziemię, żeby uciec przed jego oskarżycielskim spojrzeniem.

— Przyjechaliśmy tu i przeszliśmy na tylną kanapę, żeby się na niej przespać, lecz ty zaczęłaś płakać. Nie chciałaś powiedzieć, o co ci chodzi. Miało to coś wspólnego z tym, co spotkało panią Chessman. Mówiłaś, że nie możesz tego nikomu powiedzieć. A potem... zaczęłaś mnie całować.

Milczał. Wiedziała, że przeżywa to na nowo ze szczegółami, których mu zazdrościła. Nie do końca dlatego, że chciała to pamiętać. Po prostu doskwierała jej ta luka w pamięci. Cóż za ironia, że niespecjalnie okropne przeżycia jej uciekły, lecz te najgorsze potrafiła przywołać z najdrobniejszymi detalami.

— Kto przerwał? — spytała. Serce znowu zaczęło jej galopować, gdy dopytała: — Bo przzerwaliśmy to... prawda?

Zerknął na nią przelotnie i z powrotem odwrócił głowę. Pokręcił gałką radia i zmienił muzykę na jakiś rap.

— Tak, przzerwaliśmy. Ale ty... byłaś gotowa na więcej. — Powiedział to tak, jakby go zdradziła, jakby opisywał coś, co zrobiła z kimś innym. — Wściekłaś się, że nas zatrzymałem. Powiedziałaś... — Nagle zachrypl i przerwał. Sięgnął po butelkę wody i zrobił potężny łyk. — Powiedziałaś, że i tak nic nie czułaś. — Gdy tym razem chwycił za drążek, żeby wrzucić wsteczny, nie zatrzymała go.

Jechali do niej w milczeniu. Talmadge zatrzymał się sto jardów przed jej domem, żeby mogła wysiąść i wejść do środka, nie zwracając uwagi rodziców. Bezceremonialnie pchnął dźwignię w pozycję parkowania i samochód zatrzymał się z szarpnięciem. Leah położyła dłoń na klamce, ale nie pociągnęła za nią, bo miała wrażenie, że gdy to zrobi, nieprędko zdarzy się kolejna okazja, żeby znowu z nim porozmawiać. Spojrzała na niego, na jego profil. Chciała, żeby obejrzał się w jej stronę. Próbowwała sobie przypomnieć ich pocałunek i smak jego ust, ale miała w głowie pustkę.

— Byłam pijana — powiedziała. — Nie chciałam tego powiedzieć.

— Wiem — odparł. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. — Na tym polega problem, Leah. Nigdy nie chcesz. A ja nie jestem pewien, czy nadal chcę, skoro ty nie chcesz. — Machnął dłonią w stronę drzwi, sugerując, że powinna wysiąść. — Muszę jechać. Moi starsi będą się martwić.

Otworzyła drzwi i wystawiła jedną nogę. Czekala, aż ją powstrzyma, każe jej chwilę zaczekać, przyciągnie do siebie i pocałuje, żeby tym razem zapamiętała. Ale on nic nie powiedział, więc wysiadła, zamknęła drzwi i ruszyła w stronę domu. Dopiero wtedy dotarło do niej, że ostatecznie nie wyciągnęła z niego, co usłyszała z jej rozmowy z panią Chessman, chociaż obawiała się, że wie, co mogła jej powiedzieć.

35. Darcy

Niedziela

W niedzielne popołudnie zacisnęła zęby i poszła do mieszkania Tommy'ego, żeby przekazać Grahamowi materiały przyniesione w piątek przez Leah. Wypuściła nieświadomie wstrzymywany oddech, gdy zajechała na parking i nie zauważyła volkswagena beetle Angie z nieodłącznym sztucznym kwiatem w wazoniku, który był na wyposażeniu samochodu. Darcy pamiętała, że Angie jeździła tym autem po miasteczku na długo przed tym, jak ukradła jej męża. Wtedy też uważała ten kwiat za żenujący. Nie rozumiała, jakim cudem Tommy mógł potraktować taką kobietę poważnie.

Ucieszyła się z nieobecności Angie. Było jej wystarczająco ciężko nawet bez konieczności uprzejmego rozmawiania z osobą, którą gardziła. Oczywiście byłaby dla niej miła ze względu na obserwującego je Grahama. Dla jego bezpieczeństwa była gotowa na wszystko — nawet na przeprowadzkę do jej byłego i jego zdzirowatej dziewczyny z tym głupim kwiatem w samochodzie.

Weszła po rozklekotanych metalowych schodach na drugie piętro. Ciekawe, jak Graham dał radę to zrobić ze swoją niesprawną nogą. Schody musiały być dla niego trudne, jeśli nie niemożliwe do pokonania. *Nie zamartwiaj się tym*, usłyszała w głowie głos Claya. *Sam dokonał wyboru*. Ale czy na pewno była to jego decyzja? Czy ktokolwiek z nich świadomie chciał się znaleźć w sytuacji, w której się znajdował? W oczach Darcy ich życie było jak pokaz łańcuchowego przewracania domina, a pierwszy klocek przewrócił się w chwili, gdy Tommy zajechał z Grahamem na parking przy stadionie w tym cholernym chargerze.

Zdyszana od tej wspinaczki (trzeba czym prędzej wrócić do ćwiczeń) dotarła do drzwi Tommy'ego. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to jego mieszkanie, mimo że przeprowadził się tu wiele miesięcy temu. Mieściło się na obrzeżach miasta w niewielkim dwubudynkowym kompleksie, o którym deweloper musiał zapomnieć natychmiast po wybudowaniu. Pomieszkiwali tu ludzie w rodzaju Tommy'ego, zawieszani między dwiema fazami życia: młodzi ludzie między domem rodziców a własnym; okolicznościowe rodziny między domami, potrzebujące na szybko jakiegoś kąta oraz mężczyźni między małżeństwami. Takiego miejsca nie można było nazwać domem. Nie było to miejsce, w którym powinien wychowywać się jej syn.

Uniosła dłoń i zapukała lekko.

— Proszę — usłyszała ze środka głos Grahama. Przekręciła gałkę i drzwi się otworzyły.

— Graham — rzuciła zdenerwowana. — Dlaczego nie zamykasz drzwi na zamek?

— Cześć, mam — odparł. — Ja też cieszę się, że cię widzę. — Grał w grę video na kanapie i niemal na nią nie spojrzał.

Darcy przeszła dwa kroki przez „przedpokój” i znalazła się w miniaturowej kuchni. Zmarszczyła nos, bo zlew był pełen brudnych naczyń. Ona nigdy nie zostawiała brudnych naczyń w zlewie, takie miała zasady. Na blacie leżało otwarte pudło z ostatnim zaschniętym kawałkiem pizzy. Angie była beznadziejną gospośią, co Darcy rzuciła na głos, nim zdążyła się pohamować.

— Nie ma jej — odpowiedział Graham.

— Przecież widzę, ale mogła posprzątać przed wyjściem, prawda? Nie może oczekiwać tego od ciebie. Jesteś niesprawny.

Na ekranie telewizora ktoś z wrzaskiem padł na ziemię. Graham westchnął i rzucił pad na kanapę, w jakiś sposób wygaszając po drodze ekran. Ostrożnie weszła do jego pokoju, jakby Angie lub Tommy mogli czaić się za rogiem, gotowi do naskoczenia na nią.

— Nie, chodzi o to, że już jej tu nie ma. W ogóle — wyjaśnił Graham. Poklepał kanapę, która była jedynym miejscem do siedzenia w pokoju. Darcy niepewnie usiadła obok niego.

— Co rozumiesz przez „nie ma jej tu w ogóle”? — dopytała Darcy, chociaż podejrzewała, że zna odpowiedź.

Spojrzał na nią, jakby była tępą.

— Wyprowadziła się.

Darcy stłumiła uśmiech, który cisnął jej się na usta. Poczowała się podniesiona na duchu; to była najlepsza wiadomość, jaką dostała od naprawdę długiego czasu. Ding-dong i wiedźma nie żyje.

— Zerwali ze sobą?

Graham westchnął głośno i podniósł pad.

— Jezu, mamó, nie wiem. — Telewizor się wybudził i Graham zaczął nową grę. Trudno było nie zauważyć, że nie jest zainteresowany kontynuowaniem tej rozmowy. Na ekranie mężczyzna biegł przez jakieś miasto i mijał kobiety ubrane jak prostytutki.

Ze wzrokiem wbitym w ekran Graham dodał: — Niespecjalnie ucieszyła ją moja obecność. Sporo się o to kłócili. A teraz jej rzeczy zniknęły. — Wskazał główną sypialnię. Darcy wzdrygnęła się na myśl o rzeczach męża pomieszanych z rzeczami Angie. O jego szczoteczce do zębów obok jej szczoteczki w małym kubku przy umywalce. O ich włosach skłębionych razem na wspólnej szczotce. O jej kobiecych produktach pod jego zlewem. To wszystko było tak intymne i bliskie. Ku swojemu zaskoczeniu poczuła nową falę zdrady. Ale Angie zniknęła. Czyżby zdrada się skończyła? I co to oznaczało?

Nie rozpędzaj się, Darcy, skarcił ją jej wewnętrzny trener. Nie cierpiała się za to, że w ogóle przyszło jej to do głowy. Chciała być jak jedna z tych kobiet, które mówią: „Nie potrzebuję go” i naprawdę tak myślą. Ale ona była z Tommym przez większość życia — przez większość, która się liczyła — a od czegoś takiego trudno się odciąć. Borykała się z tym już prawie rok, lecz niektóre więzi były po prostu zbyt mocno uformowane, żeby dało się wykonać czyste cięcie. Postanowiła, że je zostawi i że po prostu do końca życia będzie musiała je ignorować. Ale teraz? Teraz Angie zniknęła.

Przed oczami zobaczyła twarz: Clay. Mrugnęła i zniknął. Odwróciła się i przyjrzała profilowi syna. Widziała w nim siebie. Tommy’ego też.

— Wszystko w porządku? — spytała niepewnym głosem. — Zadomowiłeś się?

Minęło kilka sekund. Na ekranie mężczyzna siedział teraz w samochodzie i ścigał się z innym. Miała na końcu języka polecenie, by to wyłączył i przestał w to grać. Może mogliby rzucić winę na grę, jeśli sprawa Grahama w ogóle trafi na wokandę. Może niepoczytalność z powodu gier video była najlepszą strategią obrony.

— Jest spoko, mamó — odparł, zerknął na nią przez ramię i wrócił do gry. — To znaczy — poprawił się — jest na tyle spoko, na ile to możliwe. — Ręce na padzie zamarły i postać na ekranie przestała się ruszać. Spojrzał na Darcy z ukosa, po czym spuścił wzrok. — Zabiłem te dziewczyny, mamó. — Zamknął oczy. Spod zamkniętej powieki wyrwała się pojedyncza łza, która powoli spłynęła po policzku.

Przysunęła się, spłotła dłonie, żeby pohamować się przed otarciem łzy. Instynkt opiekuńczy był niemal nie do opanowania.

— Nie chciałeś, kochanie. Nie chciałeś.

— Może zasługuję na pobicie, więzienie, coś okropnego.

— Nie — powiedziała głosem balansującym na granicy zawziętości i przerażenia. — Nie, nie zasługujesz. Jesteś dzieckiem. I robiłeś to, co robią dzieci. Dzieci popełniają błędy. W swoim myśleniu nie wykraczają poza koniec własnego nosa. Gdybym ja miała być pociągnięta do

odpowiedzialności za wszystkie głupie rzeczy, które zrobiłam jako dziecko... — Przerwała, bo zauważyła, że Graham w ogóle jej nie słucha. Schował twarz, żeby ukryć łzy, które dołączyły do tej pierwszej i pokryły policzki taflą wilgoci.

— To jest moja pierwsza myśl od razu po przebudzeniu — powiedział przez łzy. — I ostatnia myśl, gdy kładę się spać. — Przypomniała sobie zdjęcia w jego pokoju, ukryte tak, jak inny chłopiec mógłby ukrywać „Playboya”. Pomyślała wtedy, że jeśli to zignoruje, Graham sobie z tym poradzi i zostawi to za sobą. Najwyraźniej jednak nie było to coś, co mógłby zostawić za sobą. Nikt w miasteczku nie umiał o tym zapomnieć. Będziemy musieli nauczyć się z tym żyć, pomyślała.

— Z czasem będzie lepiej. Serce uleczy się tak jak ciało.

— Cóż, może, ale serca leczy się znacznie dłużej. — Zaśmiał się ironicznie. Prawdopodobnie zrobił to dla niej. Widziała po nim, że zamyka się w sobie i cofa do miejsca, w którym wszystko było w porządku. Po raz pierwszy dostrzegła, ile wysiłku musiał włożyć w utrzymanie takiego stanu.

— Owszem. — Ona też się zaśmiała i poczochnęła mu włosy, jakby znowu miał pięć lat. W pewnym sensie zawsze taki będzie. Tak już jest z własnymi dziećmi. Niezależnie od tego, co robią lub czego nie robią, rodzice zawsze będą je kochać wbrew wszystkiemu. To najbardziej niezwykły cud, że ludzie są zdolni do takiej miłości. — Serca faktycznie leczy się dłużej. — Wyczuła w nim chęć zmiany tematu, więc wskazała kuchnię i powiedziała: — Zostawiłam książki od Leah na blacie.

— Okej — odparł. Pomyślał przez chwilę i spytał: — A mogłabyś coś jej podrzucić? Mam zrobione zadania, które mógłbym już oddać.

— Dobra robota! — pochwaliła go zbyt wylewnie i zbyt poważnie, żeby skompensować to, o czym przed chwilą rozmawiali.

Przewrócił oczami.

— To praca domowa, mam, a nie praca semestralna.

Poklepała go po ramieniu.

— Po prostu jestem dumna z ciebie, że starasz się być na bieżąco. Większość uczniów narobiłaby sobie zaległości w takiej sytuacji.

Jego głos był przytłumiony, ale i tak wyraźnie usłyszała, co powiedział:

— Dbanie o oceny to jedyne, co mi pozostało.

Chciała odruchowo zaprzeczyć, stwierdzić, że to nieprawda. Że ma poczucie humoru, przyjaciół i rodzinę, i wiele innych rzeczy. Wiedziała jednak, że on tego nie przyjmie. — Czasem mamy dość tego twojego huraoptymizmu — powiedział jej kiedyś Tommy niedługo przed odejściem. Cheerleaderką zostaje się do końca życia, pomyślała. Nie potrafiła się przed tym powstrzymać.

— Możesz przynieść te zadania? Leżą na stercie książek na moim łóżku. — Wskazał nogę, żeby zasugerować, że nie czuje się na siłach, by pójść po nie samodzielnie.

— Jasne, słonko — odparła. Wstała i ruszyła w głąb mieszkania, gdzie znajdowały się dwie małe sypialnie. — Wpadnę do Leah po drodze do domu i zostawię jej te rzeczy, żeby mogła je rano podrzucić. — Starła się, by jej głos brzmiał radośnie.

Zatrzymała się przed wejściem do głównej sypialni. Nie chciała do niej zaglądać, ale oczywiście nie mogła się powstrzymać. Zobaczyła skłębioną pościel na niepościelonym łóżku. W powietrzu dało się wyczuć zapach wody kolońskiej Tommy'ego, którą kupowała mu na każdą Gwiazdkę od początku ich znajomości. Weszła do środka. Zganiła się za to w myślach, ale nie umiała się pohamować. Podeszła do szafy i pociągnęła niecierpliwie drzwi. Musiała na własne oczy sprawdzić, czy to prawda i czy faktycznie obok ubrań jej męża nie będą wisiały żadne

kobiece ciuchy.

— Mamo? — zawołał Graham. Zamarła, jakby przyszedł za nią i przyłapał ją na tym, co robiła.

— Tak? — odparła.

— Gdzie ty poszłaś?

Pospiesznie przeniosła się do jego pokoju, wzięła zadania z łóżka i wróciła do niewielkiego salonu.

— Oglądałam sobie twój pokój. Jest taki... goły. Nie chcesz paru rzeczy z domu, żeby wyglądał bardziej... domowo?

— To nie jest mój dom — odparł i odwrócił się do telewizora. — To miejsce nie jest niczym domem.

Uśmiechnęła się do jego profilu i pozwoliła, by jego słowa wypełniły ją poczuciem komfortu. I czymś jeszcze, ukrytym gdzieś głęboko w niej na przekór wszelkim przeciwnościom. Czymś, co w sobie — urodzonej cheerleaderce — uwielbiała i czego jednocześnie nie znosiła. Czymś nieskrępowanym i niepohamowanym: nadzieją.

36. Marglyn

Niedziela

Za każdym razem, gdy Mary Claire pojawiała się w jej snach, Marglyn bała się, że widzi ją po raz ostatni. I za każdym razem w trakcie tych nocnych odwiedzin żałowała, że nie może zapaść w wieczny sen. Ale czyż jej córka właśnie tego nie zrobiła?

W najnowszym śnie Marglyn była na podwórku i obserwowała podjazd, jak w to popołudnie, gdy Hale powiedział jej o piwach. Usłyszała skrzypiący odgłos i odwróciła się. Mary Claire siedziała bez ruchu na huśtawce. Chociaż w rzeczywistości była na nią za duża, we śnie jej drobny tyłek idealnie się mieścił. Najwyraźniej robiła się coraz mniejsza. Marglyn chciała do niej podejść, ale ona zaczęła się huścić i wymachiwała przy tym nogami, przez co Marglyn musiała się jeszcze odsunąć. Takie były tu reguły, domyśliła się Marglyn. Obie nie miały wyboru i musiały się do nich dostosować.

Mary Claire zaczęła mówić, huśtając się. Jej głos emanował poczuciem pilności i jak zwykle trochę się rządziła. Ale we śnie, tej nowej rzeczywistości, Marglyn to nie przeszkadzało. Cieszyła się z tego. Cieszyła ją każda cecha Mary Claire, nawet te, które zwykle korygowała i krytykowała.

— Dlaczego nie dałaś Leah ubrań? — spytała Mary Claire.

— U... ubrań? — wyjąkała. Zignorowała tę prośbę po przebudzeniu z poprzedniego snu. Nie mogła tak po prostu bez uprzedzenia i zaproszenia zawieźć ubrań tej dziewczynie. Jak niby miała to zrobić? Pojawić się pod jej domem z torbą ciuchów i powiedzieć: *masz?*

— Tak, mam, ubrań. Tych, które wyciągnęłam dla Leah. Tych, których ona potrzebuje.

— Dodała na końcu typowe dla siebie mikrochrząknięcie i Marglyn bezwiednie się uśmiechnęła.

— Co? — spytała Mary Claire. — Co cię tak śmieszy?

— Po prostu za tobą tęsknię — odparła Marglyn.

— Ja za tobą też. — Mary Claire wzruszyła ramionami i przestała się huścić. Zahamowała stopami, aż palce u nóg zrobiły ślad na ziemi. — Dlatego do ciebie przychodzę.

— Będiesz zawsze przychodzić? — spytała Marglyn z nadzieją w głosie.

Widziała, że MC zastanawia się nad odpowiedzią. Zmierzyła Marglyn typowym dla siebie przenikliwym spojrzeniem. — Nie wiem — przyznała.

Marglyn skinęła głową i nie starała się ukryć rozczarowania.

— Mam nadzieję, że będziesz — powiedziała na wypadek, gdyby jej zdanie miało jakieś znaczenie. — To... pomaga. Że nadal cię spotykam.

— Wybierasz się jutro na spotkanie? — spytała Mary Claire. Marglyn nie zdziwiło, że wie o tym spotkaniu. Wyobrażała sobie, że jej córka ma dostęp do informacji, bo śmierć zniosła ograniczenia przestrzenne i czasowe, a tym samym poszerzyła zakres jej wiedzy i powiększyła jej pole widzenia.

— Nie zamierzałam iść — przyznała. Pozostałe matki organizowały spotkanie, lecz ona powiedziała Hale'owi, że po prostu nie pójdzie. Gdy się nie pojawi, i tak dowie się o wszystkim bez konieczności przechodzenia przez ten żmudny proces.

Twarz Mary Claire wyrażała powagę i uczciwość.

— Co się z tobą stało, mam? — spytała. — Zawsze byłaś aktywna. Podejmowałaś działania. Byłaś... — Urwała.

— Byłam jaka? — spytała Marglyn, przepelniona pragnieniem usłyszenia tego, czego córka nie umiała powiedzieć. Nagle uświadomiła sobie, że Mary Claire w każdej chwili może

zniknąć.

Mary Claire uśmiechnęła się i przechyliła głowę.

— Byłaś dobra w byciu dobrą.

Marglyn potrząsnęła głową.

— Nie, nie byłam.

Mary Claire potrząsnęła łańcuchami huśtawki.

— Owszem, byłaś. Zazdrościłam ci tego. Zazdrościłam każdej osobie, której pomagałaś, bo myślałam, że to oznacza, że musiałaś zabrać coś mnie. Ale wiesz, czego się nauczyłam?

Marglyn powstrzymała się przez podejściem do córki i uściskaniem jej. Bała się, że córka zupełnie zniknie i nigdy nie powie jej, czego się nauczyła.

— Czego, kochanie? — spytała. Serce wyrывało się jej z piersi w stronę córki, nie bacząc na to, że Marglyn stała bez ruchu. Czuła, jak ich serca wychodzą sobie naprzeciw, a gdy się zetknęły, doświadczyła przebłysku uzdrowienia. — Powiedz mi, czego się dowiedziałaś. — Uśmiechnęła się.

— Niepotrzebnie się przejmowałam tym, że okazywałaś miłość komuś innemu i że pomagałaś innym ludziom. Bo miłość to odnawialny zasób. Im więcej dajesz, tym więcej masz. — Jej uśmiech się poszerzył. — Ale ty o tym wiesz, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła, a Marglyn obudziła się w łóżku z myślą, że powinna spróbować zasnąć z powrotem. Nazajutrz miała do załatwienia parę rzeczy, o które poprosiła ją córka.

* * *

Spotkanie odbywało się w niedzielę po południu w domu Cynthii. Jej mąż, Ted, otworzył Marglyn drzwi i przywitał ją z zaciśniętymi ustami i ponurym wyrazem twarzy. Spojrzał na nią, lecz natychmiast odwrócił wzrok. Widać było, że wie, iż to ona hamuje grupę i że przyszła tu pod przymusem. Marglyn żałowała, że nie ma przy sobie Hale'a dla wsparcia, ale ktoś musiał zawieźć Roberta na korepetycje, bo nie radził sobie z matematyką, a w poniedziałek miał sprawdzian. Czasem zadziwiały ją takie sytuacje, w których musieli żyć dalej i realizować obowiązki rodziców.

Przysiadła na skraju kanapy Cynthii i przyjęła zaproponowaną kawę, bo potrzebowała kofeiny i czegoś, czym zajęłaby ręce. Trzymanie filiżanki było lepsze niż zaciskanie i rozluźnianie pięści. Gdy będzie miała ochotę krzyknąć, po prostu mocniej ścisnie filiżankę. Lepsze to niż zaciśnięcie dłoni na smukłej szyi Cynthii.

Gdy przyszła Leslie, Marglyn przywitała się z nią i przesunęła się na kanapie, żeby pokazać, że może usiąść, bo jest jeszcze dużo miejsca. Cynthia wróciła z kawą w delikatnych porcelanowych filiżankach, które przypuszczalnie dostała w prezencie ślubnym i rzadko ich używała. Przeprosiła, że zapomniała spytać Marglyn, czy ta życzy sobie cukier lub mleko. Marglyn odparła, że nie potrzebuje ani tego, ani tego, i pociągnęła łyk mocnego, czarnego płynu, jakby chciała to udowodnić.

— Nie wierzę, że pijesz czarną — powiedziała Cynthia. — Ja nie mogłabym takiej wypić. — Leslie zgodnie przytaknęła.

Marglyn nie wyjaśniła im, że przed śmiercią Mary Claire piła tylko kawę z dużą ilością mleka i cukru. Hale dogryzał jej, że to prawie deser. A ona odparowywała: — No i co z tego? — I oboje się z tego śmiali, bo nie miało to dla nich większego znaczenia, mimo że wtedy myśleli, że miało.

Ale gdy rano po wypadku Marglyn zeszła do kuchni i Hale nalewał sobie kawy, poprosiła, by też jej nalał. Powiedziała to tym płaskim, monotonnym głosem zombie, którym

zaczęli się od tamtego czasu porozumiewać. Przytaknął posępnie i nalał jej kawy do kubka. Buchająca para spowijała obłokiem jego głowę. Gdy bez słowa podszedł do lodówki po mleko, zaskoczyła i siebie, i jego słowami:

— Nie. Wypiję czarną. — I wypila cały kubek tej parzącej goryczy.

Od tego czasu piła tylko taką kawę.

Siedziała na kanapie, sączyła swoją kawę i zmuszała się do wymiany uprzejmości oraz rozmów o pogodzie, wynikach zespołu i innych zdarzeniach z Worthy, o których rozmawiało się, żeby uniknąć właściwego tematu. Marglyn cieszyła się, że mąż Leslie także się nie zjawił. Gdy Cynthia się o tym dowiedziała, powiedziała Tedowi, żeby poszedł obejrzeć mecz, na co przystał z ulgą. Sama usiadła na rozłożystym fotelu naprzeciw kanapy, lecz przypomniała sobie o swojej kawie i pobiegła po nią. Marglyn rozluźniła się nieco, że nie będzie czterech na jedną.

Po powrocie Cynthia przeszła od razu do rzeczy. Nadal z niewytłumaczalnych powodów nie miała kawy i Marglyn przez chwilę miała ochotę ją o to spytać, ale powstrzymała się.

— Chciałam zaprosić tu dzisiaj naszego adwokata, ale pomyślałam, że najlepiej, gdy spotkamy się tylko my — zaczęła. Słowa „tylko my” wypowiedziała konspiracyjnym tonem z tajemniczym uśmiechem, jakby były najlepszymi przyjaciółkami i planowały wspólny dzień w spa lub przyjęcie niespodziankę dla innej przyjaciółki.

Marglyn przemknęło przez myśl, co ma zrobić, skoro Cynthia zaszła już tak daleko, że chciała zaprosić adwokata, co sugerowało, że naprawdę są gotowe zrealizować ten pomysł. Czy miała wyjść? Przed wypadkiem przecierpiałaby spotkanie, żeby nie wyjść na nieuprzejmą. Ale nowa Marglyn, Marglyn po Mary Claire, piła czarną kawę i nie siedziała cicho, gdy ją bezpardonowo atakowano. Zgodziła się na spotkanie w celu porozmawiania, a nie zorganizowania pozwu przeciwko komuś, z kim dwa tygodnie przed wypadkiem siedziała na trybunach w trakcie meczu. To spotkanie było bezcelowe, bo Marglyn nie miała zamiaru nikogo pozywać w związku z wypadkiem. Dotarło do niej, po co tu przyszła — żeby przekazać im to osobiście.

— Uważam — powiedziała Cynthia — że należy nam się jakaś rekompensata i przyznanie się z jego strony. — Poczekala na kiwnięcie głów i uzyskała jedno od Leslie. — Sprawa w sądzie nam to zapewni. — Uniosła brwi. — Po prostu nie jestem pewna, czy on odpowie za to tak, jak powinien. Bo przecież na razie chodzi wolny jak ptaszek.

Leslie znowu przytaknęła. Robiła to tak ochoczo, że Marglyn bezwiednie pomyślała o jej córce, Keary, zawsze radosnej, uprzejmej i chętnej do sprawiania innym przyjemności. Były dokładnie takie same.

— Dzięki temu poczuujemy, że zrobiliśmy wszystko, żeby to naprawić — włączyła się Leslie i spojrzała na Cynthię, szukając jej aprobaty.

Marglyn ścisnęła mocniej swoją filiżankę. Różowe różyczki otaczały brzeg na tle szarego koronkowego wzoru. To była porcelana, jaką wybrałaby panna młoda, która ma w głowie wyłącznie serca, kwiaty i szczęśliwe zakończenie. Prawdopodobnie taką chciałaby jej córka, gdyby dożyła do własnego ślubu. *Czy wy nie widzicie, że to niczego nie naprawi? Nic już nigdy nie będzie takie, jak powinno być*, miała ochotę powiedzieć.

— Zastanawiałyście się w ogóle, jak taka sprawa wpłynie na pamięć o naszych córkach? — spytała. Spojrzała na Leslie. — Twoja córka nie miała nawet jeszcze prawa jazdy. Nie obawiasz się, że może okazać się współwinna tego, co się stało? — Pomyślała o tych puszkach po piwie, odstawionych do skupu, jakby ich nigdy nie było. Ale były. I nikt nigdy się nie dowie, jaką odegrały rolę. Nie, jeśli Marglyn postawi na swoim.

Ręce drżały jej nieco, gdy odstawiała filiżankę na stół. Brzęk odkładanej porcelany przestraszył Leslie, która spojrzała na Cynthię, bo nie wiedziała, jak zareagować. Marglyn wstała

niczym uniesiona niewidzialną ręką. — Przepraszam — dodała. Zrobiła krok w stronę drzwi wejściowych, które znajdowały się niedaleko pokoju gościnnego, w którym siedziały.

Darcy LaRue mieszkała w podobnym domu kilka przecznic dalej. Była tu kiedyś, gdy planowały zorganizowanie grilla. Teraz przypuszczalnie siedziała sama w domu. Marglyn słyszała dzisiaj rano w kościele, że w zeszłym tygodniu ktoś oszpecił dom rodziny LaRue. Ochlapał im drzwi czerwoną farbą jak w święto Paschy. Ale tragedia ominęła ten dom.

Marglyn spojrzała na dwie pary przyglądających się jej i mrugających bez opamiętania oczu. Obie rozmówczynie nie wiedziały, dlaczego wstała i co zamierza zrobić.

— Nie mogę tu zostać — wyjaśniła. — Nie mogę udawać, że to, o czym rozmawiacie, jest w porządku. — Wskazała mniej więcej w stronę domu Darcy. Postrzegła ją tak, jak na tamtym meczu nie tak dawno temu. Darcy przyszła wtedy z Grahamem oraz z przyjaciółką Faye, którą Marglyn także знаła. Graham od razu zniknął z kolegami, a Darcy dłuższą chwilę opowiadała Faye o Tommym i robiła to na tyle głośno, że Marglyn sporo z tego usłyszała.

Zrobiło jej się szkoda Darcy i ucieszyła się, że Hale nie zrobił jej tego, co Tommy. Tak bardzo ją to wzruszyło, że w trakcie meczu bez powodu objęła Hale'a i pocałowała go w policzek, a on spojrzał na nią zaskoczony i spytał: — A za co to?

— Za to, że jesteś dobrym człowiekiem — odparła. Hale w odpowiedzi pochylił się i obdarzył tak głośnym buziakiem w usta, że zawstydzony Robert naciągnął kaptur na głowę. Marglyn roześmiała się i spojrzała na Mary Claire, która właśnie wykonywała ewolucję w powietrzu, do góry nogami. I gdy znowu spojrzała na Darcy, uśmiechnęła się ze skruchą. *Przykro mi, że moje życie jest takie super, a twoje jest do dupy.*

Ależ była głupia.

— Nie pozwę rodziny LaRue. Mam swoje powody i nie wiem, czy chcecie, żebym wam je wyjaśniała.

Odczekała chwilę, żeby dać im szansę na dopytanie, czy jest coś, o czym powinny wiedzieć i co wskazywałoby na winę ich córek. Matka Keary poprawiła się na kanapie. Był to praktycznie niezauważalny ruch, jeśli ktoś nie wiedział, czego wypatrywać. Marglyn potraktowała to jako oznakę, że Leslie także nie jest pewna, czy powinny iść do sądu.

Skupiła się na Cynthii.

— Zróbcie tak, jak uważacie — powiedziała. — Ale jeśli pójdziecie do sądu, miejcie na uwadze to, że ja skontaktuję się z adwokatem rodziny LaRue. — Zwilżyła wargi i poczuła nagłą suchość w ustach. — Nie będę miała innego wyjścia.

Cynthia otworzyła usta, jakby chciała polemizować, lecz zamknęła je. Jej oczy wyglądały, jakby miały wyskoczyć z oczodołów. Spojrzały po sobie z Leslie. Żadna się nie odezwała, ale płytki oddech Cynthii zdradzał jej wściekłość jak u niewprawnego pokerzysty.

— Pójdę już — oznajmiła Marglyn. I tak też zrobiła.

37. Leah

Niedziela

Za zamkniętymi na klucz drzwiami swojego pokoju Leah zatrzymała się w trakcie ubierania i stanęła na chwilę przed tym samym lustrem, przed którym stawała jako mała dziewczynka. To lustro odzwierciedlało jej pierwsze próby nakładania makijażu, błyszczącą tiarę na głowie, śliczną nową sukienkę. Dzisiaj pokazywało jej klatkę piersiową. Zniknęły oznaki lata, czyli kontrast między opaloną i nieopaloną skórą. Leah założyła bluzę z kapturem i pomyślała o tamtym oparzeniu słonecznym i Talmadge’u za ogrodzeniem basenu. Talmadge od sobotniego poranka ignorował jej wiadomości. Wiedziała, że musi mu wyznać całą prawdę, jeśli chce, żeby jej przebaczył. Ogarniał ją coraz większy strach.

Usłyszała pukanie do drzwi i ucieszyła się, że założyła już bluzę. Jej mama szarpała za gałkę.

— Dlaczego się zamykasz, młoda damo? — Jej głos był przytłumiony przez drzwi. — Wiesz, że w tym domu nie zamykamy się na klucz.

Leah westchnęła i spojrzała w sufit. Jej mama też czasem tak robiła. Potem wstała i otworzyła drzwi.

— Przebierałam się — odparła.

Mama zmierzyła ją wzrokiem mówiącym, że wie, iż chodziło o coś więcej, ale nie będzie tego drażnić. Ostatnimi czasy często patrzyła tak na Leah.

— Masz gościa na dole — oznajmiła mama.

Leah zmarszczyła brwi.

— Kto to?

— Mama chłopaka, któremu... pomagasz — powiedziała i powęszyła w powietrzu, jakby wyczuła zapach zgnilizny. Nie akceptowała Grahama LaRue. Słyszała krążące w miasteczku plotki i, jak większość ludzi, uznała, że to on spowodował wypadek. Lecz to przecież ona uczyła Leah, żeby nie odwracać się od ludzi w tarapatach i wyciągać dłoń do potrzebujących. Leah pomyślała o Grahamie, który całe dnie siedział sam w domu. Groziło mu pobicie i cierpiął od obrażeń po wypadku. Z całą pewnością był w tarapatach i w potrzebie.

— A, pewnie przyniosła mi jego zadania do oddania jutro — stwierdziła. Gdy mijała mamę, ta stała w drzwiach jak kolumna, sztywna i niemożliwa do przesunięcia. Leah schodziła po schodach i myślała o posiadanej przez siebie mocy, o której jej matka nie miała pojęcia. Mocy, by skruszyć tę kolumnę i zachwiać całym tym utartym porządkiem.

Darcy LaRue siedziała niepewnie przy kuchennym stole z zestawem zadań w dłoniach. Wyciągnęła go przed siebie i pomachała nim, gdy zauważyła Leah.

— Przyniosłam to od Grahama. Powiedział, że fajnie by było, gdybyś to zaniósła do szkoły. — Położyła papiery na blacie. Leah miała nadzieję, że tym razem jej bracia nie zostawili po sobie żadnych lepkich śladów.

— Okej, zaniosę to jutro. — Wzruszyła ramionami. — Jeśli Worthy High pójdzie w końcu z duchem czasów, będziemy w stanie załatwić to mailowo. — Zaśmiała się sztucznie dla podkreślenia swoich słów.

— Jeśli Worthy High pójdzie z duchem czasów, całe miasteczko też musiałyby pójść — stwierdziła pani LaRue kąśliwie. — Wątpię, by tak się stało.

Leah przewróciła oczami.

— Racja — przyznała. Przez chwilę przyglądały się sobie nawzajem, wymieniając tysiące

niewypowiedzianych słów o cierpieniu, sekretach, osądzaniu i strachu. O życiu w miejscu, w którym mimo najszczerzej chęci nie dało się być sobą. Nie tylko dlatego, że inni by tego nie zaakceptowali, lecz także dlatego, że trudno tu było określić, co tak naprawdę oznacza *bycie sobą*. Leah wyczuwała, że pani LaRue ma dokładnie te same refleksje, i uświadomiła sobie, że bycie dorosłym oznacza większą niepewność, a nie mniejszą.

Pani LaRue wygładziła dłońmi leżące przed nią papiery.

— Dzięki temu mam pretekst, by odwiedzać syna — wyznała. — Więc nie przeszkadza mi to.

— Mieszka z ojcem? — spytała Leah. Dziwnie jej było, ale czuła potrzebę porozmawiania o niczym, skoro pani LaRue niespecjalnie kwapiła się do wyjścia. Leah uświadomiła sobie, że matka Grahama prawdopodobnie nie ma dokąd iść.

— Tak. Chyba się tam zadamawia. — Pani LaRue uśmiechnęła się do jakiejś myśli. Był to tylko ulotny przebłysk uśmiechu. Leah nie pytała o przyczynę, a pani LaRue nie miała zamiaru jej zdradzać. Wstała i Leah poczuła ulgę, że nie będzie musiała podtrzymywać błażej rozmowy. — Dziękuję. — Uderzyła dłonią w papiery. — Za to, że to przekażesz. I za... wszystko. — Przez jedną upiorną chwilę Leah bała się, że pani LaRue rozplacze się w jej kuchni, ale nagły dzwonek do drzwi zburzył tę emocjonalną piramidę.

Z głębi domu dało się słyszeć głos mamy Leah:

— Otworzę.

Leah i pani LaRue spojrzały po sobie. Przybycie nowej osoby oznaczało, że utknęły w tej kuchni razem. Słuchały w milczeniu, jak mama Leah otwiera drzwi i wita gościa.

— Ależ ta Leah jest dzisiaj popularna — powiedziała. — Znowu ktoś do ciebie! — zawołała. — To pani Miner! — Leah i pani LaRue wymienili zdumione spojrzenia. Gdy Leah wstała, żeby się przywitać z mamą Mary Claire, zastanawiała się, która z nich jest bardziej przestraszona — ona czy Darcy LaRue.

38. Marglyn

Niedziela

Marglyn wyciągnęła przed siebie torbę z ciuchami Mary Claire i zmusiła się do uśmiechu na widok nadchodzącej dziewczyny, tak pełnej życia. Zrzędnęła jej jednak mina, gdy zobaczyła kogoś innego, stojącego w drzwiach kuchni. Kogoś znajomego. Mrugnęła kilka razy, jakby nie była pewna tego, co widzi. To było po prostu zbyt dziwne i nieprawdopodobne, szczególnie biorąc pod uwagę spotkanie, z którego właśnie wracała. Dlaczego Darcy LaRue stoi w kuchni Leah Bennet?

Widziała ją na pogrzebie Brynne. Wszyscy ją zauważyli. W całym miasteczku dyskutowano o tym, że miała czelność się pojawić. Ale Marglyn po cichu rozumiała jej dylemat. Pojawisz się — uznają cię za nieczułą. Nie pojawisz się — okażesz brak szacunku. Darcy LaRue była przeklęta niezależnie od tego, co by zrobiła.

Teraz stały naprzeciw siebie, a Leah i jej mama utrzymywały odpowiedni i milczący dystans. Marglyn pierwsza przerwała ciszę. Czuła się winna, gdy witała się z Darcy, i miała ochotę wyznać, że właśnie wraca ze spotkania z dwiema pozostałymi matkami, które są zdeterminowane na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość jej synowi i całej rodzinie. Zamiast tego powiedziała jednak:

— Witaj, Darcy. Ja... — Pokiwała ciężką torbą, którą trzymała w dłoniach. — Przyniosłam trochę rzeczy, które mogłyby przydać się Leah. — Spojrzała na Leah i dodała: — Trochę ubrań Mary Claire. To nowe rzeczy, prawie nienoszone. Wyglądasz, jakbyś miała ten sam rozmiar — wyjaśniła, ukrywając prawdziwe wytłumaczenie: że córka przyszła do niej we śnie i zasadniczo zażądała od niej przekazania ciuchów. Nagle Marglyn przyszło do głowy, że może Mary Claire w jakiś sposób zaaranżowała całą tę sytuację. Czyżby dążyła do tego, by mama spotkała Darcy w domu Leah? Marglyn pomyślała o swojej córce w niebie, dyrygującej wszystkimi tak samo, jak robiła na ziemi. Uśmiechnęła się na tę myśl, ale uśmiech skierowała do Leah. — Myślę, że ona chciałaby, żebyś je wzięła.

Leah podeszła bliżej. Wyglądała, jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię, i Marglyn wcale się jej nie dziwiła. Sama czuła się podobnie. Ale to ona była dorosłym i musiała dawać przykład.

— Dziękuję — wymamrotała Leah i przyjęła torbę.

Mama Leah spytała, czy Marglyn ma ochotę czegoś się napić.

— Nie, dziękuję — odparła Marglyn. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było dołączenie do Darcy w kuchni Bennetów i błahe pogawędki przy stole, które doprowadziłyby do poważniejszych tematów, co z kolei doprowadziłoby Marglyn do zdradzenia Darcy planu dwóch pozostałych matek. Marglyn przypomniała sobie ostatni sen i szczere, natarczywe spojrzenie Mary Claire, która prosiła o przekazanie ubrań Leah. Myślała, że córka jest po prostu miła, ale może była kimś zupełnie innym: rozjemcą. Nigdy nie postrzegła Mary Claire w takim świetle.

Zerknęła na panią Bennett, cichą, stoicką kobietę, którą знаła tylko przelotnie. Miała ochotę chwycić ją za rękę i powiedzieć: *Nie popełnij tego samego błędu, co ja. Nie przegap swojej córki, gdy masz ją przed sobą.* Milczała jednak z pustymi dłońmi i zastanawiała się gorączkowo nad tym, co powiedzieć. To musiało być coś podsumowującego, po czym mogłaby bezpiecznie i szybko stąd wyjść.

— Cóż, miło było się z wami zobaczyć — obwieściła.

Darcy odparła szybko:

— Z tobą też. — Marglyn pomachała dłonią i odwróciła się, żeby wyjść, ale usłyszała za sobą: — W sumie wyjdę z tobą. — Serce przygniotło jej stopy, które zrobiły się tak ciężkie, że Darcy LaRue bez trudu dogoniła ją przy wyjściu.

39. Ava

Niedziela

Policja kazała jej skasować wszystkie numery telefonów do uczniów.

— Nie chcemy dawać ci okazji do nagabywania kolejnych młodych mężczyzn — wyjaśnił nachylony nad nią umięśniony funkcjonariusz i oblizał wargi. Z lubieżnym spojrzeniem dopilnował, by usunęła każdy kontakt oznaczony słowami „klasa angielskiego”. Gdy to zrobiła, pozwolono jej zatrzymać telefon. Na szczęście policja nie wiedziała o kartce, na której na pierwszej lekcji kazała uczniom na wszelki wypadek napisać swoje numery. Wątpiła, żeby dzieciaki w ogóle o tym pamiętały.

Teraz drżącymi dłońmi wyciągnęła tę kartkę z szuflady i wyszukała potrzebny jej numer, zapisany krętym dziewczęcym pismem. Leah Bennet. Przez cały weekend przekonywała się, że nie powinna tego drążyć, że powinna pozwolić, by wszystko samo się poukładało. Obawiała się jednak, że jeśli nic nie zrobi, jej życie będzie zrujnowane na zawsze, a chłopcy będą dalej robić swoje. Nie umiała zapomnieć widoku Leah w barze, gdy patrzyła na nią niewidzącym wzrokiem, a alkohol w jej krwi działał jak serum prawdy.

Musiała poznać informacje, jakie miała Leah. Nie zapowiadało się jednak na to, by dziewczyna miała jej to powiedzieć z własnej inicjatywy. Dlatego Ava wyciągnęła telefon z torebki, żeby wpisać numer. Miała jedną nieodebraną wiadomość; liczyła, że to od Claya. Ale nie, to był mężczyzna z tamtej nocy. Napisał, że cieszy się, że ją poznał i chociaż w nocy nic z tego nie wyszło, pytał, czy może się jeszcze spotkają. Jakaś część Avey miała ochotę natychmiast odpisać. Ta sama część, która kazała jej zareagować na taktyki Iana. Ta sama, która dopuściła go na tyle blisko, żeby zrujnował jej życie. Bo gdy mężczyzna okazywał jej zainteresowanie, czuła się zauważona, zrozumiana, kochana, doceniona. Pozwalała mężczyznom, by dawali jej to, czego nie miała, jakby jedynym sposobem na potwierdzenie własnej wartości było zobaczenie jej w innych — męskich — oczach.

Musiała przerwać ten schemat myślenia, który bez przerwy odtwarzał się w jej umyśle i sercu. Schemat, który w większym lub mniejszym stopniu odbijał się echem w całym jej życiu. Musiała znaleźć sposób na to, by czuć się ze sobą dobrze niezależnie od tego, co myśleli o niej mężczyźni. Nie mogła pozwolić, by ten nieznajomy czy nawet Clay mieli władzę nad jej szczęściem. Na początek skasuje tę wiadomość.

Przeciągnęła palcem po ekranie i dotknęła czerwonego przycisku „usuń”. Wiadomość zniknęła i Ava poczuła niewielką falę czegoś na kształt siły i nadziei. Może nie potrzebuje mężczyzny, żeby czuć się wartościową. Może jest w stanie znaleźć to w sobie.

Wstukała numer Leah i napisała kilka słów. Krótką prośbę, żeby się skontaktować i nie ryzykować wpadnięcia w jeszcze większe tarapaty. Po cichu liczyła na to, że może dzięki tej prośbie uda jej się z nich wyjść.

40. Leah

Niedziela

Stała w oknie swojego pokoju i ukradkiem obserwowwała dwie kobiety rozmawiające na jej podjeździe. Analizowała ich postawy, położenie podbródków, układ ramion i wyrazy twarzy, żeby określić, o czym rozmawiają. Żadna z nich nie wyglądała na szczególnie zadowoloną, ale nie sprawiały też wrażenia zdenerwowanych. Raczej smutnych. Ale nie zagniewanych. Jedna z nich — mama Mary Claire — wyciągnęła dłonie i przytuliły się przez ulotną chwilę. Przebaczenie. To właśnie zobaczyła Leah. Nie wiedziała, dlaczego w jej oczach wezbrały łzy.

Odeszła od okna, padła na łóżko i objęła małą poduszkę. Zrobiła ją lata temu na wakacyjnej szkółce biblijnej z T-shirtu przyciętego w kwadrat, zszytego i wypchanego. Od tego czasu trzymała ją na łóżku. Przyjrzała się jej teraz, próbując określić, czy to T-shirt, czy poduszka. Patrząc na nią widziała i jedno, i drugie — to, czym była wcześniej, i to, czym się stała. To pierwsze było nieodłączną częścią tego drugiego.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę — powiedziała stłumionym przez poduszkę głosem.

Do pokoju weszła mama z torbą ubrań Mary Claire.

— Chcesz je zatrzymać? — spytała. — Bo mogę je oddać na dary do kościoła. Na pewno znajdują się uboższe dziewczyny, które chciałyby mieć takie ładne rzeczy. — Głos matki był drżący i niepewny. Jakby się czegoś bała.

— Zatrzymam je — odparła Leah. — Ona chciała, żebym je wzięła. — Trzeba jednak przyznać, że nie potrafiła określić, kto dokładnie chciał, żeby je nosiła. Mama Mary Claire czy sama Mary Claire? Jeśli Mary Claire, to skąd jej mama mogła o tym wiedzieć? MC raczej nie spodziewała się śmierci i nie sporządziła ostatniej woli. Leah próbowała sobie przypomnieć słowa mamy Mary Claire, gdy wyciągała torbę w jej stronę. Powiedziała wtedy: „Ona chciała, żebyś je wzięła” czy „Ona chciałaby, żebyś je wzięła”?

Mama Leah położyła torbę przy jej szafie i zajrzała do środka.

— Skoro zamierzasz je zatrzymać, to może powinnaś pozbyć się części starych ubrań? — spytała z nadzieją, jakby ten dar był iskrą do porządkowania. Uwielbiała, gdy rzeczy miały swoje miejsce i było ich akurat tyle, ile trzeba. Zazwyczaj trzymała się z dala od pokoju Leah.

— Pewnie — zgodziła się Leah. Na drugim końcu pokoju podpięty do ładowarki telefon zakomunikował wiadomość tekstową. Do głowy przyszło jej jedno słowo: Talmadge. Nie milczał tak długo od czasu, gdy spławiła go na rzecz Mary Claire, Brynne i Keary. Nie podobała jej się ta cisza między nimi, ale nie podobało jej się też to, co musiała zrobić, żeby ją przerwać.

Jej mama zmarszczyła brwi, patrząc na telefon. Tak przynajmniej założyła Leah, bo równie dobrze mama mogła pałać niechęcią wobec tomiku Emily Dickinson, na którym leżał telefon. Nie było jasne, czego mogłaby nie lubić w tej poetce, ale z całą pewnością nie darzyła jej sympatią.

— Gdy poczujesz, że chciałabyś pogadać — zaczęła mama, która wróciła już do drzwi pokoju i stała w nich ze splecionymi dłońmi. Wyglądała na równie zakłopotaną, jak matka Mary Claire, gdy zobaczyła Darcy LaRue. — Z chęcią z tobą pogadam o... o wszystkim. Wiem... — Przerwała i przyjrzała się badawczo twarzy Leah, jakby dało się z niej odczytać jakieś odpowiedzi. Wzięła głęboki wdech i dokończyła: — Wiem, że są rzeczy, o których mi nie powiedziałaś. Być może sądzisz, że nie zrozumiesz. Ale ja... — przerwała, jakby czekała, aż Leah podsunie jej brakujące słowa. Leah milczała, więc mama dodała z takim pośpiechem, że

słowa wręcz potykały się o siebie: — Ja rozumiem więcej, niż ci się wydaje. I jestem tu. Gdybyś mnie potrzebowała. Okej?

To była najdłuższa rozmowa z mamą od kilku tygodni. I w końcu padły słowa, których Leah tak się obawiała. Ale teraz, gdy już je usłyszała, nie brzmiały aż tak złowieszczo i przerażająco. Leah poczuła się nawet... dobrze. Widziała, że mama się o nią troszczy i że chce być blisko. Może nie było to aż takie złe. Leah kiwnęła głową, a mama wyraźnie się rozluźniła, opuściła ramiona, a ściągnięte usta nieco złagodniały.

— Okej, mamó.

Poczekala, aż mama wyjdzie, po czym rzuciła się w stronę telefonu. Z wszystkich możliwych osób napisała do niej pani Chessman.

Przepraszam, że tak do Ciebie piszę. Ale chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co mówiłaś w piątek w nocy. Myślę, że to może pomóc.

Leah potrząsnęła głową, odłożyła telefon i trafiła wzrokiem na ubrania w torbie postawionej tu przez jej mamę.

Na wierzchu leżała bluzka, którą kupowały razem. MC przymierzała ciuchy na ich oczach, urządzając im pokaz mody, jak to nazywała. Stała przed lustrem i przyglądała się swojemu odbiciu z pewnością siebie, której Leah nie miała i której mogła jej jedynie zazdrościć. Ale Mary Claire nie miała już pewności siebie. Nie miała już niczego. Przepadła, a bluzka trafiła w ręce Leah. Może to oznaczało, że jej pewność także jest do wzięcia. Może nosząc ciuchy Mary Claire, Leah zyska trochę tego, czego potrzebowała.

Zsunęła się z łóżka, uklękła przy torbie i poczuła zapach utraconej przyjaciółki. Kwiecisty, pudrowy zapach, który był tak typowy dla Mary Claire, że Leah miała wrażenie, że stoi obok niej.

— Wiem, co byś zrobiła, gdybyś tu była — powiedziała na głos. — Wiem, co byś zrobiła, gdybyś znalazła się w moim położeniu. — Zaśmiała się na tę myśl. Mary Claire nie znalazłaby się w takim położeniu. Była na to zbyt bystra i silna. Może przy odrobinie szczęścia i z pomocą odpowiednich ubrań Leah też mogłaby taka być.

— Dzięki za ciuchy — szepnęła.

Wróciła do telefonu i zaczęła odpisywać pani Chessman, ale poczuła, że jeszcze nie jest na to gotowa. Odłożyła telefon i sięgnęła po leżący pod nim tomik wierszy. Tomik pani Chessman. Otworzyła go tak, jak kiedyś otwierała Biblię, na przypadkowej stronie, i pozwoliła, by jej oczy znalazły właściwe słowa. Słowa, które przyniosą jej pociechę, dadzą wskazówkę, cokolwiek. Jej wzrok padł na słowa *nadzieja* i *pierzaste*. Zupełnie jakby Emily popychała ją w stronę patykowatego skrzypka, który wyprzystojniał, gdy nie patrzyła.

Przypomniała sobie gniew w jego oczach tamtego ranka, gdy odwiózł ją pod dom i odjechał. Przypomniała sobie, jak beznadziejnie się wtedy poczuła. Ale według Emily on był nadzieją. I w pewnym sensie był pierzastym stworzeniem, skoro nazywał się Talmadge Feathers¹. Musiała do niego pojechać i powiedzieć mu to, czego nie była w stanie powiedzieć od nocy śmierci jej przyjaciółek. Nie mogła odkładać tego ani chwili dłużej.

¹ *Feathers* (ang.) — pióra — *przyp. tłum.*

41. Marglyn

Niedziela

Wróciła do domu z przekonaniem, że teraz będzie mogła sobie odpocząć. Ale jej nadzieje na odpoczynek rozwiały się, gdy zobaczyła radiowóz na podjeździe. W domu zastała funkcjonariusza policji, który siedział na kanapie z Hale'em. Obaj wyglądali nieswojo, jak dwaj konkurenci czekający na swoje wybranki. W pierwszym odruchu pomyślała, że jedna z pozostałych matek coś zrobiła po jej wyjściu i policjant przyjechał im o tym powiedzieć.

Serce podeszło jej do gardła, gdy przypomniała sobie rozmowę z Darcy sprzed kilku chwil.

— Nie obwiniam cię. Ani jego. Wypadki się zdarzają. — Powiedziała te słowa i faktycznie tak myślała. Chciałaby móc kogoś obwinić, ale nie było kogo. Może poza sobą.

— Chodzi o wypadek? — spytała i usiadła na wolnym miejscu obok Hale'a, które wyglądało, jakby trzymał je dla niej. Czyż nie tym właśnie było małżeństwo? Permanentnym miejscem obok wybranej osoby, zawsze zarezerwowanym u jej boku? Pomyślała o Darcy; zarezerwowane miejsce obok niej ziało pustką. Chwyciła Hale'a za dłoń i ścisnęła ją mocno.

— Nie, proszę pani — odparł funkcjonariusz. Przyjrzała mu się. Był młodym i niedoświadczonym policjantem. Prawdopodobnie niewiele starszym od Mary Claire. Nie dopuszczono by go do śledztwa w sprawie wypadku. Tym zajmowali się starsi funkcjonariusze. Jego działką były zapewne drobniejsze wykroczenia. Marglyn przysła do głowy straszna myśl.

— Chodzi o Roberta? Zrobił coś?

Przypomniała sobie słowa, które usłyszała od własnej matki po urodzeniu Mary Claire. Jej matka wciąż próbowała zbudować relację z córką i przestać pić. Spojrzała na Marglyn z różowym zawiniątkiem na rękach i powiedziała: — Jedyne, w czym dzieci są dobre, to łamanie ci serca.

Jak się okazało, ten jeden raz miała rację.

Hale zaśmiał się tak, jak zwykle w towarzystwie innych mężczyzn, wydobywając z siebie gromkie „ha, ha, ha”. Puścił jej dłoń i poklepał ją po kolanie.

— Nie chodzi o Roberta. — Z szerokim uśmiechem wskazał policjanta. — Pan przyszedł w sprawie dziewczyny, tej, z którą byłaś... — Nie dokończył zdania, bo nie musiał. Chodziło o Ginny. Dziewczynę, z którą była w noc śmierci córki.

Policjant wdał się w wyjaśnienia. Opuścił nieco podbródek, a jego głos zrobił się niższy.

— Dzisiaj ją zatrzymano. Za kradzież w sklepie. Przyznała się, a w trakcie przesłuchania odkryliśmy powiązanie z panią. — Przeniósł wzrok z twarzy Hale'a na Marglyn i z powrotem. Jego głos podniósł się o oktawę. — Cóż, to było po prostu... dziwne. Gdybyście widzieli jej twarz... wyglądała na winną, ale czegoś więcej niż tylko kradzież w sklepie. Jakby jej przyznanie się dotyczyło czegoś poważniejszego niż powód jej zatrzymania. Zastanawiałem się, czy mieli państwo z nią jakiś kłopot, czuli się przez nią zagrożeni lub... coś w tym rodzaju?

Hale potrząsnął głową.

— Powiedziałem mu, że poza tą jedną kolacją u nas, na której była, w ogóle jej nie widywałem.

Policjant go zignorował.

— Wyglądało to tak — ciągnął — jakby zrobiła coś strasznego wam wszystkim. Nie dało mi to spokoju, dlatego po prostu musiałem przyjechać i to sprawdzić.

— Gdzie ją zatrzymano? — spytała Marglyn. W jej głowie zaczęła się formować teoria,

która wyjaśniałaby pojawienie się jej nazwiska w związku ze sprawą. — W Peabody's?

Policjant zrobił wielkie oczy.

— Skąd pani wiedziała?

— Byłam z nią tam na zakupach w ten sam dzień... — Zerknęła na Hale'a i wróciła spojrzeniem do policjanta. — W ten sam dzień, w którym zginęła moja córka.

— Słyszałem o tym — odparł, pochylając z szacunkiem głowę, a jego głos znowu zrobił się niski. — Przykro mi z powodu waszej straty.

— Dziękuję — odpowiedziała sztywno. Była już tak bardzo zmęczona słuchaniem tych kilku słów. Wiedziała, że ludzie tak po prostu mówią, ale nie obraziłaby się, gdyby nie usłyszała ich już nigdy więcej. — Co próbowała wynieść? — spytała, żeby jak najszybciej mieć za sobą kondolencje i skupić się na aktualnej sprawie.

Policjant otworzył teczkę, którą trzymał na kolanach, i podał jej wydruk. Rzuciła na niego okiem i zorientowała się, że była to lista zwróconych rzeczy. *Ginny*, pomyślała, wodząc wzrokiem po liście. *Dlaczego?*

Wstała i zostawiła obu mężczyzn na kanapie. Czowała ich oczy na sobie, gdy przechodziła przez salon i zniknęła w drzwiach. Poszła do pokoju Mary Claire, teraz nieco bardziej pustego po wyniesieniu ubrań dla Leah. Ale na łóżku wciąż leżała zwrócona przez *Ginny* torba. *Marglyn* wzięła ją, zaniósła do salonu i bezceremonialnie wręczyła policjantowi.

— Czy to te rzeczy? — spytała ochryplym i sztywnym głosem. Patrzyła, jak przekopuje się przez ubrania i potakuje. Poczowała zalewające ją wycieńczenie, nie czysto fizyczne, lecz emocjonalne. Takie, które zagnieżdża się w klatce piersiowej i promieniuje na zewnątrz, spowodowane wyciągnięciem do kogoś pomocnej dłoni w sytuacji, w której łatwiej byłoby przejść obojętnie. Ale *Marglyn* już w tym tkwiła. Tak samo jak *Ginny*, która próbowała się tego trzymać w jedyny sposób, jaki przyszedł jej do głowy.

— Skąd pa... — zaczął policjant, ale przerwał, bo uświadomił sobie, że niektóre sprawy lepiej zostawić bez wyjaśnienia.

— Czy ona jest w areszcie? — spytała *Marglyn*.

Policjant przytaknął.

— To jej trzecie wykroczenie. Nie mieliśmy wyboru.

Marglyn kiwnęła głową. Przypomniała sobie ten wieczór, gdy *Ginny* była u nich na kolacji. Zerknęła na stół obiadowy. Wiązała z wizytą dziewczyny tak duże nadzieje. Myślała, że może *Ginny* i *Mary Claire* się dogadają, nawiążą kontakt, zrobią coś, co robią dziewczyny w ich wieku. Chciała jakoś je ze sobą zetknąć, połączyć. Wyobrażała sobie, że kiedyś będą opowiadać o tym, jak się poznały, i stwierdzą, że muszą jej podziękować.

W rzeczywistości *Mary Claire* przez cały posiłek patrzyła na wszystkich groźnie, rzucała ironiczne komentarze, krytykowała jedzenie i pisała wiadomości tekstowe, co zazwyczaj było przy stole zabronione. *Mary Claire* wiedziała jednak, że *Marglyn* nie będzie robiła ceregieli przy *Ginny*. I prawdopodobnie użyła telefonu, by sprowadzić *Brynnę* na pomoc, bo ta zajechała na ich podjazd i zatrafiła, gdy tylko skończyli jeść. *Mary Claire* wyskoczyła zza stołu, pomachała im na pożegnanie ze słowami, że ma coś do zrobienia, i pospiesznie wyszła. *Marglyn* ze swojego miejsca przy stole widziała, jak opony *Brynnę* wzniesają tuman kurzu, gdy dziewczyny odjeżdżały.

Później *Ginny* pomagała jej w zmywaniu, a *Marglyn* próbowała ją przeprosić za zachowanie *Mary Claire*, ale jej słowa były pourywane i niepewne. — Niech pani nie przeprasza, pani *Miner* — odparła wtedy *Ginny* tęsknym, zadumanym głosem. — Jestem pewna, że ona ma sporo ważnych rzeczy do załatwienia. — *Marglyn* cieszyła się z wyjścia córki. Tak przypuszczalnie było lepiej dla wszystkich. Pomyślała wtedy, że później zgani córkę za

samolubność i okropne zachowanie. Miała zamiar powiedzieć jej mniej więcej to samo, co usłyszała od niej w dzień jej śmierci. Tyle gniewu, napięcia. I złamane serce, tak jak prognozowała pijana matka.

Marglyn poczuła napływające do oczu łzy. Wściekanie się na córkę, wyznaczanie jej reguł, ganiecie za niemiłe zachowanie, pisanie wiadomości pod stołem lub zbyt późny powrót do domu. To wszystko było takim luksusem. Darem, a ona w ogóle tego nie dostrzegała.

— Gdyby zechciał pan zanieść te rzeczy do sklepu i zaoferować je w zamian za te wyniesione przez nią, to może dałoby się wycofać zarzuty? — spytała Marglyn. Ocalić, ukoić, naprostować, to były instynkty, których nie potrafiła w sobie stłamsić.

Policjant poprawił się nerwowo.

— Oj, proszę pani, myślę, że w tej chwili jest już za późno.

— Proszę — powiedziała Marglyn. — Uznam to za osobistą przysługę. To wszystko... to wszystko jest po prostu jednym wielkim nieporozumieniem.

Policjant wstał.

— Zobaczą co się da zrobić. Ale niczego nie obiecuję. Ja tylko chciałem uświadomić panią w obecnej sytuacji. — Kiwnął głową Hale'owi. — Dziękuję za wasz czas. Pójdę już w takim razie.

Kiwnął głową Marglyn i wzruszył ramionami.

— Niektórych rzeczy nie da się naprawić — stwierdził i podniósł torbę. — Ale zawsze możemy spróbować.

I wyszedł tymi samymi drzwiami, którymi kiedyś tak pospiesznie wybiegła Mary Claire.

42. Darcy

Niedziela

Telefon sygnalizował diodą nieodebrane połączenia, gdy wróciła do auta po rozmowie z Marglyn. W pierwszym odruchu pomyślała, że to Graham. Upadł, gdy był sam w domu, zapomniał jakichś istotnych kart pracy, po które będzie musiała wrócić, lub rozwścieczeni koledzy znaleźli go u Tommy'ego. Z sercem w gardle sięgnęła po telefon, ale okazało się, że dzwonił Clay. Dziwne. Nigdy nie wydzwaniał do niej raz za razem. Pewnie to coś związanego z Avą. Coś, czym może się podzielić tylko z nią.

Wrzuciła wsteczny, żeby jak najszybciej odjechać spod domu Bennetów. Miała świadomość, że przypuszczalnie jest obserwowana albo przez Leah, albo przez jej zarozumiałą matkę. Stuknęła ostatnio wybierany numer i poczekała, aż Clay odbierze.

— Darcy? — Sprawiał wrażenie spanikowanego.

— Tak? — spytała z narastającym strachem. — Wszystko w porządku? — Może stało się coś strasznego. Może Ava popełniła samobójstwo. Trudno byłoby ją za to winić. Ta kobieta zasadniczo nie miała już po co żyć. Darcy zganiła się za takie myśli, ale prawda była taka, że za każdym razem, gdy czuła się beznadziejnie lub rozpaczliwie, myślała o Avie i pocieszała się tym, że na szczęście nie jest nią. Matka zawsze jej powtarzała, że niezależnie od tego, jaka bieda nas spotka, zawsze znajdzie się ktoś, kto ma gorzej. W przypadku Darcy tą osobą była Ava.

Clay westchnął. Wyczuła, że potrząsa głową. Wielokrotnie widziała taką jego reakcję, gdy rozmawiali o Avie.

— Za pierwszym razem dzwoniłem, bo widziałem, co się święci, i pomyślałem, że jeśli się tu zjawisz, do niczego nie dojdzie. Ale nie mogłem się z tobą skontaktować, a potem było już tylko... gorzej.

W jej umyśle znowu bez zaproszenia zjawilo się imię Grahama. Ale przecież nie mógł być z Clayem. Zostawiła go w tym tandetnym mieszkanku godzinę temu, całego i zdrowego.

— Clay, co się stało? — Usłyszała panikę we własnym głosie.

— Chodzi o Tommy'ego — wyjaśnił. — Przyszedł na lunch i siedział tu w chwili, w której nie powinno go tu być. Odbywało się tu... swego rodzaju zebranie z niektórymi uczniami i trenerami w związku z tym... co zaszło. Tommy włączył się w połowie i... cóż. Zrobiło się nieciekawie.

— Jak bardzo nieciekawie? — spytała. Pomyślała o Tommym, który staje w obronie Grahama w jedyny znany sobie sposób. Z wściekłością, z wypiętą piersią, gotów chronić to co jego. Pomyślała o Tommym, opuszczonym przez Angie, który pozwolił Grahamowi u siebie zamieszkać, chociaż musiał wiedzieć, że Angie tego nie zniesie. Tommy, który nie był już jej mężem, ale od kiedy pamiętała, był miłością jej życia. Zrobiło jej się niedobrze.

— Kilku gości spytało, czy chce to rozwiązać na zewnątrz i... zgodził się. — Westchnął, aż jego oddech zaświszczał w słuchawce. — Zadzwońm po gliny, ale zanim przyjechały, zdążyli sobie wymierzyć po kilka ciosów. Tommy... Było trzech na jednego. — Przerwał. Czekał, aż Darcy coś odpowie, ale ona była zbyt skupiona na szukaniu możliwości zawrócenia, żeby pojechać do szpitala zamiast do domu. — Przepraszam, że nie próbowałem mu pomóc — dodał słabym głosem.

Pomyślała o Tommym na boisku futbolowym w czasach szkoły średniej, silnym, wysokim i boskim, unoszącym piłkę niczym berło. Nigdy nie dopuścił do siebie myśli, że już dawno nie jest tym chłopcem. A teraz był sam, zraniony i połamany. Tak jak ona.

— W porządku, Clay — powiedziała. — Dzięki, że zadzwoniłeś.

— Mogę zadzwonić do ciebie później? — spytał. Poznała po jego głosie, że zna odpowiedź.

— Prawdopodobnie będę zajęta... wszystkim — odparła. Zaśmiała się sztucznie. — Wygląda na to, że będę miała na głowie dwóch inwalidów zamiast jednego.

— Rozumiem — zgodził się. Zamilkł i w tej krótkiej przerwie poczuła, jak odsuwają się od siebie nieznacznie, jakby doszło do najdrobniejszej korekty, ale wystarczającej, żeby przestali zmierzać w kierunku, w jakim zmierzali. — Pamiętasz, jak zobaczyliśmy się wtedy na pogrzebie? — spytał.

Wrzuciła kierunkowskaz, żeby wjechać na autostradę prowadzącą do szpitala, i przyspieszyła, dostosowując się do ruchu.

— Jasne — odparła.

— Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o robieniu kurczaka w winie?

Zjechała na szybki pas i zaczęła wyprzedzać inne samochody. Jechała tędy tyle razy, gdy Graham był w szpitalu, że mogłaby to robić przez sen.

— Tak — powiedziała, ale wcale nie czuła się senna. Raczej pobudzona.

— Powiedziałem, że nie wiem, dlaczego zapamiętałem robienie tego kurczaka. Ale wiem. *Nie mów tego*, pomyślała. *Och, proszę, Clay, nie mów tego, co zamierzasz powiedzieć.*

— Zapamiętałem to, bo zakochałem się w tobie tamtej nocy. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — I chyba wciąż się z tego nie wyleczyłem.

Powiedział to, pomyślała. I zaśmiała się. Głośno. Pozbierała się.

— Przepraszam, Clay, nie powinnam się śmiać. Jestem w rozsypce. — Miała nadzieję, że usłyszał żal w jej głosie. Miała nadzieję, że znał ją na tyle, żeby wiedzieć, że nie miała zamiaru i nigdy nie chciałyby go skrzywdzić. Nie celowo.

— Masz pełne prawo być w rozsypce — odpowiedział. Usłyszała, że się uśmiecha i poczuła falę ulgi. — Darcy LaRue, to był zaszczyt towarzyszyć ci w tej rozsypce. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Odliczała kolejne zjazdy, które mijała.

— Ja też — stwierdziła najzupełniej serio.

— Domyślam się, że powinniśmy teraz zająć się własnymi rozsypkami, co?

Kiwnęła głową i łzy napłynęły jej do oczu, rozmazując światła pozostałych pojazdów. Uświadomiła sobie, że Clay nie widzi jej przytaknięcia i powiedziała:

— Chyba tak.

Zobaczyła napis *SZPITAL: NASTĘPNY ZJAZD* i nieco zwolniła.

— Mam nadzieję, że wciąż możemy być przyjaciółmi — powiedział.

Uśmiechnęła.

— Na pewno będziemy.

Rozłączyła się z poczuciem ulgi, jakby właśnie poprawnie rozwiązała test, który miała oblać. Pomyślała o tej pseudokrwii na swoich drzwiach i sztucznej krwi na sukni ślubnej. Życie w pewnym sensie zatoczyło krąg od zeszłego roku do teraz, oddało jej Tommy'ego i pozwoliło jej odzyskać dawną siebie. Dojechała do zjazdu, włączyła kierunkowskaz i docisnęła mocniej pedał gazu, śpiesząc się do swojego głupiego byłego męża, który na nią nie zasługiwał. Ale rzadko zdarzało się, by ktokolwiek dostawał to, na co zasługiwał w życiu, czy to w znaczeniu pozytywnym, czy negatywnym. Co było jednocześnie okropne i niesamowite.

43. Leah

Niedziela

Stała w drzwiach pokoju mamy i obserwowała ją przez pełną minutę, nim mama zauważyła jej obecność. Podniosła wzrok i spojrzała na nią w milczeniu. Leah wyraźnie widziała w tych oczach miliony niewypowiedzianych słów, lecz mama powiedziała tylko jedno słowo:

— Tak?

— Muszę się gdzieś dostać — odparła Leah. Samo wypowiedzenie tego na głos przyspieszyło bicie jej serca. Czuła lekkie nudności i wiedziała, że teraz może być tylko gorzej, zanim w końcu się poprawi. Ale nie wszystko naraz. Najpierw trzeba się dostać do Talmadge'a.

— Gdzie? — Mama odłożyła książkę. To był jeden z jej romansów chrześcijańskich, co w odczuciu Leah było mylącą nazwą. Pani Chessman uczyła ich o mylących nazwach. Na myśl o pani Chessman lekkie nudności przekształciły się w pełnoprawne sensacje żołądkowe. Nie wszystko naraz. Tamto będzie później. Najpierw ta sprawa.

— Muszę pojechać do Talmadge'a do domu. — Opuściła wzrok na stopy, żeby uniknąć krytycznego spojrzenia matki. — Muszę z nim porozmawiać, a nie umiem się z nim skontaktować przez telefon.

— To z nim wtedy byłaś? W noc wypadku? — Matka sprawiała wrażenie, jakby tylko czekała na takie zaproszenie do dyskusji.

Potrząsnęła głową.

— Nie. — Zaśmiała się z ironią. — Chciałabym, żeby tak było.

— Zamierzasz mi w ogóle powiedzieć, co zaszło tamtej nocy? — spytała, wstając z łóżka, i wygładziła ubrania.

— Jeśli mam ci to kiedykolwiek powiedzieć, muszę teraz dostać się do Talmadge'a. Nie jestem w stanie wyjaśnić ci teraz nic więcej, mamo. — Podniosła wzrok i trafiła na badawcze spojrzenie mamy. — Potrzebuję twojego zaufania.

Spodziewała się wykładu o tym, że zaufanie to coś, na co trzeba zapracować, a nie coś, czego można oczekiwać. Ale matka wyciągnęła tylko rękę, odgarnęła włosy Leah z ramienia i położyła na nim dłoń. Ciepło i stateczność tej dłoni wzbudziły w Leah emocje, jakich już dawno nie spodziewała się poczuć przy matce — bezpieczeństwo, pociechę, wsparcie.

— Dobrze — odparła.

— Dobrze, czyli że mi zaufasz, czy dobrze, czyli że zawieszysz mnie do domu Talmadge'a?

Mama uśmiechnęła się.

— Jedno i drugie.

— Dzięki. — Leah odpowiedziała uśmiechem. Odwróciła się, żeby się pozbierać do wyjścia, ale mama zatrzymała ją, zaciskając nieco mocniej dłoń na jej ramieniu.

— Ufam ci, Leah — powiedziała. — I mam nadzieję, że gdy poczujesz się gotowa, zaufasz mi na tyle, żeby powiedzieć mi... co się stało. — Zastanawiała się przez chwilę, czy coś jeszcze dopowiedzieć. — Prawda cię wyzwoli — dodała w końcu.

Leah zamknęła oczy i kiwnęła głową, mając nadzieję, że tak jest w istocie. Musiała się wyzwolić z tak wielu rzeczy. Gdy otwarła oczy, mama już się odwróciła.

* * *

Serce jej zamarło, gdy zajechały na podjazd domu Talmadge'a i nie było tam jego

samochodu. Mogła najpierw zadzwonić. Ale przecież i tak by nie odebrał. Odwróciła się do mamy, żeby ją przeprosić i powiedzieć, że mogą wracać, ale zanim otworzyła usta, dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Drzwi wejściowe się otworzyły, na ganku pojawił się Talmadge z kotem wijącym się między stopami i spojrzał na nie z niedowierzaniem.

— Wygląda na to, że nikogo więcej nie ma w domu — stwierdziła mama, nerwowo obserwując wejście.

— Mamo, nic się nie stanie. Muszę tylko z nim porozmawiać. — Spojrzała na matkę i dodała: — Tylko tyle. Daję ci słowo. — Rodzice uczyli ją tej frazy od najmłodszych lat, przekonując, że danie komuś słowa jest czymś poważnym i znaczącym. I honorowym.

Odwróciła głowę, żeby nawiązać kontakt wzrokowy z Talmadge'em. Zamierzała dać mu swoje słowa, powiedzieć prawdę, której nie umiała wyrazić. Przypomniała sobie wers Emily Dickinson: *prawda jest tak rzadka, że rozkoszą jest ją wypowiadać*. To prawie to samo, co wers zacytowany przez mamę. Leah miała nadzieję, że Bóg i Emily się nie pomylili.

— Dobrze, kochanie — zgodziła się matka i poklepała ją po dłoni. Spojrzała na nią ostatni raz przed wyjściem, a mama puściła jej oczko, lecz zrobiła to tak szybko, że Leah zastanawiała się, czy się nie przewidziała. — Wszystko będzie dobrze — dodała mama, potakując samej sobie. — Zobaczysz.

Leah także bezwiednie przytaknęła, a mama odwróciła się w stronę przedniej szyby, sygnalizując córce, że może już iść. Leah wysiadła i usłyszała za sobą, jak mama wrzuca wsteczny i wycofuje z podjazdu.

Uniosła dłoń i powiedziała:

— Cześć.

Kot powędrował w stronę stodoły, a Talmadge stał przez chwilę z rękami w kieszeniach i zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu wskazał na odjeżdżający samochód.

— Nie wierzę, że namówiłaś ją, żeby cię tu przywiozła.

Uśmiechnęła się z radości, że Talmadge jest skłonny do żartów. Bała się, że zbędzie ją milczeniem i da do zrozumienia, że nie ma tu czego szukać. Ale to był Talmadge, który nigdy by jej nie odtrącił. Rozejrzała się i zwróciła uwagę na otaczającą ich ciszę. Zazwyczaj wokół domu kręcili się członkowie rodziny Feathers, lecz dzisiaj nikogo nie było.

— Gdzie są wszyscy?

Wzruszył ramionami.

— W różnych miejscach. Tato wziął moje auto, bo mama musiała gdzieś zawieźć dzieciaki. A ja sobie odpoczywam. — Uśmiechnął się do niej z żalem. — Spałem na kanapie i obudziłaś mnie swoim przyjazdem.

Przewróciła oczami.

— To chyba miłe. — Nie powiedziała, że nie spała zbyt wiele od chwili, gdy odjechał, zostawiając ją na chodniku z decyzją do podjęcia. — Nie odbierałeś moich telefonów — dodała.

Znowu wzruszył ramionami i na moment opuścił wzrok, po czym spojrzał jej w oczy.

— Nie jestem w stanie rozwiązać twoich problemów za ciebie, Leah.

Miała ochotę z tym polemizować i powiedzieć mu: *Owszem, jesteś! To ty jesteś rozwiązaniem! Przy tobie wszystko wydaje się łatwiejsze. Przy tobie ból staje się łatwiejszy do zniesienia*. Ale to byłoby zbyt wiele i zbyt wcześnie, więc powiedziała tylko:

— Nie proszę cię o to.

Oparł się o futrynę i przez chwilę przyglądał się Leah badawczo.

— To po co tu jesteś?

— Bo chciałeś, żebym coś ci powiedziała... jeśli mamy... nadal być przyjaciółmi. — Czowała się głupia. Obnażona. Bezbronna. Nie znosiła tak się czuć. Ale nie było innej drogi.

Talmadge się zdecydował i postawił wyraźne ultimatum. Bycie z nim oznaczało otwarcie się na uczucia, jakich wołała unikać, i na prawdę, którą wołała ignorować.

Wyszedł z progu i wyciągnął do niej dłoń niczym *maître d'*, który zaprasza ją do środka. Kiwnęła głową i ruszyła w stronę otwartych drzwi, ale gdy była tuż przed nimi, opuścił rękę i zagroził jej przejście. Spojrzała na niego z obawą, że zmienił zdanie i każe jej wracać do domu.

— Nie musisz mi niczego mówić — powiedział. — Wystarczy mi to, że przyszedłeś z takim zamiarem.

Uśmiechnęła się, przyglądając się jego twarzy. Tak, postanowiła w tym momencie, że kocha Talmadge'a. *Nadzieja — pierzaste stworzenie*. A Talmadge miał na nazwisko Feathers². Zobaczyła w jego oczach życzliwość i akceptację. Może tego właśnie wszyscy szukali — kogoś, kto gdy czujesz się bezbronna, obnażona i przerażona, stanie przed tobą w drzwiach i spojrzy na ciebie z tak czystą miłością, że wszystko inne przestanie mieć znaczenie.

— Nie — odparła. — Chcę ci powiedzieć. Potrzebuję tego. — Gdy wypowiedziała to na głos, uświadomiła sobie prawdziwość tych słów.

Wskazał na kanapę w małym salonie w środku.

— W takim razie usiądź.

Posłuchała go i usiadła skulona jak piłeczka. Przyciągnęła kolana do podbródka i objęła je, a on usiadł obok na drugiej poduszce, zachowując odpowiedni dystans, i patrzył na nią intensywnie.

— Chcesz, nie wiem, pogadać najpierw o pogodzie lub czymś innym? Rozluźnić się?

Zaśmiała się.

— Nie. Po prostu to z siebie wyrzucę, jeśli ci to nie przeszkadza.

Kiwnął głową.

— Jasne, że nie. — Otarł dłonie o dżinsy. — To dawaj.

Wzięła głęboki wdech jak dziecko przed pierwszym skokiem na głęboką wodę. Wypuściła powietrze.

— A więc — zaczęła. — Znasz Webba Harta, prawda?

Przewrócił oczami.

— No ba. — Nie chodził do jej szkoły, ale w Worthy wszyscy znali Harta.

— Cóż, pewnego dnia przyszła do mnie Brynne i poprosiła, żebym... coś zrobiła. Dla niego. Dla szkoły. — Przełknęła. — Dla niej. — Poczula wzbierające łzy, ale obiecała sobie, że się nie rozplacze. Później będzie czas na łzy. Spojrzała na niego, a on kiwnął głową ze zmartwionym wyrazem twarzy. — Ona już to zrobiła i powiedziała, że to... nic takiego. Stwierdziła, że to konieczność i że lepiej pozbyć się tego w taki sposób. Bo wtedy, wiesz, to będzie miało znaczenie. Dla większego dobra. Bla, bla, bla.

Przerwała, bo zdało jej się, że słyszy nadjeżdżający samochód. Spojrzała w stronę okna, lecz nie zauważyła żadnego ruchu, nie licząc kota, który tropił coś w trawie.

— Więc. W pewnym sensie... przekonała mnie. Żeby to zrobić. Nie wiem dlaczego i jak.

Przypomniała sobie Brynne tamtego dnia. Miała na sobie szorty i T-shirt. Zrobiło się zimno, więc Leah zaoferowała jej sweter, lecz Brynne była zbyt dumna lub uparta, żeby go przyjąć. To nie była dziewczyna, którą należało naśladować i traktować jak lidera. Ale wtedy taka się wydawała. Leah poszłaby za nią wszędzie i tak też zrobiła.

Czasem żałowała, że nie mogły pogadać o tym po wszystkim. Powiedziałyby Brynne, że była w błędzie. Spytałaby ją, dlaczego postawiła ją w takiej sytuacji, skoro niby była jej przyjaciółką. Jednak prawdę rzekłszy, to tragiczna śmierć Brynne dała Leah odwagę, by powiedzieć to wszystko zmarłej przyjaciółce. Gdyby Brynne przeżyła, wszystko pozostałoby bez zmian. Wzdrygnęła się, mimo że opalany drewnem piec na drugim końcu pokoju pracował pełną

parą.

— W porządku? — spytał Talmadge.

Przytaknęła, oparła podbródek na kolanach i ciągnęła dalej:

— Webb miał taki... pomysł. Taki... nie wiem, jak byś to nazwał. Zobaczył w telewizji program o muzułmańskich męczennikach, na których w niebie miała czekać nieograniczona liczba dziewic. — Spojrzała na niego. — Wiesz, o czym mówię?

Uniósł brwi i przytaknął. Wiedziała, że miał ochotę powtórzyć *no ba*, ale powstrzymał się, bo czuł, że to nie pora na żarty.

— No więc Webb powiedział, że ci faceci są głupi, skoro umierają, żeby zdobyć dziewice. Bo on już miał kilka i mógłby mieć kolejne, gdyby tylko zechciał. — Czowała, że jej serce nabiera rozpędu i grozi wyskoczeniem z klatki piersiowej, jeśli powie zbyt dużo naraz. Wzięła głęboki oddech. — Stwierdził: jestem pieprzony Webb Hart. Nie muszę umierać, żeby mieć tyle dziewic, ile zechcę. Muszę tylko wygrywać mecze.

Spojrzała na Talmadge ze świadomością, że ten już wie, dokąd zmierza ta opowieść. Na moment zrobiło się absolutnie cicho. To była taka cisza, która zapada, gdy ktoś umiera. Zachęcił ją spojrzeniem, by kontynuowała.

— I tak powstało to... coś. Ten sekretny pakt między Webbem a jego głupimi sługusami, Sethem, Ianem i tymi kolesiami. Mówili, że po każdym zwycięstwie Webb zasadniczo żąda dostarczenia mu dziewicy. Uważali, że to zabawne, fajne czy... Nie wiem w sumie, co o tym myśleli. Ale przekonywali innych. — Spojrzała na niego. — Inne dziewczyny — poprawiła się. — Żeby to robiły.

— I Brynne była jedną z nich?

— Tak, wszyscy wiedzieli, że jest dziewicą, bo złożyła jakąś wielką przysięgę w jakimś kościele w połowie szkoły czy coś w tym stylu, więc żartowali z niej, że musi czekać do ślubu. A Ian i Seth... — Wzdrygnęła się, gdyż przypomniała sobie, jak Ian zdominował Sidney w szkole. Wydawała się wtedy taka malutka i przerażona. Co za niedorzeczność, że wydawała się równie przerażona tym, że to może się wydać. To miasteczko. Ci ludzie. Trzeba nimi wstrząsnąć. Leah pomyślała o pani Chessman, która mogłaby to wszystko poruszyć. Od niej mogłoby się zacząć.

Opamiętała się.

— Przepraszam, zamyśliłam się.

Talmadge uniósł dłonie.

— Nie spiesz się.

Podjęła opowieść w miejscu, w którym przerwała, starając się nie wyobrażać sobie twarzy Iana i Seta, gdy wypowiadała ich imiona.

— Ian i Seth w jakiś sposób przekonali ją, że to głupie. I że to, czego chce od niej Webb, jest... ważniejsze. — Spojrzała na Talmadge'a, bo chciała, żeby zrozumiał. — Szkoda, że nie widziałeś jej twarzy. I nie słyszałeś, jak o tym mówiła. Jakby dołączyła do jakiejś sekty czy coś. Przybierała ten wizjonerski wyraz twarzy i mówiła, że po prostu muszę to zrobić, że to jest coś... co odmienia życie.

— Kochała się w Webbie — stwierdził.

Leah potrząsnęła głową.

— Nie, to nie tak. Ona szczerze wierzyła w... w... — Zobaczyła przed oczami twarz Brynne i to jej błagalne spojrzenie. Zasadniczo nie musiała zbyt wiele mówić. Te oczy robiły wszystko. Przyszło jej do głowy, że to spojrzenie było *nachalne*. Brynne nakłaniała ją do zrealizowania tego planu. Leah pomyślała o innych słowach, z Biblii. *Usilnie prosić*. Brynne usilnie prosiła ją wzrokiem, żeby była następną dziewczyną. Patrzyła na Leah, jakby od tego zależało jej życie.

— Zmanipulował ją. — Talmadge rozwinął swoją myśl. — Zauważył, że ona coś do niego czuje, i wykorzystał to, żeby ją kontrolować. — Uniósł brwi. — Pomyśl tylko. Założę się, że to głównie ona werbowała dziewczyny. Założę się też, że nie byłaś jedyną, którą przekonała.

Leah poczuła, że serce bije jej mocniej. Uderzało o żebra, jakby chciało się wyrwać na zewnątrz. Przypomniała sobie tajemnicze nieobecności Brynne w ostatnich tygodniach. Próbowaly z niej wyciągnąć, gdzie idzie i z kim spędza czas. Odpowiadała zawsze, że musi pomóc babci, ale kiedyś pojechały pod dom jej babci i nie było tam jej samochodu. — Na pewno ma sekretnego chłopaka — westchnęła Keary. Keary uwielbiała wszystko, co romantyczne.

Ciekawe, czy była następnym celem Brynne. Może po tym, jak Brynne podrzuciła Leah Webbowi, podeszła do Keary i podrzuciła szeptem pierwsze okruchy planu. Może kusila ją perspektywą zrobienia dla zespołu czegoś, co mogły zrobić tylko wybrane dziewczyny, i udowodnienia, że jest warta miana prawdziwej cheerleaderki. Tak samo, jak przekonywała Leah.

Leah wyobraziła sobie wyraz twarzy Keary, gdyby poznała prawdę o tym, co robiła przyjaciółka. Na pewno byłaby dogłębnie zszokowana i rozczarowana, gdyby dowiedziała się, że Leah oddała swoje dziewictwo jakiemuś głupiemu futboliście z kompleksem boga i poważnie zaburzonymi wyobrażeniami o religiach świata. Keary była słodka, niewinna i urocza. Chciała, żeby ktoś zawrócił jej w głowie czekoladkami, szampanem i płatkami róż. Byłaby przerażona. Mogło ją to tak przerazić, że nie potrafiła jasno myśleć podczas jazdy. I dlatego wjechała prosto w auto z naprzeciwka. A co jeśli tak właśnie było tamtej nocy?

Leah pomyślała o Grahamie i groźbach, jakie otrzymywał. O twarzy Darcy LaRue, gdy zobaczyła mamę Mary Claire. A co jeśli poprzez wyznanie prawdy o Webbie Leah dowiedzie, że to Keary spowodowała wypadek? Albo nie tyle udowodni, co sprawi, że tak to będzie wyglądało. Może to wystarczy, żeby ocalić panią Chessman oraz Grahama.

— Leah? — ponaglił ją Talmadge łagodnym i nieco wystraszoną głosem.

— No — powiedziała. Zaśmiała się krótko, bo wypełniła ją radość i nadzieja. Pomyślała o słowach matki: „Prawda cię wyzwoli”. A co jeśli prawdę trzeba będzie nieco podkoloryzować? — Tak się zastanawiam. — Wyciągnęła luźną nitkę ze szwu swoich dzinsów. — Nad opcjami.

— Dobrze mieć opcje. — Patrzył na nią z tym typowym dla siebie wyrazem twarzy, który przypominał jej, jak bardzo ją lubi i że zawsze był jej największym fanem. Jak mogła tak bardzo o tym zapomnieć, że dała się namówić na zrobienie tego, co zrobiła? Z czasem może sobie to wybaczy. Najwspanialsze jednak było to, że z tego, co widziała, Talmadge już jej wybaczył.

— Chciałabym móc rozważyć swoje opcje tamtej nocy — powiedziała z determinacją, by dokończyć opowieść. Teraz, gdy już wiedziała, co będzie potem, aż tak bardzo się tego nie bała.

— Ale nie rozważyłaś — dopowiedział, żeby jej ułatwić. — I zrobiłaś to. — Kiwnęła głową. To oczywiście nie była cała opowieść. Był jeszcze fragment o Ianie i Secie, który zostawi dla pani Chessman.

Przysunął się do niej na tyle blisko, że zetknęli się nogami. Czują przez dzinsy ciepło jego ciała. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. A potem pocałował w czubek głowy w kojący, wręcz ojcowski sposób.

— Żałuję, że cię to spotkało — stwierdził. — Przykro mi, że mnie tam nie było.

— Mnie też — przyznała. Wtuliła się w niego i pozwoliła przyciągnąć się jeszcze bliżej. — To moja wina.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział, nieświadomie powtarzając słowa jej mamy. Słowa, których potrzebowała zarówno wtedy, jak i teraz oraz przypuszczalnie jeszcze przez długi czas. — Ciesz się, że w końcu mi o tym powiedziałaś.

— Tak bardzo się wstydziałam. Bo sama się na to zgodziłam. Ja... zrobiłam to, chociaż wiedziałam, że nie powinnam. — Zamilkła na kilka chwil i pomyślała o Ianie i Secie. O ich roli

w dopilnowaniu, by się nie wycofała. — Tak bardzo się tego wstydziłam, że nie czułam, żebym miała prawo komukolwiek o tym mówić. Ale po wszystkim, co potem zaszło, pomyślałam, że może... powinienam. Powiedzieć, co wiem. Może to okaże się... pomocne.

— Jeśli czujesz, że powinnaś, to powinnaś — skwitował. Widziała po nim, że stara się brzmieć bardziej zagorzale i pewnie, niż się czuł.

Zwilżyła usta, które nagle wyschły.

— Mogę prosić o szklankę wody? — spytała.

Talmadge przytaknął i zerwał się z kanapy. Obserwowała go, gdy odchodził, starając się wyrzucić z głowy narzucające się jej obrazy z Sethem i Ianem tamtej nocy. Nie chciała myśleć o ich dotyku, o tym, jak wepchnęli ją z powrotem do pokoju i ją wyzywali, o tym, jak trafiała ją ich ślina, gdy wykrzykiwali na nią te okropne rzeczy. Widziała w książkach kościelnych rysunki demonów i żaden z nich nie wyglądał jak Seth i Ian. A mimo to tamtej nocy byli dla niej ucieleśnieniem zła.

Talmadge wrócił i podał jej wodę, a ona wypła ją z wdzięcznością, rozpuszczając powoli gulę, która utknęła jej w gardle. Powiedziała już najgorszą część, pozostały już tylko drobne szczegóły. Poczula falę wyczerpania, która wciągała ją od środka. Oddała mu szklankę, chociaż wypła tylko połowę.

— Możesz mnie gdzieś zawieźć?

Zmarszczył brwi i ściągnął usta.

— Pewnie. Gdzie?

— Do pani Chessman. Będzie mi łatwiej, gdy zrobię to wszystko od razu. — Zaczął coś mówić, ale pohamowała go palcem. — Muszę tylko najpierw zamknąć na chwilę oczy. — Ziewnęła jak na komendę. — Nie wiem dlaczego czuję się, jakbym miała zemdleć. Muszę... trochę odpocząć.

— Dobrze — odparł. Poklepał ją po ramieniu jak nerwowy i niezręczny uczeń podstawówki. Uśmiechnęła się na wspomnienie Talmadge'a w tym wieku. Gdy był tylko jej przyjacielem. Ale teraz było inaczej. Zbliżyła się do niego i pocałowała go w usta.

— Dzięki — powiedziała i uśmiechnęła się półgębkiem na widok jego zaskoczonej miny. Odwróciła się od niego, żeby położyć się na boku z podkulonymi kolanami. Objęła poduchę dekoracyjną, która pachniała opalonym drewnem kominkiem, jego domem. Nim. Poczula, że okrywa ją kocem. A potem szybko i twardo zasnęła.

1 *Maitre d'* (franc.) — dosł. „mistrz”, oznacza głównego lokaja lub szefa kelnerów, który wita gości przy wejściu — *przyp. tłum.*

2 *Feathers* (ang.) — pióra — *przyp. tłum.*

44. Ava

Niedziela

Starala się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, nie oddychać zbyt głęboko i nie pochylać się zbyt mocno do przodu. Dłonie nieruchomo spoczywały na udach, dając jej oparcie, gdy słuchała siedzącej przed nią dziewczyny. Dziewczyny, na którą niespecjalnie zwracała wcześniej uwagę. Dziewczyny, która właściwie nie miała żadnych oczekiwań. Zobaczyła, że Leah przełyka ślinę. Mięśnie poruszyły się specyficznie pod skórą. To była drobna dziewczyna, wręcz krucha. Ale patrząc na nią, czuła jej wewnętrzną siłę. Podejrzewała, że Leah także to w sobie odkryła.

— No i poszłam tam, jak prosiła Brynne — powiedziała Leah. Wyjaśniła już pokrótce plan rozdzielczenia jak największej liczby uczennic z Worthy High przez Webba Harta, który wykorzystywał do tego jedyną kartę przetargową, jaką miał, ale za to cenioną w miasteczku przez wszystkich. Na boisku był bogiem. Bogowie dostają to, czego pragną, za aprobatą zwykłych śmiertelników.

Ava zwróciła uwagę na to, jak Leah patrzy na siedzącego po drugiej stronie pokoju chłopca. Tego samego, który był z nią w Stooges tamtej nocy. Coś między nimi było. Jakieś niewidoczne, lecz potężne iskrzenie. Ava to wyczuwała i zazdrościła im tego. Nigdy nie czuła czegoś takiego z nikim w swoim życiu, chociaż Bóg wie, jak bardzo starała się to znaleźć. Z tego powodu cały czas była otwarta, cały czas czegoś pragnęła, cały czas czegoś szukała. Wielokrotnie próbowała to stworzyć z nieznajomymi, z sympatiami, z mężczyzną, którego poślubiła. Ale siedząc tu, uświadomiła sobie, że czegoś takiego nie da się stworzyć. To albo istniało, albo nie. Ale ta świadomość nie wypełniła jej smutkiem, tylko nadzieją. Bo wciąż może jeszcze to znaleźć. Zazdrościła tym dzieciakom, że mają coś tak cennego i rzadkiego. Miała nadzieję, że zdają sobie z tego sprawę.

— Po meczu Brynne zawiozła mnie prosto na przyjęcie — ciągnęła Leah. — I zasadniczo kazała mi się wynosić z samochodu. — Przerwała na chwilę. — Więc wysiadłam.

Ava widziała, jak Leah bierze wdech i szuka wsparcia u chłopaka. Ten przytaknął, niemal nie poruszając podbródkiem, a jego oczy powoli się zamknęły i otworzyły.

— Ale wcale nie zamierzałam tego zrobić. — Leah patrzyła Talmadge'owi prosto w oczy, jakby mówiła tylko do niego. Przez chwilę Ava poczuła się jak intruz. — Myślałam, że pogadam z Webbem, powiem mu, że nie powinien tak robić, że to jest złe. Nie chciałam, żeby zezłościł się na Brynne. Myślałam... — Przerwała i wzięła kilka głębokich oddechów. Ava przestraszyła się, że na tym opowieść się urwie, ale zmusiła dłonie, by nadal leżały nieruchomo na udach.

— Myślałam, że przemówię mu do rozsądku, że go przekonam. Byliśmy w sumie swego rodzaju przyjaciółmi. Jedliśmy przy tym samym stole na stołówce i tym podobne, no i rozmawialiśmy parę razy. Sądziłam, że to ma jakieś znaczenie czy coś.

Tym razem spojrzała na Avę, która dostrzegła w oczach dziewczyny ból, prawdę i resztki strachu.

— Ale to się nie udało — powiedziała Ava, by skłonić dziewczynę do kontynuowania.

Leah potrząsnęła głową, a z lewego oka wymknęła jej się pojedyncza łza, która zostawiła na policzku wilgotną ścieżkę.

— Ian i Seth też tam byli. Ja... nie... spodziewałam się tego. — Przewróciła oczami, żeby nieco rozluźnić napięcie. — Nie wiem, czego się spodziewałam. Gdy próbowałam wyjść,

oni... stanęli przy drzwiach, żeby mnie nie wypuścić. Zwyzywali mnie i powiedzieli, że muszę zrobić to, co powiedziałam, że zrobię. Bo obiecałam. Próbowałam się wydostać, ale w końcu po prostu...

Leah ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona poruszały się w górę i w dół w próbie ukrycia emocji w środku. Ava wiedziała, że to mechanizm obronny. Wiedziała, że Leah nie może się posypać, jeśli chce dokończyć opowieść. Poprzez wyznanie prawdy o tej nocy — i tych chłopakach — odzyska część siebie, którą wtedy utraciła. Może nie w pełni. Ale chociaż trochę. A trochę, jak Ava uczyła swoje dzieci, jest lepsze niż nic. Na początek wystarczy.

— Uległaś — dokończyła Ava.

— Chciałam, żeby to się skończyło — powiedziała Leah do swoich dłoni. — Chciałam już wrócić do domu. — Podniosła głowę i spojrzała na Talmadge'a. To on był domem, do którego chciała wrócić. Wstał, podszedł do niej, usiadł na kanapie i ukrył dziewczynę w swoich szczupłych ramionach. Kołysał ją, a ona płakała. Gdy spojrzał Avie w oczy, zorientowała się, że on też płacze, tak jak ona.

Po kilku minutach Leah usiadła prosto i otarła łzy z twarzy. Spojrzała na Avę i spytała:

— Rozmazał mi się tusz?

Ava nie umiała powstrzymać uśmiechu.

— Dam ci chusteczkę, żebyś to poprawiła.

Leah kiwnęła głową, a poczucie ulgi spłynęło po niej niczym wodospad. Dała radę. Powiedziała prawdę. Był to pierwszy krok na długiej drodze, ale wykonała go.

— Jestem z ciebie dumna — powiedziała Ava. — Za odwagę i ujawnienie się. — Na potwierdzenie jej słów Talmadge uściśnął dziewczynę.

— Ci chłopcy nie są takimi aniołami, jak się wszystkim wydaje — stwierdziła Leah. — Nie są wariaci szacunku, jakim się ich darzy, tylko dlatego, że noszą szkolne kurtki i wygrywają mecze.

— Nie chcę, żeby uszło im na sucho to, co ci zrobili — powiedziała Ava, a w głowie kłębiły się jej myśli o karze dla sprawców. Nieoczekiwanie zaczęła bardziej przejmować się sprawą Leah niż swoją. Dobrze było dla odmiany pomyśleć o kimś innym i zatroszczyć się o rozwiązanie nie tylko własnych problemów. — Chcę, żebyś poszła z tym na policję. Ale nie dla mnie. Dla siebie. Oni powinni odpowiedzieć za to, co ci zrobili. Nie przejmuj się mną.

Leah obdarzyła ją słabym, lecz odważnym uśmiechem.

— Chcę powstrzymać Webba przed krzywdzeniem kolejnych dziewczyn. Wiem, że nie byłam jedyna. — Spoważniała. Ava domyśliła się, że Leah ma na myśli inne uczennice, inne ofiary. — Dziewczyn, które są zbyt przestraszone, żeby o tym powiedzieć. — Splotła dłonie jak do modlitwy i oparła podbródek na kostkach. — Dlatego chciałabym, żeby zadzwoniła pani do swojego adwokata — dodała. — Zróbmy to.

45. Darcy

Niedziela

Siedząc na krześle przy łóżku, obserwowała, jak klatka piersiowa Tommy'ego unosi się i opada, unosi się i opada. To było jak *déjà vu* — ten sam szpital, to samo piętro, może nawet to samo plastikowe krzesło, które skrzypiało przy każdym jej ruchu. Poza porodem syna i kilkoma wizytami w związku z pomniejszych urazami nigdy tu nie bywała. Nadrobiła to od wypadku.

Tommy otworzył oczy i zaczął szukać jej wzrokiem, zanim jeszcze w pełni się przebudził. Uśmiechnął się do niej z ulgą, gdy znalazł ją na posterunku.

— Zostałaś — powiedział.

Kiwnęła głową.

— Owszem.

— Dziękuję — wymruczał pod nosem. Nachylił się, by sięgnąć po kubek z wodą, stojący na stoliku przy łóżku. Darcy instynktownie zerwała się, żeby mu go podać, i przeklęła się w myślach za to, że było to dla niej tak naturalne, ten instynkt służenia mu, poświęcania mu uwagi. Opiekowania się nim. Silniejsza kobieta pozwoliłaby, żeby sam się męczył z tą cholerną wodą. Siedziałyby bez ruchu, gdy machał dłonią w powietrzu, próbując dosięgnąć kubka.

— Chcesz lodu? — spytała. Potrząsnęła dzbankiem, w którym kilka godzin temu był świeży lód. — Ten się roztopił.

Tommy pociągnął łyk przez zagiętą słomkę. Darcy nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała go pijącego przez słomkę. Wyglądał dziecinnie, słabo. Obserwowała go z zainteresowaniem.

— Nie, jest w porządku — odparł i oddał jej kubek. Odłożyła go na stół i wróciła na krzesło.

— Powiedzieli, że jutro rano możesz wrócić do domu — stwierdziła, żeby nawiązać rozmowę.

— Wnioskuje z tego, że już nie sikam krwią — rzucił żartem. Ale dostrzegła wstyd na jego twarzy, gdy to mówił.

Wzruszyła ramionami, żeby wyjść na nonszalancką.

— Nie wiem, nie pytałam. Na pewno lekarz powie ci wszystko, gdy przyjdzie oficjalnie cię wypisać.

Tommy zaczął się bawić kołdrą, żeby nie patrzeć na Darcy.

— No. Pewnie tak.

Kilka minut siedzieli w milczeniu. Z zewnątrz dochodziły odgłosy rozmów przez interkom i transportowania jakiejś medycznej aparatury oraz piski gumowych podszew na linoleum. Te widoki, odgłosy i zapachy wróciły do niej, gdy tylko przekroczyła próg szpitala. Przez kilka tygodni od powrotu do domu wyrzuciła to z pamięci, wmawiając sobie, że jest w stanie o tym zapomnieć. Ale tego miejsca nie dało się zapomnieć. Pozostawało w podświadomości na zawsze.

— W takim razie chyba sprawdzę, co u Grahama — powiedziała. — I wrócę po ciebie rano, tak?

— Nie musisz tego robić — odparł.

Przymrużyła powieki i spojrzała na niego z ukosa.

— Jeśli nie ja — stwierdziła — to kto?

Rzucił jej tak typowe dla siebie pełne żalu spojrzenie, że mogłaby przysiąc, iż czas się

zatrzymał i nie licząc podbitego oka i zmarszczek od śmiechu, które właśnie zauważyła, ma przed sobą tego samego Tommy'ego, którego zawsze znała i kochała. Tommy'ego z wcześniej, który nigdy jej nie zdradził.

— Przykro mi — powiedziała — że oberwałeś, gdy stanąłeś w obronie Grahama.

Opuścił wzrok na koldrę, miętosząc ją w zabandażowanej ręce. Darcy czekała w milczeniu, bo widziała, że Tommy układa w głowie odpowiedź. Nie spojrział na nią, gdy w końcu odparł:

— Wcale nie.

Nie zrozumiała.

— Wcale nie co?

— Wcale nie bronilem Grahama — wyjaśnił, skupiając się na wenflonie na ręce. Wodził po nim palcami drugiej dłoni i Darcy przez chwilę bała się, że go wyrwie.

— Myślałam... — zaczęła. — Myślałam, że wdałeś się w bójkę z futbolistami, którzy mu grozili.

— Kto ci tak powiedział? — spytał.

Clay ją okłamał lub opowiedział jej własną wersję prawdy, z którą mógł żyć. Ale czy każdy przyparty do muru człowiek nie robił tak samo? Tworzył sobie prawdę, z którą mógł żyć? Czy ona nie zrobiła tego samego z Grahamem? Nie wiedziała już, któremu mężczyźnie wierzyć. Uświadomiła sobie, że to bez znaczenia.

— N... nikt — wyjąkała. Ona także mogła skłamać. — Ja tylko... tak założyłam. Te groźby, jego przeprowadzka do ciebie...

W końcu na nią spojrział.

— Nie. To nie oni. To znaczy, od tego się zaczęło, ale skończyło się na Chessmanie i jego znajomych. On... coś powiedział. O tobie. — Przez chwilę patrzył na nią, przyjmując jej milczące potwierdzenie, że między nią i Clayem coś zaszło. Przypomniała sobie pocałunek w samochodzie i jak mówiła sobie potem, że to być może będzie nowy rozdział jej życia.

— Powiedziałem mu: „Hej, człowieku, to moja żona”. A on na to... — Przerwał i skrzywił się. Pozwoliła mu udać, że to ból, ale oboje dobrze wiedzieli, że nie chodziło o cierpienie fizyczne. — On na to: „Już nie”. Więc po prostu... po prostu mu przyłożyłem. Pomyślałem — kim on jest? Jakim prawem mówi mi, że nie jesteś już moją żoną? Jakim prawem w ogóle wypowiada twoje imię?

— Czy Clay... — wskazała na niego, na szpitalnym łóżku, posiniaczonego i obandażowanego. — Czy to jego sprawa?

Tommy parsknął drwiąco.

— Kilku jego pracowników wystąpiło w jego imieniu, broniąc jego honoru, jakby był jakąś panienką. — Potrząsnął głową. — Poczulem, jakby nagle cały mój gniew w związku z groźbami, wypadkiem i... — Znowu spuścił wzrok. — ...i wyprowadzką Angie wypłynął z impetem na wierzch. — Zaczął mówić ciszej. — Nie mogłem słuchać, jak wyrażał się o tobie tak, jakby miał do ciebie jakieś prawa. Jakby w ogóle cię znał. — Rzucił jej skruszone spojrzenie. — Poczulem, że tylko ty mi zostałeś, a on w tamtym momencie w pewnym sensie mi cię odbierał. No i... po prostu wybuchłem. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie wściekłem. — Przerwał. Wiedziała, że coś sobie przypomina. — Przestałem w ogóle cokolwiek czuć; wiedziałem, że mnie uderzają i kopią. Wiedziałem, że powinienem się poddać, ale nie potrafiłem. Coś w moim wnętrzu kazało mi nie przestawać walczyć.

Spojrział na nią i poczuła to coś, co zawsze między nimi było od chwili, gdy on stał na boisku, a ona przy linii bocznej i ich spojrzenia się spotkały. Coś między nimi wtedy przeskoczyło. Coś potężnego i wiążącego. Coś, co wtedy zaistniało i przetrwało aż do tej chwili.

Wmawiała sobie, że to już zostało zniszczone, że przepadło. Ale teraz tak po prostu pojawiło się na nowo.

— Nie mogłem przestać walczyć... o nas.

— Tommy... — zaczęła polemizować. Chciała powiedzieć: *Mówisz tak tylko dlatego, że cierpisz, jesteś zdezorientowany, straciłeś sympatię i wszystko jest teraz do dupy. Jestem twoją ostoją, jestem twoim fundamentem i zawsze byłam, a ty chcesz, żebym znowu się nim stała. Tommy, nie rób mi tego. To nie fair.* Wszystko to miała na końcu języka.

— Nie mów tego. — Przerwał jej dłonią z wystającym wenflonem. — Nie musisz. — Opuścił dłoń i zaczął wygładzać koldrę na nogach. — Przez ostatnie kilka lat zupełnie zniszczyłem nasze małżeństwo. I pewnie tyle samo potrwa jego odbudowywanie. Ale zamierzam spróbować. — Podniósł wzrok. — Nie powstrzymasz mnie. — Rzucił prowokacyjnie i uśmiechnął się. Wciąż był przystojny i uroczy, gdy się uśmiechał. *Niech to*, pomyślała.

— Próbuj sobie, ile chcesz — odparła i z całych sił starała się zachować powagę. Nie udało jej się. Na jej twarz wypłynął ukrywany w środku uśmiech i oboje szczerzyli się do siebie jak głupki. Było to tak absurdalne, że aż śmieszne. Więc wybuchnęła śmiechem.

46. Leah

Poniedziałek

I tak opowiedziała swoją historię. Najpierw Talmadge'owi, potem pani Chessman, a potem mamie, co było chyba najtrudniejsze. Ale musiała jej opowiedzieć, żeby mama nie usłyszała tego od kogoś innego. Czekala wystarczająco długo, dłużej niż ktokolwiek inny.

Rozplakała się, gdy to usłyszała, a potem podziękowała Leah. Nie robiła z tego powodu córce wyrzutów. Stwierdziła, że Leah ma z tego tytułu tyle problemów, że bez sensu, żeby dokładała jej jeszcze od siebie.

— Dziękuję — powiedziała mama nabrzmiałym od łez głosem. — Dziękuję, że zaufałaś mi na tyle, żeby mi to opowiedzieć. Nie wiem, czy na to zasłużyłam. Ale postaram się nadrobić to w przyszłości. Chcę być dla ciebie kimś, do kogo zawsze możesz przyjść. Okej?

Leah zgodziła się i też się rozplakała. A gdy mama ją przytuliła, poczuła, jak cała matczyna miłość wypełnia tę pustkę w jej wnętrzu. Mama trzymała ją tak przez chwilę bez słowa i Leah wiedziała, że się modli, ale nie miała nic przeciwko. Modlitwa mogła jej się teraz przydać.

Potem trzeba było opowiedzieć tę historię prawnicze pani Chessman, która miała zdecydować, co najlepiej z tym zrobić. Pani Chessman zawiozła Leah do jej biura. Wyglądała tak ślicznie, że Leah nie dziwiła się tym chłopakom, że się za nią uganiaли i widzieli w niej ucieleśnienie swoich pragnień. Przyglądała się profilowi swojej byłej nauczycielki w trakcie jazdy i starała się naśladować to zdeterminowane uniesienie podbródka. Pani Chessman powiedziała, że nie jest żadnym wzorem, ale dla Leah nim była. Pokazywała Leah, jak bronić swojej racji mimo przytłaczającego wstydu.

Leah także początkowo czuła taki wstyd, bo zrealizowała plan Webba. Zrobiła to. Mogła obwiniać Iana i Seta za zablokowanie drzwi, Brynne za nakłonienie jej do tego, rodziców o to, że wychowali ją tak, jak ją wychowali — miała miliony wykrętów. Ale w nocy, gdy leżała sama w ciemnościach, przypomniała sobie tę chwilę z Webbem. Winy za to wspomnienie nie można było rzucić na nikogo innego. Dlatego tak długo milczała. Aż dotąd.

Za każdym razem, gdy opowiadała tę historię, czuła się lżejsza i silniejsza. A kiedy nachodziła ją ochota, by coś przemilczeć, przypominała sobie Sidney Riggles i słowa Emily Dickinson. Opowiadając tę historię, mogła uchronić kogoś przed złamanym sercem. Nie będzie żyła na próżno. Wtedy to, że przeżyła, a jej przyjaciółki nie, nabierze jakiegoś sensu.

Do prawniczki ubrała się w ciuchy Mary Claire. Dawało jej to odwagę, której potrzebowała, by być kimś innym, niż była w przeszłości. Kimś odważniejszym i silniejszym, jak Mary Claire. Któregoś dnia być może przestanie potrzebować tych ubrań, żeby być taką osobą, ale na razie uznała, że ich wykorzystywanie w tym celu jest w porządku. Podejrzewała, że Mary Claire by to zaaprobowała.

Kilkumilową trasę pokonały w milczeniu, a Leah powtarzała sobie w myślach, co powie prawnicze. A potem policji, jeśli będzie taka potrzeba. Kotłowało się jej w żołądku na samą myśl, ale nie miała zamiaru wycofać się z tego planu, szczególnie z części, która miała doprowadzić do uwolnienia Grahama i wiązała się z drobnym kłamstwem. Ale Leah była przekonana, że przebieg wypadku mógł faktycznie być taki, jak zamierzała go przedstawić. W końcu nikt nie wiedział, co właściwie wtedy zaszło. Brynne mogła do niej zadzwonić, że Keary dowiedziała się o tym i jest wstrząśnięta. Keary mogła być tak wstrząśnięta, że spowodowała wypadek. Prawda czy kłamstwo, dziewczyny nie stawały się przez to ani odrobinę mniej martwe. A Graham miał przed sobą całe życie.

Powiedziała to wszystko prawniczce, która chciała, by mówić do niej Nancy. O udziale Iana i Setha. O tym, że Brynne kochała Webba i ludziła się, że gdy będzie to dla niego robić, on też ją pokocha. O tym, jak bardzo chciała zadowolić innych, co sprawiło, że nabrała zupełnie fałszywych wyobrażeń o rzeczywistości.

Pani Chessman i Nancy słuchały uważnie. Nancy osuszyła jej oczy chusteczką, pochwaliła za odwagę i powiedziała, że musi wykonać kilka telefonów. Oznajmiły Leah, że może wrócić do domu, a pani Chessman dodała, że jest ktoś, kto chciał ją stąd odebrać i kto czeka na zewnątrz. Potem zaczęła rozmawiać z Nancy, używając takich słów, jak *przymus*, *gwałt na nieletniej*, *uwolnienie od zarzutów*. Leah zostawiła je, żeby mogły się tym zająć.

Na parkingu przed biurem czekał na nią Talmadge. Stał przy swoim samochodzie ze skrzypcami w dłoniach. Gdy się zbliżyła, wsunął skrzypce pod podbródek. Zauważyła tatuaż, który kilka miesięcy temu skłonił ją do ucieczki w przeciwną stronę.

Postanowiła, że gdy będzie mogła, też zrobi sobie tatuaż. Piórko na ramieniu, plecach lub w miejscu, w którym tylko on będzie je mógł zobaczyć. Przeszyło ją coś dziwnego, coś dzikiego i pierwotnego, gdy wyobraziła sobie siebie z Talmadge'em kotłujących się nago. I po raz pierwszy od tych wszystkich zdarzeń ta myśl jej nie przerażała.

— Byłbym zapomniał! — powiedział i błysnął oszłamiającym uśmiechem. Opuścił skrzypce, podszedł do drzwi od strony kierowcy i wyciągnął tomik wierszy. Wręczył go jej i wskazał łokciem wystającą zakładkę, jednocześnie wsuwając skrzypce z powrotem pod podbródek. — Otwórz — polecił.

Zaczął grać jakiś utwór, którego nie знаła, piękny i porywający. Otworzyła książkę, ciesząc się, że nie musi patrzeć prosto na niego. Poczowała jego wzrok na sobie, gdy czytała: „Nadzieja — pierzaste stworzenie/ Mości się w duszy na grzędzie/ Śpiewa piosenkę bez słów/ I zawsze śpiewać będzie¹”. Podkreślił fragment o piosence bez słów, którą zawsze śpiewać będzie.

Utwór — piosenka bez słów — się skończył, więc spojrzała na niego.

— Skomponowałem to dla ciebie — oznajmił.

— Piękne. — Zamknęła książkę i przycisnęła do piersi.

— Zawsze śpiewać ją będę — dodał.

Łzy napłynęły jej do oczu.

— Teraz to wiem. — Zaczęła płakać. — Przepraszam, że tak późno to dostrzegłam.

Przełożył skrzypce do jednej dłoni, a drugą przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

— Teraz wiesz — powiedział w jej włosy. — I tylko to się liczy.

Stali tak przez długi czas. Oddychała i chłonęła tę chwilę. Czowała, jak wypełnia ją od środka, i wiedziała, że zostanie tam na zawsze. Pomyślała o słowach *kocham cię*, ale nie wypowiedziała ich na głos. Pomyślała, że Talmadge i tak je czuje, bo jej uczucia na zawsze zostały splecione z jego i są ulokowane w tym samym miejscu, gdzie jego muzyka. W ostatnim bezpiecznym miejscu na świecie, jakie znała. Poza tym, będzie jeszcze czas na wyznawanie miłości. Będzie jeszcze czas na wszystko. Tamtej nocy straciła coś przez nieobecność w samochodzie, lecz coś także zyskała: życie i szansę, by je przeżyć.

¹ Fragment wiersza Emily Dickinson *Hope is the Thing with Feathers* w tłumaczeniu Ludmiły Marjańskiej — *przyp. tłum.*

47. Ava

Wtorek

12 stycznia

— Wystarczy, że tu podpiszesz, żeby złożyć to oświadczenie — powiedziała Nancy, podsuwając jej dokument. — Przeczytaj, jeśli chcesz, ale zasadniczo ujęłam w nim to, o czym rozmawiałyśmy — dodała i wskazała dokument podbródkiem.

Ava kiwnęła głową, zachowując stosowną powagę, chociaż miała ochotę podskoczyć z nieklamanej ulgi. Opowieść Leah wstrząsnęła miasteczkiem, mimo że nie doprowadziła do wielkiej bitwy w sądzie, jak pierwotnie myślały. Zamiast tego doszło do nieformalnego spotkania chłopców, trenerów, rodziców i prawników. A gdy prokurator okręgowy nie kwapił się z postawieniem zarzutów, bo Leah się zgodziła, a inne dziewczyny, jak Sidney Riggle, twierdziły, że nic takiego nie zaszło, Nancy stwierdziła z uśmiechem:

— Znam Worthy. Po wyczerpaniu środków prawnych należy sięgnąć po środki obyczajowe. Odwołamy się do wyższej siły. — Puściła oczko do Leah i Avy. — To zadziała, zobaczycie. — I zadziało.

Wspomnianą przez Nancy wyższą siłą nie był Bóg — nie musiały sięgać aż tak wysoko. Gdy rodzice i trenerzy zwietrzyli, że Leah planuje upublicznienie swojej historii, zaczęli naciskać chłopców, by zrobili wszystko, co konieczne, żeby to uciszyć. Dorośli nie chcieli splamić mistrzowskiego sezonu skandalem, a chłopcy nie chcieli, by opinia publiczna uznała ich za godnych pogardy. Tego rodzaju smród ciągnie się za człowiekiem przez całe życie.

Koniec końców wszyscy przystali na żądania Leah. Ian i Seth przyznali się do udziału w tym, co spotkało Leah tamtej nocy. Ian zeznał także, że to on wysłał sobie zdjęcia Avy, gdy znalazł je na jej telefonie. A Webb musiał przerwać kampanię rozdawiania uczennic. Tak naprawdę nie miał innego wyjścia. W Worthy zawsze ktoś patrzy.

To było małe zwycięstwo Leah. Wygrała w imieniu wszystkich dziewczyn zbałamuconych przez chłopców. Wygrała także dla Avy. Gdy Ian przyszedł ją przeprosić, jego ojciec przez cały czas ścisnął go za ramię. Leah miała nadzieję, że robił to tak mocno, żeby zostawić ślad.

Nie było to więzienie, ale przynajmniej coś.

Warunki ugody Avy za wiadomości tekstowe były rozsądne: sześć miesięcy zawieszenia i zredukowanie oskarżeń do jednego: udziału w demoralizacji nieletniego. Była to stosowna kara za jej głupotę i poddanie się chwili. Z czymś takim mogła się pogodzić.

Ava postanowiła wyjechać z Worthy najszybciej, jak to możliwe. Planowała przeprowadzkę do Macon. Znajdzie tam mieszkanie, w którym będzie mogła przyjmować dzieci, zdobędzie pracę i wtopi się w tłum. Worthy zawsze będzie o niej szeptać i wątpić w jej niewinność. W Worthy zawsze będzie outsiderem. Ale w Macon zacznie nowe życie, wystarczająco daleko od tego wszystkiego, co tu zaszło.

Wzięła długopis i umieściła go nad linią wskazującą miejsce na jej podpis. Przez głowę przemknęła jej myśl, że ma niebywałe szczęście, iż Leah zrobiła to, co zrobiła. Do teraz nigdy nie uważała się za szczęściarę. Z tą myślą przyłożyła długopis do papieru i podpisała podsunięty jej dokument.

48. Marglyn

Czwartek

Stała w pokoju Mary Claire ze zwojem worków na śmieci w dłoni. Zabierała się do tego od trzech dni, ale nigdy nie umiała wykroczyć poza tę pierwszą fazę. Wystawili dom na sprzedaż, więc musiała coś zrobić z pokojem MC. Hale sądził, że najlepiej będzie rozdać jej rzeczy. Poza nielicznymi, najcenniejszymi pamiątkami wymazał ją. Jakby jako dziewięciolatka nie rozwiesiła kartek z napisem *TEREN PRYWATNY*, jako sześciolatka nie błagała, by pomalować jej pokój na różowo i jako czternastolatka nie wykradała się z domu przez okno.

Marglyn podeszła do jej łóżka i położyła na nim zwój. Pierwszy krok. Tylko na tyle jest w stanie się dzisiaj zdobyć. Nie była gotowa pójść dalej i nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie. Będzie musiała porozmawiać z Hale'em o tym, że potrzebuje czasu. Jej wzrok padł na teczkę, którą przyniosła kiedyś młoda pani pedagog. Sięgnęła po nią. Jeśli nie była gotowa na posprzątanie pokoju, przynajmniej przeczyta to, co jest w środku. Zawsze to jakiś progres.

W teczce znalazła dowód przygotowań Mary Claire do koledżu w postaci odręcznej listy wybranych placówek. Na pierwszym miejscu był Uniwersytet Georgii, otoczony gwiazdkami. Marglyn wyobraziła sobie swoją małą córeczkę w stroju cheerleaderki tej uczelni na Halloween trzy lata z rzędu, z blond kucykiem podskakującym wysoko na jej głowie i czerwono-czarną wstążką zawiązaną na gumce, tak szeroką, że według Hale'a wyglądała jak śmigła helikoptera.

Mrugnęła, by odpędzić łzy, i zaczęła przerzucać kartki. Przeglądała odpowiedzi w kwestionariuszach, listę zajęć, w których MC brała udział, żeby zwiększyć swoje szanse na przyjęcie, listę osób, jakie zamierzała poprosić o napisanie rekomendacji. Było tam całe jej przyszłe życie, które zamierzała przeżyć w pełni. Czasem Marglyn ogarniała taka wściekłość na tę niesprawiedliwość losu, że zgrzytanie zębami rezonowało jej w całej czaszce. Już miała rzucić teczkę z powrotem na łóżko, gdy dostrzegła całą stronę wypełnioną odręcznym pismem córki. Była to ostatnia kartka w teczce. Opadła na łóżko, żeby ją przeczytać. Wciąż była wstrząśnięta, lecz tym razem z innego powodu.

Na górze strony była przyklejona notatka:

Szkic eseju: Proszę go przeczytać i dać mi znać, czy jest okej!!

Na końcu notatki Mary Claire narysowała wielką uśmiechniętą buźkę. Marglyn oderwała notkę, żeby przeczytać całą pracę.

Temat: Opowiedz o kimś, kto cię inspiruje.

Wczoraj moja mama zaprosiła na kolację nieznaną dziewczynę. Zauważyła ją idącą poboczem w strugach zimnego deszczu i zaoferowała jej podwiezienie do domu. Podczas jazdy wypytywała ją o jej życie i dowiedziała się między innymi o jej trudnościach chociażby ze zwykłym dostaniem się do szkoły i powrotem z niej czy ze zdobyciem jedzenia i ubrań — krótko mówiąc, ze wszystkim, co mi zawsze było po prostu dane.

Mama powiedziała mi, że zrobiło jej się tak żal tej dziewczyny, iż zaprosiła ją na kolację. Nie poprzestała na zwykłej podwózce. Nie poprzestała na okazaniu chwilowego współczucia i podążeniu dalej ze swoim życiem, jak zrobiłaby większość ludzi, uznając, że wyczerpali już na ten dzień limit dobrych uczynków. Ona zrobiła coś więcej. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, na swój sposób zmieniając świat na lepsze.

Nie zawsze się z nią dogaduję. Czasem jej dobre uczynki działają mi na nerwy. Czasem

jest to dla mnie niewygodne i żenujące. Wiem, że brzmi to egoistycznie, i chciałabym taka nie być.

Pragnę troszczyć się o ludzi, którzy potrzebują pomocy, i coś dla nich robić. Nie chcę poprzestawać na mówieniu: „Och, pomodlę się za ciebie”, jak robi większość. Nie chcę udawać, że niczego nie zauważyłam, i wracać do swoich zajęć. Nie chcę narzucić sobie tylu zajęć, żeby przestać cokolwiek zauważać. Moja mama okazuje troskę i działa. Myślę, że to jest coś, czym zmienia świat na lepsze.

Mama jest moim bohaterem. I chociaż nigdy jej tego nie powiedziałam, mam nadzieję, że któregoś dnia będę miała szansę na okazywanie podobnej dobroci. Może na razie przynajmniej powiem jej, jak bardzo jestem z niej dumna. I że powinna nadal robić to, co robi. I że mam nadzieję, że kiedyś będę taka, jak ona.

Marglyn przycisnęła pracę do piersi i szepnęła w górę: „Dziękuję, kochanie”. Łzy płynęły jej po policzkach, gdy kołysała papier tak, jak chciałaby kołysać córkę. Wyobraziła ją sobie tutaj, w swoich ramionach. Czuła jej różany zapach, jej delikatną młodą skórę i widziała ją przy sobie taką, jaka powinna być. Przytuliła mocniej list z myślą, że to chyba najcenniejszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymała, przesyłka zza grobu, cud, dzięki któremu ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do niej Mary Claire, nie były tak naprawdę jej ostatnimi słowami.

Wstała. Zabrała torebkę i klucz do samochodu. Wsiadła do auta i ruszyła. Po drodze wstąpiła do Trout's po bukiet kwiatów. Jechała na cmentarz, co zdarzało jej się bardzo często, szczególnie teraz, gdy skończyły się sny z córką. — Będziecie chciały mieć miejsce, w które można pojechać — powiedział im dyrektor domu pogrzebowego. I miał rację. W tej chwili miejsce nad jeziorem wzywało ją, jakby sama Mary Claire umówiła się tam z nią na spotkanie.

Wzięła kupiony w ostatniej chwili bukiet i po cichu, z namaszczeniem ruszyła ścieżką w stronę miejsca pochówku dziewcząt. Zauważyła jakiś ruch i zamarła z obawy, że spotka tam jedną z pozostałych matek. Unikała ich od tego felernego spotkania w sprawie pozwu. Jak dziecko zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu kryjówki, w której mogłaby się przycisnąć. Ale gdy przyjrzała się uważniej, zorientowała się, że to wcale nie jedna z matek. Ktoś stał nad grobem Mary Claire. Marglyn rozpoznała ją w ułamku sekundy. Na grobie leżała gałązka sztucznych kwiatów, jakie można kupić w Dollar General. A nad grobem, poruszając wargami, jakby coś mówiła, stała Ginny.

Marglyn podeszła bliżej. Szum poruszanych butami liści zwrócił uwagę dziewczyny, która wzdrygnęła się i odwróciła. Gdy zobaczyła przed sobą Marglyn, zbladła i zaczęła się wycofywać, przepraszając.

— Już sobie idę, już sobie idę — powiedziała. A potem odwróciła się i pospiesznie, niemal biegiem ruszyła w stronę wyjścia.

— Ginny! — zawołała za nią Marglyn głosem, który rozniósł się między drzewami i po jeziorze. Był nietypowo ciepły styczniowy dzień z uwielbianym przez Marglyn niemożliwie błękitnym niebem, bez chmur, z widokiem prosto na raj. Spojrzała w górę z nadzieją, że Mary Claire ją obserwuje i jej kibicuje. — Nie musisz iść! — Pomachała do niej, żeby wróciła.

Ginny zatrzymała się i przez chwilę bacznie się jej przyglądała. A potem ruszyła z powrotem, powoli i niepewnie. Spotkały się przy grobie Mary Claire, ale nie powiedziały do siebie ani słowa. Stały w milczeniu, jakby czekały, aż Mary Claire do nich dołączy. Ale Marglyn wiedziała, że córka już to zrobiła. Że była z nimi przez cały czas.

— Zastanawiałam się — powiedziała Marglyn — czy nie chciałabyś wpaść na kolację. — Pomyślała o ulubionym daniu Mary Claire, które zjadała niezależnie od tego, na jakiej aktualnie była diecie: spaghetti i klopsiki mięsne. Mogłaby je przyrządzić. Nakryłaby do stołu i tym razem kwiaty trafiłyby na środek, a nie na grób. Zostawiłaby krzesło Mary Claire, zarezerwowane dla

niej na zawsze. Ale dostawiłaby kolejne dla Ginny. Zawsze jest miejsce dla jeszcze jednego gościa.

Dziewczęta

Po

To pierwszy mecz nowego sezonu futbolu. Nie każdy, kto był tu w zeszłym roku, jest tu dzisiaj. Ale to nic takiego. Wciąż jesteśmy w Worthy, tylko nieco odmienione.

Nie widać nas tam, między kibicami. To też nic takiego. Już jakiś czas temu przestałyśmy oczekiwać, że ktokolwiek nas zauważy. Jesteśmy obecne w wietrze, który jest już nieco chłodny. Jesteśmy w granej przez zespół muzyce, okrzykach uniesienia lub rozpacz, odgłosach zderzeń zawodników na boisku. Wciąż się tu kręcimy i wciąż stanowimy część miasta, tak jak kiedyś.

Mieszkańcy Worthy to wiedzą. Czują nas. Wiedzą, że zawsze będziemy wśród nich, kibicując z nimi jak zawsze. Tyle że z innego miejsca. Obserwujemy, jak wszyscy układają sobie życie. Przesyłamy im miłość, którą tu odkryłyśmy i która nigdy się nie kończy. Brynne przesyła jej najwięcej, bo ona najlepiej wie, co to znaczy jej pragnąć. Niektórych rzeczy związanych z Worthy się nie zapomina i Brynne zapamiętała głównie to, jak mylnie miała wyobrażenie o miłości. I jak bardzo jest szczęśliwa, mając jej teraz pod dostatkiem.

Ava Chessman nie mieszka już w Worthy. Przeprowadziła się do Macon i dzięki swojej prawnicze zdobyła pełne prawo do opieki nad dziećmi. Pracuje jako asystentka swojej prawniczki i lubi to. Zastanawia się nawet nad kontynuacją edukacji, by zostać praktykantem adwokackim. Wszystkie uważamy, że to chyba byłoby dla niej najlepsze, przynajmniej na razie. Pani Chessman poznaje kogoś nowego, kogo wcześniej nie знаła zbyt dobrze: siebie.

Clay wciąż prowadzi restaurację. On i Darcy raczej nie są już przyjaciółmi, ale okazują sobie sympatię, gdy się spotykają, mimo że Clay i Tommy nadal jeżą się na siebie, emitując w powietrze tyle testosteronu, że wszyscy go czują. Czasem, gdy Darcy przychodzi z Tommym na kolację do Chessmana, wymieniają z Clayem spojrzenia. Patrzą na siebie o sekundę za długo, bo oboje pamiętają ten pocałunek i zastanawiają się nad tym, co by było gdyby. Ale nigdy nie dochodzi do niczego więcej. I nigdy nie dojdzie. Darcy jest dziewczyną Tommy'ego. Zawsze była i zawsze będzie. Póki co nie mieszkają razem, ale powoli się do tego przymierzają. I tylko takiego rozwoju związku Darcy w tej chwili potrzebuje.

Talmadge w tym roku szkolnym poszedł do Worthy High z Leah. Zaprosił ją na zjazd absolwentów. Leah wybiera się z mamą po sukienkę do Atlanty, a jej mama nawet nie wspomniała o tym, jak bardzo grzeszny jest taniec. Leah cieszy się, że Webb, Ian i Seth zniknęli. Wszystkie się cieszymy. Teraz grają uniwersytecką piłkę i są zmartwieniem innego miasta.

Graham uniknął rozprawy sądowej po tym, jak Leah zeznała, że dzwoniłyśmy do niej tamtej nocy kilka minut przed wypadkiem i że powiedziałyśmy jej, że Keary jest zrozpaczona, bo dowiedziała się, co Leah zamierza zrobić. I że na samą myśl o tym wychodzi z siebie. Leah powiedziała policjantom, że błagała Keary, by ta nie prowadziła, bo bała się, że coś może się stać. Mimo że wcale tak nie było.

Nie dzwoniłyśmy do Leah, bo Brynne powiedziała nam, że Leah jest teraz zajęta i że zobaczymy się z nią później. Ale śmierć zrobiła z nas swego rodzaju święte, więc policjanci nie czuli potrzeby sprawdzania naszych telefonów i podważania zeznań Leah. W jej oczach było to drobne kłamstwo, lecz na tyle duże, żeby oczyścić Grahama LaRue z jakichkolwiek zarzutów. Zgadza się z nią: Graham zasługuje na drugą szansę. My też ją dostałyśmy. Stałyśmy się ulubienicami Worthy — utraconymi księżniczkami, które zginęły tragiczną śmiercią bez swojej winy. Mimo że wcale tak nie było.

Co kilka tygodni Leah przychodzi na nasze groby ze świeżymi kwiatami. Opuszcza

omentarz z wdzięcznością, że nie była wtedy z nami. Czasem przychodzi z nią jej nowa przyjaciółka. Ginny. Mama Mary Claire je ze sobą poznała. I chociaż powinnyśmy stwierdzić, że nawet w połowie nie jest tak dobrą przyjaciółką, jak my, to daje radę. Leah ma jeszcze przed sobą tak wiele. Widzimy to z miejsca, w którym jesteśmy.

Czasem rozmawiamy o tym, co faktycznie zaszło tamtej nocy i nad czym mieszkańcy wciąż deliberują, lecz żaden nie trafia w sedno. Przypominamy sobie, jak jechałyśmy drogą dojazdową do Mary Claire z podekscytowaną i nerwową Keary za kierownicą. Keary żałowała, że Leah nie kieruje, i chciała przycisnąć Brynne, żeby ta zdradziła powód nieobecności przyjaciółki. Ale najpierw musiała podzielić się własnym sekretem. Wybrała chwilę, gdy zbliżałyśmy się do skrzyżowania. Po prostu nie mogła już dłużej wytrzymać.

— Widziałam Iana i tę nauczycielkę na zastępstwo, panią Chessman. Obejmowali się w przerwie, gdy wróciłam do szatni po aspirynę — wyrzuciła z siebie, a potem obejrzała się na nas, żeby się upewnić, że słyszałyśmy. — Obejmowali się jak chłopak z dziewczyną — dodała, żeby nie było wątpliwości, do czego zmierza.

Wybuchnęłyśmy śmiechem.

— Przestań zmyślać — powiedziałyśmy. — Ian nigdy nie dobierałby się do starej baby! Przecież może mieć każdą dziewczynę w szkole! — Jeszcze tydzień temu Ian był chłopakiem Mary Claire, więc ona szczególnie nie mogła się z tym pogodzić. Śmiałyśmy się z niej tak długo, aż jej twarz zrobiła się czerwona z zażenowania i czegoś jeszcze: gniewu.

Odwróciła się do nas. Oczy błyszczały jej w ciemnym aucie.

— Nie kłamie! — To było takie typowe, że jej nie uwierzyłyśmy, typowe dla tego miasteczka, żeby sądzić, że wielki Ian Stone by się do tego nie zniżył. Ale ona wiedziała, co widziała: wyraz twarzy pani Chessman, jakby została na czymś przyłapana, i wygłodniałe spojrzenie Iana.

Odwróciła się w stronę przedniej szyby, z frustracji i braku doświadczenia zapomniała rozejrzeć się przed włączeniem się do ruchu i z ciężką z wściekłości stopą na pedale gazu wjechała na główną ulicę. Prosto przed mknący samochód prowadzony przez znanego nam dobrze chłopaka, który do tego momentu wygrywał swój wyścig.

Podziękowania

Ta książka została dokończona po wypadku, po którym przez jakiś czas nie mogłam używać prawej ręki. Jako praworęczna pisarka znalazłam się w ciężkiej sytuacji i sądziłam, że nigdy nie skończę.

Dziękuję wszystkim ludziom, którzy wypełnili pustkę spowodowaną w moim życiu rodzinnym przez wypadek — przyjaciółkom, członkom dalszej rodziny i sąsiadom, którzy przynosili posiłki, wysyłali podarki, modlili się i wspierali nas. Jest Was zbyt wielu, żeby wspomnieć wszystkich, ale Wy wiecie, o kim mówię.

Chciałam także podziękować specjalistom medycznym, szczególnie mojej fizjoterapeutce Susan Aiken, która nie pozwalała mi się poddać w ćwiczeniu ręki i która poza tym przeczytała wszystkie moje powieści, co wykracza poza obowiązki osoby prowadzącej rehabilitację. Susan, kiedyś powiedziałaś mi, że dłonie to specjalizacja, której wielu terapeutów nie chce wybierać. Cieszę się, że Ty ją zrobiłaś.

Dziękuję także Curtowi, który wysłuchiwał moich lamentów, że już nigdy nie będę pisać. A potem zapewniał, że będę, i dawał mi siłę, bym także w to uwierzyła. Każda opisywana przeze mnie w tej czy innej książce pozytywna małżeńska chwila bazuje na tym, co przeżyłam z Tobą.

Dziękuję moim dzieciom — Jackowi, Asleigh, Mattowi, Rebekah, Bradowi i Annaliese — z których jestem dumna i które przypominają mi, że nawet gdybym już nigdy nie napisała żadnej powieści, one są moim największym osiągnięciem.

Dziękuję także mamie, Sandy Brown, która wierzy we mnie i wspiera mnie bez najmniejszego wahania. Mam szczęście jako córka.

Dziękuję Lizie Dawson za to, że jest taką agentką, o jakiej zawsze marzyłam i jakiej potrzebuję. Gdy tym razem Cię potrzebowałam, dałaś z siebie wszystko. Jestem zwyciężczynią w loterii agentów.

Dziękuję Jodi i Caitlin, dzięki którym sprawiam wrażenie znacznie lepszej, niż w rzeczywistości jestem. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszego zespołu, który dokonywałby takich cudów redakcyjnych w moim imieniu.

Dziękuję także zespołowi z Amazon Publishing. Pomagaliście mi z najnowszą powieścią i przez cały czas czułam Wasze wsparcie. (Myślicie, że możemy to powtórzyć? No pewnie!)

Dziękuję Nancy Malcor, która jest moją krewniaczką i udzielała mi porad prawnych. Niewielu pisarzy może się poszczycić taką rodziną.

Dziękuję także Jeanice Fashimpaur, Michelle Jensen i Ericie Baxter Cole, których historie mnie zainspirowały.

Dziękuję również artystom, których muzyka pomagała mi w pisaniu tej książki. Byli to między innymi Bob Seger, Lady Antebellum, Kenny Chesney, The National i Taylor Swift. Specjalne podziękowania należą się Damienowi Escobarowi, którego niesamowite aranżacje skrzypcowe były inspiracją dla muzyki Talmadge'a.

Dziękuję pisarkom spoza Karoliny Północnej, które wysłuchiwały mnie i doradzały mi w kwestii tej powieści, gdy zaliczałyśmy niezliczone mile na całym południowym wschodzie USA.

Dziękuję Ariel Lawhon z wielu powodów. Głównie za wysłuchiwanie mojego jęczenia. I za pomocną dłoń, gdy upadałam (dosłownie i w przenośni).

A przede wszystkim zawsze dziękuję Jezusowi: Ty zawsze jesteś dla mnie najważniejszy.

O autorze



Photo © 2016 Portrait Innovations

Marybeth Mayhew Whalen jest autorką kilku powieści, w tym *Miasteczko Worthy* oraz *The Things We Wish Were True*. Udziela wykładów dla kobiet w całych Stanach Zjednoczonych i jest współzałożycielką popularnej strony poświęconej literaturze kobiecej, www.shereads.org. Zamężna od dwudziestu sześciu lat. Mieszka w Karolinie Północnej wraz z mężem Curtem i szóstką dzieci w wieku od przedszkolnego do nastoletniego. Chociaż większość czasu spędza w sklepie spożywczym, od czasu do czasu zamyka się, by napisać parę słów i popracować nad następną powieścią. Odwiedź ją na www.marybethwhalen.com.

Spis treści

Opinie o Marybeth Mayhew Whalen Dziewczęta 1. Ava 2. Marglyn 3. Darcy 4. Leah 5. Marglyn 6. Darcy 7. Ava 8. Leah 9. Marglyn 10. Darcy 11. Ava 12. Leah 13. Marglyn 14. Darcy 15. Ava 16. Leah 17. Marglyn 18. Darcy 19. Ava 20. Leah 21. Marglyn 22. Darcy 23. Ava 24. Leah 25. Darcy 26. Marglyn 27. Leah 28. Darcy 29. Marglyn 30. Ava 31. Leah 32. Darcy 33. Ava 34. Leah 35. Darcy 36. Marglyn 37. Leah 38. Marglyn 39. Ava 40. Leah 41. Marglyn 42. Darcy 43. Leah 44. Ava 45. Darcy 46. Leah 47. Ava 48. Marglyn Dziewczęta Podziękowania O autorze

